

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

**Paragony
grozy**
Czy naprawdę
zagrożają
turystom? ▶ 4

Raport z granicy
Jak się robi
w balona
emerytów
i chłopaków ▶ 8



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



WYSOKIE OBCASY
Witaj, smutku?
Życie jest od życia
Sylwia Chutnik
o Françoise Sagan

MAGAZYN

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

KAMILA URZĘDOWSKA

Nowa Łęcka
nie chce być piękna

▶ 24

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048098

ISSN 0860-908X

28>

9 770860 908167

**Polak
w kosmosie**
Co nam zostanie
po misji Sławosza ▶ 22
FOT. AXIOM SPACE/NASA/ESA



**Owsiaka olśniło
w samolocie**
30 lat festiwalowej
legendy ▶ 27

**„Na konwentach
chodzę zakryta”**
Blaski i cienie
cosplayu ▶ 34

**Najsłynniejszy
kowboj**
Dzikiego Zachodu
u papieża ▶ 40

Radostaw
Leniarski



Kapitan nie wszystkich Polaków

Z pewnością jesteście wśród 38 milionów obserwujących profil instagramowy Roberta Lewandowskiego, a jeśli nie, natychmiast subskrybujcie. Są tam urywki z treningu w Barcelonie, na którym gwiazda tego wielkiego klubu dwoi się i troi na boisku, biegając w pocie i znoju. Mimo 37 lat – to niemało w jego zawodzie – jest wciąż uwodzicielsko, chłopięco szczupły, uda są wyrzeźbione niczym u Adonisa – choć RL9 jest bogiem futbolu słowiańskim, nie obcym – a zawadiacka grzywka utrzymuje się na miejscu za pomocą drobnych zabiegów.

Nie dziwota, że Robert promienieje zadowoleniem z wysiłku, zaś wiele innych zdjęć dowodzi, że uczucie satysfakcji związane jest nie tylko z endorfinami, ale i z formą fizyczną wybitnego reprezentanta ojczyzny. Przyznajcie, w tych okolicznościach człowiek nie jest skłonny do uczestniczenia w świecie niedoskonałym, którego uosobieniem są piłkarki, skoro jest Majorka, jest słońce, jest Barcelona, jest morze, są palmy, jest wspa-

niale. Polecam zdjęcia, na których Anna i Robert pluskają się w morzu.

Robert zapewne zauroczył się cudami Hiszpanii, tylko tym tłumacząc sobie to, że nie wyraził żadnego medialnego wsparcia dla drużyny kobiet w ich meczach z Niemkami i Szwedkami w Euro.

Ja też, a nie tylko urodzeni hejterzy, zauważyłem, że na jego 38-miliono-

wym koncie nie było nawet uśmiechniętej buźki emotki, jakiegoś bicepsu, jakiejś flagi biało-czerwonej. Nie było po meczach słowa ani nawet hasła „Nic się nie stało”, tak oswojonego przez piłkarzy męskiej reprezentacji dzięki wielu porażkom, ostatnio z Finlandią, Szkocją czy Mołdawią, albo na przykład z Belgią 1:6.

Nie ma tego wszystkiego na koncie Lewandowskiego – a także innych piłkarzy, co zauważyła Joanna Wiśniowska w tekście „Czy mecz Polek był reklamą kobiecego futbolu?” – przez przeoczenie, bo przecież nie przez zawiść, że nie może być kapitanem kobiecej drużyny (co faktycznie jest pewną niedogodnością, bo skądinąd mamy już pewność, że Robert sporo poświęci, żeby nim być). Przecież wszyscy wiemy, że Robertowi zależy na rozwoju naszej reprezentacji, męskiej i kobiecej, bez różnicy.

Ja na przykład przed meczem Polska–Niemcy na Euro 2025 ze wzruszeniem obejrzałem jeszcze raz wielki dowód na jego wsparcie futbolu kobiet. Nagranie na YouTube Barcelony, na którym RL9 wyjaśnia Ewie Pajor, klubowej koleżance, co dla niego znaczyło dołączenie do katalońskiej drużyny. Ona mówi, że są i inne dziewczyny z Polski w tej drużynie. On przytakuje. Oczywiście. Los Polacos. Jesteśmy razem. Jestem z wami, a wy ze mną.

Po prostu przeoczenie. Nie widzę innego wyjaśnienia.

Teraz Polki grają z Danią. Już nie o awans, tylko o honor, ale jednak. Zagłądajcie koniecznie na Instagram Roberta. ●

Andrzej rysuje



Liczba tygodnia

20

PROC.
O tyle spadł od początku roku kurs InPostu. W dużej mierze to efekt cichego rozwodu z Allegro, które uniezależnia się od paczkomatowego giganta.

O międzynarodowych ambicjach i politycznych relacjach Rafała Brzosi w raporcie Piotra Miarczyńskiego ► Wyborcza.biz.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend*

R1E4F7A

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 12-13.07.2025 r.

Już nie armia USA, a gwardia pałacowa

Hail Trump

Żołnierze muszą uwierzyć, że autorytet prezydenta nie wynika z wyborów, ale z osobistej charyzmy i boskiego prawa

Timothy Snyder

Powszechnie wiadomo, że losy reżimów autorytarnych zależą od lojalności sił bezpieczeństwa, a prezydent Donald Trump, odkąd wrócił do Białego Domu, nie pozostawił wiele przypadkowi w tej kwestii.

Jego sekretarz obrony Pete Hegseth natychmiast przeprowadził czystkę wśród najwyższych dowódców wojskowych, usuwając między innymi przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, a na początku maja zarządził redukcję liczby generałów czterogwiazdkowych o 20 procent oraz generałów niższego szczebla o 10 procent.

Jednak to przemówienie do żołnierzy ogłoszone miesiąc później w Fort Bragg – bazie wojskowej nazwanej imieniem generala Konfederacji – najlepiej oddało, jak Trump pojmuje bezpieczeństwo narodowe i jaką rolę przypisuje siłom zbrojnym.

Nie wspominał ani słowem o współczesnym świecie, nie odniósł się do żadnych wspólnych interesów wszystkich Amerykanów, nie wyraził niepokoju wobec zagrożeń ze strony Chin czy rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Prezydenci USA zwykle przywołują indywidualne akty bohaterstwa jako dowód na to, że ojczyźnie warto bronić, ale nie tym razem.

Trump nie wspominał też o żadnych konstytucyjnych prawach, takich jak wolność słowa czy zgromadzeń, ani o amerykańskiej demokracji. W jego przemówieniu Ameryka po prostu nie istniała.

Zamiast tego wykorzystał historię wojskową Stanów Zjednoczonych do budowania kultu jednostki. Wielkie amerykańskie zwycięstwa na polach bitew przedstawił jako czyny, których żołnierze dokonują ku chwale i ucieśze przywódcy, by ten mógł przywoływać je dla uzasadnienia swojej wiecznej władzy. W takim ujęciu chwala militarna staje się widowiskiem, w które przywódca może wlać dowolne znaczenie.

To zasada faszystowska, którą Trump doskonale rozumie. Polityka to walka, a ten, kto potrafi wskazać wroga, ma większe szanse pozostać u władzy.

Historyczni faszyci mieli wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Trump ma tylko tych drugich. Dłate-

go zaraz po przyłączeniu się do izraelskich ataków na Iran pospiesznie ogłosił zwycięstwo – i zawieszenie broni. Świat zewnętrzny go przerasta. Armia ma służyć wyłącznie do dominacji nad obywatelami USA.

Trump porównał działania Amerykanów łapiących migrantów w 2025 roku do odwagi wcześniejszych pokoleń walczących w wojnie o niepodległość, obu wojnach światowych, w Korei i Wietnamie.

Rzucenie się do ataku z okopu czy desant z samolotu znacząco różni się od zaszczuwania doktoranta czy nekowania szwaczki w średnim wieku. Ale tu właśnie ujawnia się cel Trumpa: przygotowanie amerykańskich żołnierzy do postrzegania siebie jako bohaterów, gdy będą brać udział w krajowych operacjach przeciwko bezbronny ludzom – także obywatelom USA.

W przemówieniu Trump przedstawił się jako ktoś więcej niż prezydent. Nieustannie kpil z poprzednika („Naprawdę myślicie, że taki tłum przyszedłby na Bidena?”), wzywając żołnierzy do odrzucenia podstawowej zasady, że służą konstytucji, a nie jednostce.

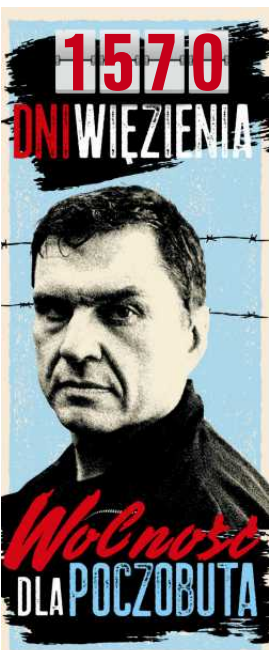
Tak bezprecedensowe utożsamienie prezydentury z osobą ma sugere-

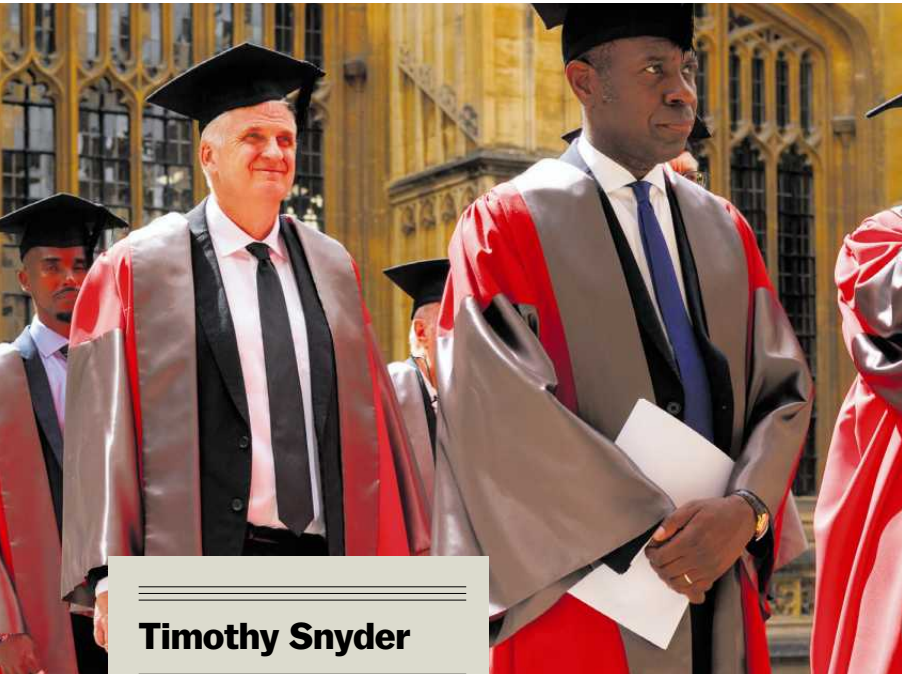
Trump chce, by żołnierze postrzegali siebie jako bohaterów niczym z II wojny światowej, gdy przyjdzie im brać udział w operacjach przeciwko obywatelom USA

rować, że jego autorytet nie wynika z wyborów, ale z osobistej charyzmy – a może i boskiego prawa. Żołnierze mają słuchać Trumpa, bo jest Trumpem.

Większość Amerykanów spodziewa się, że armia będzie ich bronić, a nie atakować. Tymczasem Trump wykorzystał okazję, by zachęcić żołnierzy do wyśmiewania współobywateli i atakowania dziennikarzy – tych, którzy stanowią kluczowy mechanizm kontroli władzy, zabezpieczając przed tyranią i są chronieni przez pierwszą poprawkę do konstytucji USA, podobnie jak protestujący.

Prezydent uczył żołnierzy, że społeczeństwo się nie liczy, prawo się nie liczy. Liczy się tylko on – i to, że tak bardzo „kocha” żołnierzy, że „daje im wszystkim podwyżkę”. Tak właśnie przemawia dyktator do gwardii pałacowej lub formacji paramilitarnej.





Timothy Snyder

urodzony w 1969 roku, historyk, wieloletni profesor Yale, skąd właśnie przeniósł się na Uniwersytet w Toronto – gdzie będzie kierował katedrą historii najnowszej Europy – w proteście przeciwko próbom zdławienia wolności akademickiej przez Donalda Trumpa.

Autor głośnych książek: „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, „Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie”, „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku”, „Droga do niewolności. Rosja. Europa. Ameryka”, „Amerykańska choroba. Szpitalne zapiski o wolności” (dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków lub audiobooków na Publio.pl). Człowiek Roku „Wyborczej” 2016.

Jesteśmy świadkami próby zmiany ustroju. Próby pełnej wynaturzeń. Jest w niej komponent historyczny: mamy czcić zdrajców z Konfederacji, takich jak Robert E. Lee, którzy zbudowali się przeciwko USA w obronie niewolnictwa. Jest także komponent faszystowski: mamy zaakceptować obecną chwilę jako moment wyjątkowy, w którym wszystko jest dozwolone. I oczywiście jest komponent instytucjonalny: żołnierze mają być awangardą upadku demokracji, ich zadaniem ma być prześladowanie wrogów wyznaczonych przez przywódcę – wewnątrz kraju.

W opisanu migracji jako „inwazji”, jak uczynił to Trump, chodzi o zatarcie granicy między polityką imigracyjną jego administracji a wojną prawdziwą, tą zewnętrzną. Ale też o przekształcenie misji armii USA. Jeśli żołnierze – a przy okazji inni obywatele, mundurowi i cywile – dadzą się przekonać, że migracja to „inwazja”, będą postrzegać tych, którzy są innego zdania, jako wrogów.

I właśnie do tego zmierzał Trump, gdy przedstawił demokratycznie wybranych urzędników z Kalifornii, którzy przeciwstawiają się polowaniom na migrantów jako kolaborantów w „okupacji przez kryminalnych najeźdźców”.

Armia USA, podobnie jak inne amerykańskie instytucje, składa się z ludzi o różnym pochodzeniu. W dużej mierze opiera się na czarnych Amerykanach oraz osobach bez obywatelstwa. Próba zaszczepienia w niej kultu Konfederacji i niewolniczego Południa oraz przekształcenia jej w narzędzie prześladowania migrantów spowoduje poważne napięcia i zaszkodzi jej reputacji. Co będzie, jeśli amerykańscy żołnierze zabiją amerykańskich cywilów? Na-

Ceremonia przyznania honorowych stopni naukowych Uniwersytetu Oksfordzkiego (25.06.2025). Prof. Timothy Snyder w środku, za nim Mo Farah, brytyjski lekkoatleta, przed nim Clive Myrie, dziennikarz i prezenter BBC

FOT. DAN KITWOOD/GETTY IMAGES

wet nie z inspiracji prezydenta; przecież istnieje ryzyko, że prowokatorzy – w tym zagraniczni – spróbują zabić amerykańskiego żołnierza.

Trump z radością wykorzysta takie sytuacje. Chce przecież wywrócić wszystko do góry nogami. Pragnie armii jako swojej osobistej paramilitarnej siły. Chce, aby to, co w historii narodowej było wstydem, stało się powodem do dumy. Chce przekształcić republikę w faszystowski reżim, w którym jego wola staje się prawem. Ale czego chcą amerykańscy żołnierze? Ci z Fort Bragg wiwatowali. Lecz przemówienie Trumpa było starannie wyreżyserowane – publiczność dobrano nie tylko pod kątem prezen-

cji, ale też poglądów politycznych. Natomiast cztery dni później parada wojskowa, którą Trump zorganizował w Waszyngtonie z okazji 250. rocznicy powstania US Army oraz własnych urodzin, została powszechnie uznana za klępkę. Około 6600 żołnierzy w mundurach połowych przemaszerowało – a raczej zwyczajnie przeszło – przed nieliczną publicznością. Nie było to widowisko militarnej chwały na miarę Pjongjangu czy placu Czerwonego.

Nie było mnie tam. Podobnie jak co najmniej cztery miliony innych obywateli, uczestniczyłem tego dnia w jednym z protestów „No Kings”, które odbyły się w ponad 2100 miastach i miasteczkach w całych Stanach Zjednoczonych. To był największy jednodzienny protest polityczny w historii USA, wielokrotnie przewyższający frekwencję na paradzie Trumpa. I dowodzący, że demokracja istnieje tylko wtedy, gdy istnieje społeczeństwo – a społeczeństwo istnieje tylko wtedy, gdy jednostki są świadome istnienia innych jednostek, świadome wspólnych praw, wspólnych interesów i konieczności wspólnego działania.

Ta świadomość to najgorszy wróg Trumpa. ●
Copyright: Project Syndicate 2025,
www.project-syndicate.org
Przełożyła Patrycja Eiduka

Dzięki uprzejmości czasopisma idei Project Syndicate, dla którego piszą najciekawszy intelektualni, autorzy i osoby publiczne zachodniego świata, witamy profesora Snydera jako regularnego felietonistę na naszych łamach. Zapraszamy do comiesięcznej lektury w weekendowym „Magazynie Wyborczej”.

REKLAMA

Kraj/34384683

Albatros

travel

4,8
z 5

New York, New York

Pełna przygód podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

Hotel 4* na
Manhattanie

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot do Nowego Jorku, USA. Dz. 2 Nowy Jork, Brooklyn Heights, Wall Street, Ground Zero i Most Brooklyński. Dz. 3 Nowy Jork, Uptown z Upper West Side, Muzeum Historii Naturalnej, Central Park i Muzeum Guggenheima. Dz. 4 Nowy Jork, Downtown z Flatiron Building, Greenwich Village, SoHo, Little Italy (Mała Włochy) i Chinatown (Dzielnica Chińska). Dz. 5 Nowy Jork, Midtown z Empire State Building, Rockefeller Center, Fifth Avenue i rejs wokół Manhattanu. Dz. 6 Nowy Jork. Czas wolny i powrót do domu. Dz. 7 Przylot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 04/09, 25/09, 12/12 2025, 26/04, 30/04, 09/07, 30/07, 03/09, 15/10, 10/12 2026 | od 8.998,-

4,7
z 5

Najpiękniejsze Parki
Narodowe USA

Wspaniała podróż z Los Angeles, tętniącej życiem stolicy filmu, przez parki narodowe, pustynne krajobrazy i stolicę hazardu Las Vegas aż do San Francisco.



Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Los Angeles. Dz. 2 Los Angeles – Calico – Laughlin. Dz. 3 Laughlin, Route 66 i Grand Canyon. Dz. 4 Monument Valley, Horseshoe Bend, Lake Powell i Page. Dz. 5 Page, Kanion Antylopy i Park Narodowy Bryce. Dz. 6 Bryce Canyon – Czerwony Kanion – Las Vegas by night. Dz. 7 Las. Vegas. Dzień wolny. Dodatkowa wycieczka do Zapory Hoovera, Muzeum mafii oraz instalacja ze szklanych kwiatów Chihuly w Hotelu Bellagio. Dz. 8 Death Valley i Tulare. Dz. 9 Tulare – Park Narodowy Yosemite – Manteca. Dz. 10 San Francisco: most Golden Gate, Chinatown, Wzgórze Twin Peaks. Dz. 11 San Francisco. Dzień wolny. Możliwość wycieczki do Fisherman's Wharf i więziennej wyspy Alcatraz. Dz. 12 San Francisco – 17 Mile Drive – Monterey – San Simeon. Dz. 13 San Simeon – Solvang – Santa Barbara – Getty Center/Villa i Los Angeles. Dz. 14 Wylot z Los Angeles. Dz. 15 Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 24/09 2025, 06/05, 29/07/2026
od 17.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, Sp.

Kod reklamy: GW20

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Z RESTAURATOREM **KAMILEM SAKAŁUSEM***
ROZMAWIA **PIOTR MIĄCZYŃSKI**

Na facebookowym profilu „Spotted: Białystok” pojawiło się zdjęcie „paragonu grozy”. Na rachunku: dwie jajecznice po 67 zł każda, dwie kawy cappuccino, jedna za 40 zł, druga za 44 zł, oraz opłata za obsługę 22 zł. Media oszalały. A pan napisał: Albo dziennikarze są coraz głupszy, albo redakcje coraz bardziej wyrachowane. Obstawiam to drugie.
– Skąd jest ten paragon? Z lokalu o nazwie Księstwo Góralskie. To absolutnie najdroższy lokal w Zakopanem. Prowadzimy regularny monitoring cen, żeby wiedzieć, co robi konkurencja. Mogę więc powiedzieć, że kilkanaście metrów od wskazanego miejsca za te same pozycje właściciel paragonu zapłaciłby 62 zł, a za serwis 0 zł. Pięćdziesiąt metrów wyżej Krupówkami w lokalu z pięknym widokiem na Giewont – 73 zł.

Ale jednak 67 zł za jajecznicę?!

– Żeby było jasne, ta cena jest odjechana, jest oderwana od rzeczywistości, ale ten lokal jest tak pozycjonowany.

Ludzie sobie tam zdjęcia robią, pokazują, że ich stać, żeby tam jeść. Cena jest wywieszona, nikt nie jest wzięty podstępnie z zaskoczenia. To klient decyduje, czy zapłaci za to samo cappuccino złotych 40, czy może 11. Bo 11 zł to jest prawdziwa cena cappuccino w powiecie podhalańskim i w samym Zakopanem.

Jak pan chce sobie kupić buty, to może pan zapłacić 200 zł albo i 6 tysięcy. Czy w tych za 6 tysięcy lepiej się chodzi? Niekoniecznie. Ale jest grupa ludzi, która nawet nie wejdzie do sklepu, gdzie buty kosztują 200 zł. Pójdą do Gucciego. Albo do Manolo Blahnika.

Z restauracjami bywa podobnie.

Sam pan mówił w zeszłym roku w Money.pl, że część restauratorów mocno na Podhalu pompuje ceny. „Od około trzech lat jest widoczna w Zakopanem grupa obywateli Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej. Niestety pojawia się cwaniactwo polskie. Niektórzy podnoszą ceny, bo wychodzą z założenia, że Arabowie są bogaci, więc dla nich to będzie i tak tanio. Zapominają, że 99 proc. gości na Podhalu to Polacy, a nie Arabowie. Nie można ustawiać cen i biznesu pod 1 proc. klientów”.

– Dokładnie tak było. Tylko że dzisiaj bym nie powiedział, że to cwaniactwo, tylko określone podejście biznesowe, które można popierać lub nie. Trzeba wiedzieć, kim jest twój gość. Bo zawsze ustalanie ceny to jest wypadkowa pomiędzy oczekiwanym zyskiem, kosztami a możliwościami twojego klienta.

Jeżeli ustawisz cenę za wysoko, to klient nie przyjdzie, a jeżeli za nisko, to zarabiasz mniej, bo bałeś się trochę zaryzykować. Proszę spojrzeć na marki odzieżowe. Wejdzie pan sobie teraz do sklepu po lnianą koszulę na lato i ona będzie kosztować 250 zł. Pójdzie pan we wrześniu, ta sama koszula będzie na przecenie minus 80 proc., za 50 zł.

I teraz co? Ta cena w lipcu była ceną zawyżoną? Nie, odpowiadała na prawo podaży i popytu. Klient chce kupić koszulę lnianą w lipcu, a nie we wrześniu. Z kolei sieć handlowa we wrześniu, ponieważ powierzchnia magazynowa kosztuje i trzeba uwolnić pieniądze, robi wyprzedaż i z tego towaru schodzi.

Często podobnie ustala się ceny w gastronomii. Ja tego nie robię, ale w miejscach turystycznych zależą one od sezonu. Dochodzi też jeszcze jedna rzecz: lokalizacja.

Teraz jestem we Włoszech, w mocno turystycznej miejscowości Viareggio Toscania. Jak byliśmy już umówieni na rozmowę, to pomyślałem: a przejdę się tu po restauracjach zobaczyć, jakie tu są ceny, bo na bank pan o to zapyta.

Podstawową przystawką jest tutaj melon z prosciutto crudo. Kosztuje w zależności od restauracji od 5,50 euro do 19,50 euro. Pizza margherita od 7,5 euro do 17 euro.

Czyli rozstrzał jest.

– Jest, 400 procent. Ale można sobie bez żadnego problemu sprawdzić, gdzie chcesz zjeść i za ile. Czy ci się dane miejsce podoba, czy nie. Albo wybrać się do miejscowego COPA czy Conada, kupić paczkę prosciutto za 4 euro, dorzucić do tego melona i zrobić z tego pięć porcji w pokoju hotelowym.

Mam akurat obok hotelu sklep i widzę, jak część turystów tam idzie i żywi się sama. Kwestia wyboru: zrobisz sam czy chcesz mieć podane i posprzątane.

I identycznie jest w Polsce. Również nad morzem, w górach czy nad jeziorami.



KTO ZJE „jajecznicę grozy”?

Klasyczny nadmorski numer: w karcie napisane jest „dorsz”, w rzeczywistości jest to tańszy czarniak. To manipulacja?

– To oszustwo – mówi restaurator Kamil Sakałus.

– 67 zł za jajecznicę? Ta cena jest odjechana, ale ludzie idą do tego lokalu pokazać, że ich stać, aby tam jeść.

Zdjęcie paragonu z Kołobrzegu na facebookowej grupie „Kołobrzeg – noclegi, atrakcje, jedzenie”, a na nim: 0,5 l piwa za 22 zł, sprite za 16 zł.

Komentarz klientki: „To jest jakiś dramat. Nie dość, że są ogólne pustki 01.07.2025, to ceny jak w Dubaju. Nie dziwię się, że już tu nikt nie chce przyjeżdżać”.

– Jeszcze raz: nie wierzę w to, że restauracja, bar czy tam inny przybytek, który to piwo i tego sprite'a sprzedał, tę cenę ukrył. Albo podał ją w hrywnach czy w koronach czeskich i klient ma problem z jej ustaleniem.

Cena jest w menu, w złotych. A w większości przypadków przed lokalami, w miejscowościach turystycznych są też tak zwane potykaczki. Czyli przed restauracją stoi sobie tabliczka, na niej jest całe albo skrócone menu i ceny.

Ale dlaczego piwo nam morzem kosztuje 22 zł? Skoro takie same w sklepie kosztuje 4 albo 5 zł?

– Cena piwa w restauracji jest ceną, którą kształtują rynek i – znowu – prawo podaży i popytu.

Jeżeli byłbym restauratorem w Kołobrzegu i miał piwo po 22 zł, a lokal by był pełny, to ta cena jest ceną bardzo dobrze ustaloną albo wręcz za niską.

Jeżeli mam piwo za 22 zł i mój lokal jest pusty, to cena jest źle ustalona. Trzeba ją natychmiast obniżyć, bo ja do tego biznesu za chwilę dopłacę.

Mówię do załogi: „Kochani, klientów na 22 zł za piwo jest trzech dziennie, więc zrobmy cenę 12 zł i sprzedamy ich dziennie 300”. Tak działa biznes.

A może ludzie zwyczajnie do restauracji chodzą tylko w wakacje, dlatego są tak zdziwieni cenami?



– W Polsce, jak wynika z badań [panelu badawczego Ariadna dla Polskiego Towarzystwa Wspierania Przedsiębiorczości – red.], do restauracji przez cały rok chodzi jakieś 10 proc. społeczeństwa. Z czego połowa odwiedza je na chrzcinach, komuniach, weselach albo – jak pan powiedział – na wakacjach.

Ludzie, widząc, ile marchewka i mięso kosztują w sklepie, od razu porównują to z ceną za danie w restauracji. Wychodzą im jakieś kosmiczne marże.

– Proszę popatrzeć, ile kosztuje butelka wody mineralnej w Biedronce. Pewnie koło 2 zł, co?

Chyba już trochę drożej.

– Niech będzie nawet i 2,50 zł. Jaki jest koszt wydobycia wody z ujęcia podziemnego? Myślę, że w okolicach grosza, może dwóch groszy, do tego butelka, zakrętka, etykieta. To skąd się bierze cena razy 300 albo razy 400 do kosztu produkcji?

Z kosztów pośrednich, bo koszt produkcji to nie jest wszystko. Trzeba utrzymać firmę, zapłacić za transport, wybudować fabrykę, magazyny, zatrudnić ludzi, Biedronka musi na tym też zarobić, a część towaru ukradną. I tak samo to wygląda w gastronomii.

Koszt tego, co je klient, my fachowo nazywamy food costem. To jest koszt składników potrzebnych na przykład do zrobienia burgera. W dobrze zarządzanej restauracji food cost powinien wynosić około 25 procent; ale tu musi być średnia ważona, a nie średnia [w średniej ważonej niektóre wartości mogą być ważniejsze, bo są bardziej istotne].

Czy to znaczy, że rentowność restauracji jest na poziomie 75 proc.? Oczywiście, że nie. U nas na przykład są miesiące, gdy 40 proc. obrotu stanowią koszty płac. I żeby nie było, ja akurat popieram podnoszenie najniższej krajowej, bo uważam, że była w Polsce mocno, mocno zaniżona. To, że w Warszawie czy Poznaniu nie ma bezrobocia, to wiem. Dalej są jednak w Polsce tysiące miejscowości z jednym pracodawcą, a wtedy płaci się najmniej, jak można.

Ceny muszą też uwzględnić to, jak długo trwa sezon. Restaurator w miejscowości turystycznej nad morzem ma dwa miesiące sezonu, czasami trzy przy dobrej pogodzie. I przez ten czas musi zarobić na cały

rok. W Bukowinie Tatrzańskiej sezon mamy przez jakieś sześć miesięcy.

A co zjada firmy, nie tylko w Polsce? Koszty stałe, które trzeba płacić niezależnie od obrotu, czy się zarobiło, czy nie. Gdybym wynajął sobie firmę doradcą, wrzucił im koszty i przychody, to oni by mi powiedzieli tak: „Panie, w styczniu to pan zarabiasz, w lutym pan zarabiasz, ale od marca do maja to weź pan to zamknij, a potem pan to znowu zamknij od drugiej połowy października do świąt Bożego Narodzenia”.

Taka optymalizacja.

– Tyle że gdybym tak zrobił, to w sezonie bym nie miał kucharzy, kelnerów ani nawet parkingowych. I tego z tabelki Excela się nie wyczyta. Biznes trzeba czuć i rozumieć.

Jeżeli chcesz mieć dobrego, lojalnego, zaangażowanego pracownika, to musisz zapewnić mu pracę cały rok i płacić dobrze.

A jeśli robisz to, co robią niektórzy restauratorzy: „Ech, sezon się skończył, teraz, chłopcze, masz wypłatę i spadaj”, to nie masz jakości obsługi, nie masz jakości dań, nie masz powtarzalności.

Kolejny „paragon grozy”. Filet z dorsza, cena ryby w menu podana za 100 gramów. Przy płaceniu klient zdziwiony, bo okazuje się, że ryba za kilogram kosztowała 235 zł, a porcja 60 zł. To manipulacja ze strony restauracji?

– Dla mnie jest to skandal, w restauracji, którą bym zarządzał, nie byłoby tego typu rzeczy. Niech się re-

Plagą w polskich restauracjach jest pisanie w karcie „parmezan”, a z parmezanem łączy go tylko tyle, że też jest twardy, bo Parmy na pewno nie widział. Albo pisanie „feta” i używanie polskich zamienników

stauratorzy nauczą podstaw swojej pracy. Kżdy normalny dostawca, który zaopatruje gastronomię, oferuje coś takiego jak kalibracja.

Można sobie na przykład zamówić golonki kalibrowane, które będą miały przedział 520-560 gramów. Można sobie zamówić pstrąga, który będzie miał między 400 a 420 gramów. Chcesz podawać kilogramowe pstrągi? Też ci takie przywiozą.

Klient przed złożeniem zamówienia musi wiedzieć, ile zapłaci. To jest zasada święta.

Dajmy na to: pan myślał, że ta rybka będzie miała 300 g, a tu złowiono rybkę 600 g, usmażono ją i podano.

Pan myślał, że zapłaci 70 zł, a przychodzi kelnerka z paragonem 140 zł. I się robi kuku. Awantura. Ceną za 100 gramów możemy operować w wyjątkowych sytuacjach, jak na przykład droga, dojrzewająca wołowina typu wagyu, ale to tyle.

I co, oburzenie klienta jest słuszne?

– Słuszne. Ale najważniejsze jest coś innego: właściciel czy menedżer w mądrze zarządzanej restauracji powinien mieć troszeczkę wyobraźni i rozumieć, że jeżeli są awantury o ceny, to znaczy, że trzeba zrobić taki system podawania jedzenia, że klient będzie wiedział, ile zapłaci. Do pożarów się nie dopuszcza, a nie je gasi.

Klasyczny nadmorski numer: w karcie napisane jest „dorsz”, w rzeczywistości to tańszy czarniak. To manipulacja?

– To nie jest manipulacja, to oszustwo. Na to jest paragraf w Kodeksie karnym. Oprócz restauracji prowadzimy biznes e-commerce, mamy markę własną Schronisko Bukowina, pod którą robimy świetnej jakości przetwory, ale też sprowadzamy i sprzedajemy masę włoskich towarów: sery, oliwy etc. Znam więc ich ceny i to, co się dzieje na przykład z produktami włoskimi w lokalach.

Plagą w polskich restauracjach jest pisanie w karcie „parmezan”, który z parmezanem łączy tylko tyle, że też jest twardy, bo Parmy to on na pewno nie widział. Albo pisanie w karcie „feta” i używanie polskich zamienników.

Feta jest serem produkowanym w Grecji z mleka owczego i mleka koziego, a to, co w restauracjach

jest podawane jako feta, jest zwykle normalnym serem salatkowym zrobionym w 100 procentach z mleka krowiego, czyli o wiele tańszego niż mleko owcze albo kozie.

Pizza neapolitańska powinna mieć ciasto posmarowane pomidorami san marzano, które mają dwa razy wyższą cenę niż zwykłe pomidory.

I są niestety restauratorzy, którzy smarują tę pizzę czymś, co czasami nawet pomidora nie ma w składzie bądź ma go 5 procent. Albo keczupem, i to jeszcze rozwodnionym, bo musi być taniej.

Takie rzeczy powinny być ganiane przez Inspekcję Handlową i nagłaśniane, bo nam szkodzą jako branży.

Ostatni raport inspekcji w restauracjach: „Użycie do przygotowania dania innego składnika niż wymieniony w menu stwierdziliśmy w 65 na 614 przypadków – 10,6% skontrolowanych lokali”. Zamiast śmietany – miks tłuszczowy; zamiast szynki parmeńskiej – inne rodzaje szynki dojrzewającej; filet z soli zastępowano filetem z limandy złotopłetwej, wołowinę – drobno rozdrobionym, mrożonym wyrobem wołowo-drobiowym.

– Jest to wał, z którym trzeba walczyć, bo to psuje nie tylko odbiór wśród klientów danego lokalu, ale też produkt i rynek. Restauracja, która rzeczywiście dodaje fetę i parmezan, będzie droższa, bo to danie musi być tam droższe. A ktoś, kto sobie leci w kulki, będzie miał taniej.

Klient też na tym traci. Niech pan zwróci uwagę choćby na fryturę, na której smaży się frytki. Koszt wymiany frytury we frytkownicy to ok. 100 zł, jeżeli masz w kuchni dwie frytkownice po 8 litrów każda.

My zmieniamy fryturę codziennie. Ale jest masa lokali, gdzie nie trzeba wejść do kuchni, aby się przekonać, że coś jest nie w porządku, bo już w sali czuć w powietrzu spalony olej, na którym się smaży po raz tysięczny. Niestety, w wielu lokalach jemy coś, czego człowiek nie powinien dostać do jedzenia.

Rozumiem oczekiwanie klienta, który chce zapłacić tanio i zjeść super.

A to jest niemożliwe?

– Nie. To się gryzie. Bo jak jest tanio, to gdzieś trzeba uciąć na jakości. A z drugiej strony występuje cwaniaństwo albo chciejstwo restauratorów, którzy postanawiają zarobić na kliencie często jednorazowym. Bo wiedzą, że on i tak nie wróci. Nie popieram czegoś takiego, uważam, że o klienta trzeba dbać, bo pozyskanie go jest o wiele, wiele droższe niż jego utrzymanie. U nas 60-65 procent to są goście stali, którzy przyszli minimum trzy razy, lub goście, którzy trafili tu z polecenia znajomych.

Jak odróżnić na pierwszy rzut oka dobrą restaurację od złej?

– Wystarczy popatrzeć, czy w środku ludzie siedzą. Zerknąć na kartę. Jak widzę tam 15 zup, a na stronie z daniami głównymi 50 czy 60 pozycji, w tym: ryby, cielęcina, jagnięcina, kaczka i może jeszcze owoce morza w 40 wersjach, to wychodzę. Jest jasne, że lokal raczej leci na mikrofalówkach, to nie może być świeże. Druga możliwość: będziesz tam czekał dwie godziny na schabowego. I to jest zabawa na krótką metę. Wyspecjalizuj się w czymś; podawaj krótkie i dopracowane menu, nie próbuj być jednocześnie pizzerią z gulaszem, 30 zupami, a w ostatni wolny kąt na kuchni wciskać jeszcze opiekacz do kebaba.

Poza tym w dobrej restauracji kelner/kelnerka wie, co sprzedaje. Jak to zazwyczaj wygląda? „A co jest w tej salacie? A nie wiem, muszę się zapytać szefa kuchni”. Kelner, czyli osoba, która ma bezpośredni kontakt z gościem, musi wiedzieć, co sprzedaje, z czego to jest zrobione, czy to danie jest ostre, skąd pochodzi podawany pstrąg, jakie są tam alergeny i z czego się składa aioli do burgera.

„Paragony grozy”, edycja czarnogórska 2025. Jeden z Polaków wrzucił posta: „Jesteśmy w Budvie na śniadanku, czyli jednym z droższych miast na wybrzeżu. Za kawę 1,9 euro (8 zł), świeżo wyciskany sok z pomarańczy 3,3 euro (14 zł), omlet z serem, szynką i pieczarkami 5,8 euro (24,5 zł), a kanapkę caprese (świeżo wypiekany chlebek, mozzarella, pomidor, rukola i pesto) 6 euro (24,5 zł). Łącznie śniadanie dla dwóch osób kosztowało więc 18,90 euro (80 zł)”. To podstępnie zapytam: dlaczego tam można taniej?

– Bez problemu znajdzie pan w Polsce lokale, również w miejscowościach turystycznych, z identycznymi cenami, które pan podał; kawa 8 zł, omlet 17 zł, świeżo wyciskany sok z pomarańczy za 15 zł.

A u pana w lokalu ile kosztuje kawa?

– Za 11 zł ją pan wypije. Kawę, którą sami importujemy z Włoch, zmieloną tuż przed zaparzeniem, podaną do stolika przez profesjonalnego kelnera. Jak widzę kawę w restauracjach na poziomie mocno 20 plus, to mnie trzęsie. Fajni są restauratorzy, którzy liczą tak: espresso 11, czyli kawa zwykła, mała, czarna. Doppio – czyli namielasz w młynku podwójną porcję kawy, więc im wychodzi 22 zł.

Skąd się to bierze?

– Stąd, że komuś się w głowie przewróciło i postanowił zarobić szybko, łatwo i niskim kosztem. Zwykła kawa nie ma prawa kosztować 20 zł. To są przegięcia cenowe, z którymi trzeba walczyć. Ale z nimi trzeba walczyć najlepszą możliwą metodą, jaka jest. Czyli wolnym rynkiem i decyzjami konsumentów.

W dużych miastach kawiarnie sieciowe wykreowały pewien sposób bycia. Ktoś idzie po ulicy z kawą z takiej kawiarni, za którą zapłacił dwadzieścia kilka złotych, gdzie koszt tej kawy, licząc nawet już personel, wynajem lokalu, kubek, dekielek, cukier, mleko i coś tam jeszcze, to jest złotych dwa.

Ale jest na to klient, rozumiem tego typu biznes, choć się z nim nie zgadzam.

Gdyby restauracje albo sieci kawiarni żyjące głównie z kawy nie miały klienta na kawę 22 zł na sojowym, to gwarantuję panu, że tej ceny by tam nie było.

Ona by tam kosztowała 12 albo 13.

Napiwki?

– Powiem to jako restaurator, mimo że część branży nie będzie mnie za to lubić. Zrobił się w Polsce głupi zwyczaj, że do zamówienia dolicza się obligatoryjny serwis.

Panu się to nie podoba?

– Nie. Bo napiwek jest dobrą wolą gościa restauracji, który został świetnie obsłużony, albo ci goście przy tym stoliku złapali takie flow z kelnerem, że postanawiają, że mu zostawia 10, 15 czy 20 proc. rachunku. Kelnerowi ma płacić pracodawca.

Chcesz sobie coś doliczyć do rachunku? To podnieś ceny o ten procent serwisu, a nie pisziesz gdzieś na końcu karty drobnym drukiem, że jeszcze będzie serwis. Jeżeli – strzelałam – pierogi kosztują 50 zł, a krewetki 65 zł, to gość na paragonie ma mieć 115 zł, a nie 132, bo mu wbili 15 procent serwisu.

Trzy narodowe potrawy Polaków: pizza, kebab i sushi. Tak czy nie?

– Oczywiście, że tak.

Ubolewa pan nad tym?

– Mnie się wybory klientów czy konsumentów mogą podobać lub nie podobać, ale z tym nie wolno walczyć. Jeżeli chcę osiągnąć sukces, to muszę iść za rynkiem, za tym, czego chce klient.

Klienta można oczywiście przekonywać do tego, żeby podjął inny wybór, ale nie wolno mówić mu czegoś w stylu: „Nie, ty baranie, teraz nie weźmiesz schabowego, bo schabowy jest passe, zacznij jeść sushi z tuńczyka żółtopłetwego złowionego w Japonii, bo to jest zdrowsze i na to jest teraz moda”.

Szanujemy wybory klientów. Możemy pokazywać im nowe smaki, ale nie w sposób nachalny, bo ludzie są skonstruowani bardzo prosto. Jeżeli klienta się do czegoś zmusza, to większość ludzi zrobi dokładnie odwrotnie. „Panie, wal się pan, ja tego nie chcę”. Komuś smakuje pizza z sosem czosnkowym Faneksu? Smaczno, szanuję.

Kiedyś zapytałem Modesta Amaro, znanego kucharza, czy Polacy znają się na jedzeniu, i on powiedział, że w skali od 0 do 10 to się znamy na 1.

– To się zmienia. Pięć lat temu bym powiedział, że znamy się tak na 4. Teraz już jest 6. Świadomość tego, co jemy, rośnie. Polacy jeżdżą po świecie, bywają w restauracjach czy w sklepach na zachodzie Europy. Zaczynamy rozróżniać, co to jest dobra kawa, dobre prosciutto, dobra oliwa, czym się różni mięso mielone jakies tam od wołowiny na burgery rasy Hereford.

Warszawska restauracja Omakase by Alon serwuje tylko i wyłącznie jedno menu degustacyjne, koszt to 1100 zł od osoby, cena nie zawiera napojów i alkoholu, do końcowego rachunku doliczany jest serwis w wysokości 10 procent. Miejsca na najbliższe dni brak.

– Wcale mnie to nie dziwi. Nie byłem tam, ale w ciemno strzelam, że w środku jest góra kilkanaście miejsc. W dwu- czy trzymilionowej aglomeracji warszawskiej nie będzie żadnego problemu z wypełnieniem tego miejsca.

Są w Polsce bardzo drogie restauracje ze stekami, z rybami morskimi, z owocami morza, które przylatują do Polski codziennie samolotem. Tylko w takich przypadkach trzeba dowozić jakość. Jakość nie może się skończyć na tym, że napiszemy: „Mamy produkty wysokiej jakości”, a podajemy szajs.

Ludzie sami czasami chcą być oszukiwani, ale to temat na zupełnie inną rozmowę. Bo jeżeli produkt jest napompowany tylko i wyłącznie marketingiem, to takie miejsce zniknie.

Parę lat temu rozmawiałem z warszawskim rodzeństwem restauratorów, Agnieszką i Marcinem Kręglickimi, i zadałem im pytanie: „Mam milion złotych i otworzę restaurację. Za ile splajtuję?”. Odpowiedzieli: „Za rok”. A co by pan odpowiedział?

Pan myślał, że zapłaci 70zł, a przychodzi kelnerka z paragonem 140 zł. I się robi kuku. Awantura

– Ten proces trochę przyspieszył. Ta restauracja splajtuje za pół roku. Bo trzeba się brać do biznesu, o którym ma się pojęcie.

Ja wiem, że kilogram ziemniaków w dużym hurcie kosztuje złotówkę, a McDonald's sprzedaje duże frytki za 11,90 zł i pan sobie policzy, że to...

...złoty interes po prostu.

– Tylko nie policzy pan tego, że ma pan marne sezony i wysokie sezony. Że wybudowanie tego lokalu to kilka milionów, wyposażenie – kolejne kilka, etc...

Mieliśmy parę lat temu w branży taki trend: otwieramy lodziarnie i będziemy sobie robić lody manufakturowe.

Otworzenie lokalu w miejscu, gdzie jest duży ruch piesz, ale trzeba go zaadaptować i zrobić fajne wnętrze, to koszt mniej więcej 0,5 mln zł. Tyle kosztuje podstawowy sprzęt, na przykład marki Carpigiani: witrażny chłodnicze, mroźnie szokowe i kilka innych elementów.

Koszt produkcji kilograma lodów to jest 11-12 zł. Porcję 50 gram sprzedaje się za 6, 7 złotych za galkę, czyli marża jest genialna. Człowiek myśli: wchodzę w to, włożę 500 tys. w wyposażenie, biorę w leasing maszyny, nawet jeśli będę miał ratę 50 tys. zł miesięcznie, to ją splcę w pierwszym roku działalności.

I co? I nic. Mieliśmy maj, który był zimny, lodziarnie nie zarobiły.

Trzeba więc mieć poduszkę finansową, żeby ten pierwszy rok przetrwać, może zarobisz w drugim. Ale jeżeli robisz biznes, którego nie kochasz, nie masz o nim pojęcia, robisz go tylko dla pieniędzy, to po prostu tę lodziarnię zamkniesz. I tak to wygląda.

Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ciężkim biznesem jest gastronomia, jaki jest problem z utrzymaniem lokalu cały rok. Niech każdy zresztą rozejrzy się dookoła siebie. Dzisiaj na rogu była pizzeria o nazwie,

wymyślam: Wenus, za trzy miesiące otwiera się tu kebab o nazwie Fakir, który za pół roku będzie lodziarnią Suzi.

„Po co brać się za przedsięwzięcie obarczone olbrzymimi kosztami stałymi (wynajem lokalu, prąd, gaz, woda, obrusy i serwetki, konserwacja urządzeń, ubezpieczenie, koncesje, wywóz śmieci etc.), w którym trzeba nieustannie zatrudniać nowych pracowników w miejsce tych, którzy się zwalniają? Szanse, aby inwestycja kiedykolwiek się zwróciła, wynoszą jakieś jeden do pięciu. Po wielu latach spędzonych w branży nadal nie mam pojęcia, dlaczego ludzie się za to biorą?”. To pisał nieżyjący już szef kuchni Anthony Bourdain w książce „Kill Grill. restauracja od kuchni”.

– Czasami zdarza mi się komuś znajomemu pomóc ustawić jakąś restaurację albo spojrzeć na to z boku.

I mam takiego znajomego, który ma firmę przemysłową, produkuje plastiki, dobrze sobie radzi. Stać go na restaurację dla żony. Pytam: „Po co ci ta restauracja?”. „Bo moja żona tak świetnie gotuje”.

Tylko oboje nie wzięli pod uwagę, że czymś innym jest przygotowanie obiadu w domu dla dwóch, czterech czy – jak na weekend przyjdą znajomi – dla sześciu osób, a czym innym prowadzenie restauracji przez 365 dni w roku, mierzenie się z pracownikami, klientami, którzy by-

wają wredni, bywają chamscy. Bywają też w restauracjach zwykli złodzieje i z tym wszystkim trzeba wiedzieć, jak sobie poradzić.

Złodzieje?

– Jestem teraz na wakacjach i szukam restauracji, które mają wysoką ocenę na Google'u. Całkowicie naturalny proces. A są ludzie, którzy przychodzą do restauracji, jedzą, kelner pyta, jak smakowało, wszystko super. Placą, podchodzą do obsługi i mówią tak: „Słuchajcie: albo dacie nam flaszkę na wynos, albo my wam wystawimy trzy jedynki na Google'u”. To jest szantaż, to jest karalne.

Ale lokal, który będzie miał małą liczbę opinii, niestety czemuś takiemu ulegnie. Bo trzy jedynki przy 15 opiniach oznaczają mocny spadek oceny restauracji. A dla nich każda opinia jest na wagę złota.

Takich rzeczy jest mnóstwo. Ludzie, biorąc się do otwarcia restauracji, nie wiedzą, że regularnie co roku będą musieli dokupywać kilkaset talerzy. Bo się tłuką dwa, trzy dniennie. Niech pan zbije lub uszczerbi dziennie jeden, po roku nie ma pan 365 sztuk. Wreszcie goście kradną sztućce. Jadą w jakieś miejsca turystyczne, biorą nocleg, jakiś apartamencik, jakiś domeczek, a tam nie ma sztućców. Idą do restauracji, pani weźmie nóż, ktoś inny widelec, łyżeczkę. Jak to teraz pomnożymy przez liczbę dni w roku, liczbę obsługiwanych stolików, to musimy dokupić 700 kompletów rocznie sztućców, które dostały nóg i wyszły.

Dziś statystyczny Polak wydaje około 5,7 procent budżetu domowego na jedzenie poza domem – średnia europejska to około 8 procent. Ponoć te wydatki mają rosnać. Czy to znaczy, że Polacy częściej będą jeść w restauracjach?

– Tak. Tylko że te restauracje będą inaczej zorganizowane niż teraz.

Będzie ich mniej?

– Odpowiem inaczej. Jaka jest pana zdaniem największa sieć gastronomiczna w Polsce?

McDonald's?

– Blisko. Największa jest Żabka, 11 500 lokalizacji, które oferują ciepłe dania, zapiekanki, jakieś frytki, pizze, tortille i ta oferta różnie.

W każdej lokalizacji mają merrychefa. Co to jest merrychef? To bardzo mocna mikrofalówka z funkcją pieca, czyli jak ja tam włożę zamrożoną pizzę, to w środku będzie gorąca, a z góry przypieczona.

Żabka bardzo mocno rozpycha się teraz po rynku, drugi jest McDonald's, trzeci Orlen ze względu na liczbę lokalizacji.

A liczba takich klasycznych lokali gastronomicznych będzie spadać. Z wielu powodów. Podam dwa. Jak pan otworzy portal z ogłoszeniami o pracę, to w dziale gastronomii jest większa liczba ogłoszeń niż w kilku innych popularnych razem wziętych. To wynika z sytuacji demograficznej. Praca w gastronomii była i jest często pierwszą pracą, jaką wykonują młodzi ludzie. A przez sytuację demograficzną, którą mamy, rodzi się coraz mniej dzieci, więc coraz mniej młodzieży wchodzi na rynek. Coraz wyższe będą więc koszty pracy, a co za tym idzie – restauracje będą coraz droższe.

I drugi powód. Dzisiaj, jeżeli chcesz kupować w sensownych pieniądzach dobre produkty, to musisz mieć wolumen zakupowy. Jeżeli kupujesz mało, to kupujesz drogo, a jak kupujesz drogo, no to niestety musisz drogo sprzedawać. A jak sprzedajesz drogo, to nikt ci do lokalu nie przyjdzie.

Oprócz restauracji mamy też duży e-commerce, który został zrobiony między innymi po to, żebyśmy mogli optymalizować koszty zakupów w restauracji. Jeżeli bym potrzebował do restauracji oliwy, to w Polsce w hurtowni zapłacę za nią 60 zł za litr.

W swoim e-commerce sprzedajemy oliwę, więc mamy odpowiedni wolumen zakupowy we Włoszech bezpośrednio u producenta. Dla mnie jest to więc produkt, który mnie nie boli w kosztach.

Ale restauracje, aby być konkurencyjne cenowo, będą musiały się łączyć lub wchodzić w sieci franczyzowe.

Ile pan najdrożej zapłacił za jedzenie na mieście?

– Parę lat temu byłem w jednej z pierwszych w Polsce restauracji, która dostała gwiazdkę Michelina. Restauracja Senses, szefem kuchni był Andrea Camastra. Już jej nie ma, pandemia ją zmioła. Rachunek wyniósł bodaj koło 600 zł za osobę.

„Paragon grozy”?

– Nie. Absolutnie było warto. Zresztą jako restaurator wiedziałem, za co płaciłem. I do dzisiaj pamiętam niektóre dania.

Ale byłem też ostatnio w Krakowie w restauracji, która również posiada gwiazdkę, a nawet dwie. I było tam sporo marketingu, ale mniej jakości. Choć oczywiście to zawsze jest kwestia ocenna. Na koniec jest pytanie: smakowało czy nie? Było warto czy nie? ●



FOT. URSZULA KOCIARA

*Kamil Sakalus

• dyrektor zarządzający grupy Tatry Wysokie prowadzącej między innymi restaurację Schronisko Bukowina w Bukowinie.

Nieprzeciętność

Jeśli pracownicy Biura Bezpieczeństwa Narodowego dostrzegą u jakiegoś żołnierza czy urzędnika przeciętny poziom patriotyzmu, to zakaszą rękawy i będą mu ten poziom podnosić. Do wartości z pewnością nieprzeciętnych.



Michał Rusinek

Niedawno prezydent elekt Karol Nawrocki mianował na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomira Cenckiewicza twierdząc, że jest to: „wybitny intelektualista, akademik, autor wielu książek, nieprzeciętny umysł”. Zaraz po ogłoszeniu nominacji Cenckiewicz sam zabrał głos i w ciągu zaledwie trzech minut pokazał, że jest także nieprzeciętnym mówcą. „Chciałem podkreślić – powiedział – że nie ma dobrego funkcjonariusza, nie ma dobrego żołnierza, nie ma dobrego urzędnika, który by na co dzień [...] bronił polskiego bezpieczeństwa, jeśli nie będzie on miał patriotycznej, narodowej tożsamości”.

Coś tu nie gra z gramatycznymi czasami, chyba też niepotrzebnie zastosował w pierwszej części zdania negację, ale być może chciał przykuć naszą uwagę naginając nieco logikę i gramatykę. Uznajmy, że to taki zabieg retoryczny. Ważniejsze jednak, że jego zdaniem w polskiej armii broniącej naszych granic ma być miejsce wyłącznie dla żołnierzy rdzennie polskich o wysokiej świadomości nie tyle, broń Boże, obywatelskiej, ile narodowej.

Dalej pojawił się cytat, a właściwie trawestacja wypowiedzi Wincentego Witosa: „aby nie tylko polski uczeń wychodził Polakiem ze szkoły, ale żeby również każdy polski żołnierz, każdy polski funkcjonariusz był polskim patriotą”. Przyznajmy, że gdyby Cenckiewicz nam nie podpowiedział, że to trawestacja słów Witosa, tobyśmy się raczej sami nie zorientowali.

W międzyczasie wtrącił zdanie godne barokowego poety, zawierające bowiem wewnętrzną sprzeczność: „wierzę, że tak jest, ale musimy jeszcze tutaj, jak myślę, wykonać bardzo dużo pracy”. Albo tak jest, albo tak nie jest. Chyba że patriotyzm jest według Cenckiewicza cechą stopniowalną. Chyba jednak chodzi o to, że jeśli pracownicy Biura Bezpieczeństwa Narodowego dostrzegą u jakiegoś żołnierza czy urzędnika przeciętny poziom patriotyzmu, to zakaszą rękawy i będą mu ten poziom podnosić. Do wartości z pewnością nieprzeciętnych.

Nieprzeciętna była też metaforyka Cenckiewicza. „Chcę też podkreślić – znów podkreślił, bo podkreślać wyraźnie lubi – że nie będziemy takimi mimowolnymi akuszerami tego, co przyjdzie z rządu”. „Mimowolny” to taki, który stał się kimś przypadkowo, niezależnie od swojej woli lub wbrew tejże woli. Być może Cenckiewicz miał na myśli bardziej adekwatny do kontekstu przymiotnik „bezwolny”, ale uznał go za zbyt drastyczny.

Bardziej jednak zdumiewa rzeczownik. „Akuszer” to archaiczne określenie lekarza specjalisty z zakresu położnictwa, a więc kogoś, kto pomaga dziecku przyjść na świat, częściej występujące w rodzaju żeńskim, tutaj z wielu względów nieadekwatnym. Metaforycznie należy rozumieć „akuszerą” jako osobę – a w tym przypadku instytucję – która wspiera, ułatwia lub przy-

spiesza powstanie czegoś nowego, na przykład pomaga w rozwoju idei czy inicjatywy. Metaforyczny „akuszer” nie musi brać w czymś czynnego udziału; wystarczy, że będzie inspirować twórców.

Tu jednak mamy do czynienia z byciem, a właściwie nie byciem „akuszerem tego, co przyjdzie z rządu”, a więc Cenckiewicz z jednej strony deklaruje, że BBN będzie instytucją sprawczą, a nie tylko pomocniczą: sam będzie tworzyć coś nowego, a nie tylko pomagać w tworzeniu. Z drugiej strony, ta połączona metafora powoduje, że staje nam przed oczami malownicza, ale i lekko makabryczna wizja relacji rządu i BBN-u. Pomijając komplikacje genderowe, rząd byłby ciężarną kobietą, matką politycznych idei, które będzie musiał (musiała?) wydać na świat sam (sama?), bez pomocy ordynatora Cenckiewicza i jego położnych: mimowolnych, a więc – o zgrozo – przypadkowych ginekologów-amatorów. Oni nie dadzą się wbrew własnej woli ubrać w scrubsy, fartuch, maseczkę i czepek na gumce w kolorze morskiej zieleni, o nie! Jeśli przyjdzie do nich brzemienny w pomysły rząd – BBN powije pomysły własne, lepsze. Więc lepiej by było, gdyby rząd powijał swoje gdzie indziej: w stajni, w ubóstwie i chłodzie.

To nie koniec metafor. Sławomir Cenckiewicz obiecał także, że kierowane przez niego Biuro „będzie przede wszystkim merytorycznym, organizacyjnym wsparciem w realizacji konstytucyjnych zadań prezydenta Rzeczypospolitej” oraz podkreślił, że owo Biuro „nie będzie ani jakąś redutą kontestacji tego wszystkiego, co będzie dobrym projektem rządu [...], co będzie wychodziło na przeciw obronności państwa, naszego bezpieczeństwa, powiększania naszych zdolności obronnych”.

Po pierwsze, „wychodzić naprzeciw” można czemuś lub komuś, a nie czegoś lub kogoś. Są to najczęściej jakieś oczekiwania lub potrzeby.

Po drugie, po polsku – choć raczej po marketingowemu – nie można wyjść na przeciw obronności, bezpieczeństwu czy powiększaniu jakichś zdolności, ale, jeśli już, można na przykład wyjść naprzeciw potrzebie bezpieczeństwa lub oczekiwaniom związanym ze wzmocnieniem obronności.

Po trzecie, „kontestacja” oznacza sprzeciw wobec systemu np. społecznego czy politycznego i przystoi – jak czytamy w encyklopediach – raczej opozycjonistom, rewolucjonistom, anarchistom czy wręcz terrorystom niż urzędowi podległemu głowie państwa.

Po czwarte, aż się prosi, byśmy wstąpili na działo i spojrzeli na pole nie tyle gramatyczne, ile semantyczne, rozpościerające się prosto, dłużej i daleko w tym fragmencie. „Reduta” to inaczej szaniec, czyli – jak piszą fachowcy – „zamknięte, samodzielne dzieło fortyfikacyjne polowe lub półstałe”, przeznaczone do samodzielnie prowadzonej obrony. Cenckiewicz wybierając taką metaforykę przekonuje nas, byśmy nie postrzegali kierowanej przez niego instytucji jako szanica otoczonego przez siły wroga, jakim mogą się niektórym wydawać koalicjanci 15 października. O ile, rzecz jasna, Cenckiewicz uzna polityczne decyzje rządu za dobre.

W domyśle: jeśli uzna je za złe – wówczas BBN jednak może się stać białą, wąską, zaostrzoną, jak głaz bodzący koalicyjne morze – redutą Cenckiewicza. Nie można więc wykluczyć, że jeśli dojdzie do impasu w negocjacjach między prezydentem a rządem, wówczas Cenckiewicz skoczy w dół, do lochów i zgodnie z ideą kontestacji wysadzi się wraz ze swoją redutą. Wtedy wszystko jak sen zniknie i zostanie tylko ziemi niekształtnej czarna bryła – rozjemcza mogiła. A potem, jak pisał bądź co bądź narodowy wieszcz: „Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę”.

Wstyd za miękiszona

Co sprawia, że potrzeba surowości jest dziś tak silna, że przebacza autorytarnym politykom ich ekscesy, byle byli postrzegani jak twardziele?



Marcin Matczak

Surowość wróciła do łask. Dziś politycznie najlepiej sprzedaje się wizerunek twardziela: ciężka ręka, groźne spojrzenie i brak tolerancji dla „słabości”. Ktoś empatyczny czy wahający się jest przedstawiany jako „zniewieścialsy” i „nieudolny”. W efekcie „łagodność” stała się obelgą, a bycie miękiszonem największym wstydem.

Skąd ta moda? Te prostackie opozycje – twardy vs. miękki, walczak vs. zniewieścialsy inteligencik – to stary jak świat motyw autorytarnego myślenia. Klaus Theweleit, niemiecki socjolog, analizował pamiętniki i listy prawicowych bojówkarzy działających w Niemczech po pierwszej wojnie światowej, z których wielu później zasililo ruch nazistowski. W ich tekstach odkrył obsesyjny motyw kobiety jako siły chaotycznej i rozprzeczającej porządek. W ich głowie twardość, sztywność i nieprzenikliwość miały być tarczą przed niebezpieczną płynnością kojarzoną z kobiecością.

Ci bojówkarze deklarowali nienawiść do „czerwonej fali” rewolucji niosącej ze sobą poluzowanie norm, a także do mężczyzn, którym przypisywali cechy kobiece (słabość, bierność, histerię). Ta wizja doprowadziła do kultu siły i uznania, że przed zalewem zniewieścialsłości uzasadnioną obroną jest przemoc.

Zniewieścialsy „Inni”

Również George L. Mosse, historyk kultury, pokazał, że aby autorytarny ideał twardziela był spójny, w XX wieku rozpętało panikę moralną wokół zniewieścialsłości: wszelkie ruchy pacyfistyczne czy feministyczne oskarżano o osłabianie męskiego ducha narodu. Antysemici zaś przedstawiali Żydów jako słabych fizycznie, zniewieściałych intelektualistów, których przeciwstawiali krępkim „aryjskim” mężczyznom.

Autorytarni politycy potępiali też sztukę nowoczesną – jako „zdegenerowaną”. Była dla nich przejawem moralnej słabości i chaosu sprzecznych z klasycznym (męskim) ideałem piękna. Artyści awangardowi i kosmopolici byli elementem obcym i groźnym, bo „zniewieściałym”. Czy stąd kpiny prawicy z Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie?

Kobiety, choć odgrywały ważną rolę symboliczną (matka ojczyzna, alegoria narodu), nie podważały bezpośrednio ideału męskości, ponieważ przypisywano im inną domenę – miały być opiekunkami domowego ogniska i strażniczkami tradycji.

Autorytarną męskość zdefiniowano przez negację: miała być wszystkim tym, czym nie byli zniewieścialsy „Inni”: Żyd, gej, intelektualista, pacyfista, dekadent.

Wielu polityków liberalnego centrum zdaje się nie dostrzegać tej symbolicznej gry, która właśnie wraca do nas z podwójną siłą. Każda okazana emocja czy gest przyzwoitości zostają wykorzystane przeciwko nim, wpisując się w narrację o „słabeuszach”.

Łzy konstytucyjne

Przykłady można mnożyć.

Najbardziej znany to Szymon Hołownia i łzy nad konstytucją. Ale także Rafał Trzaskowski odchodzący od stołu w czasie debaty prezydenckiej 2025 roku po toku obelg od Grzegorza Brauna, między innymi antysemickich uwag o „żydowskim żonkilu” jako „znaku hańby”. Moralnie trudno mu się dziwić – nikt rozsądny nie chciałby słuchać takich bredni. Jednak przekaz poszedł w świat: kandydat odpuszcił. Komentarze ze strony prawicy triumfowały, że oto Trzaskowski „nie wytrzymał starcia”, „uciekł” przed przeciwnikiem. Zamiast aplauzu za zero tolerancji dla nienawiści – obraz polityka, który dał się sprostokować i stracił zimną krew, a więc okazał emocje.

W ten obraz wpisuje się też Donald Tusk i jego spóźniona twardość na granicach. Najpierw obiektywne patrzenie na nieistniejący problem wymyślony przez Konfederację, ale później, gdy presja rosła, zmiana frontu i wprowadzenie tymczasowych kontroli. Efekt? Komunikat o słabości. Prawica ogłasza, że to kapitulacja wobec „problemu, który sygnalizowała od dawna”.

Te sytuacje łączy jedno: przekaz, że liberałowie są „miękczy”. Ta narracja grozi absolutnie zewsząd. Gdy po wyborczej porażce Trzaskowski pokazał się na festiwalu Open’er z drinkiem i uśmiechem, wielu odebrało to jako potwierdzenie opowieści o liderze skupionym raczej na zabawie i odpoczynku niż walce.

Co sprawia, że potrzeba surowości jest dziś tak silna, że przebacza autorytarnym politykom ich ekscesy, byle byli postrzegani jak twardziele? Powodów jest kilka.

Liberałowie muszą przemyśleć strategię

Po pierwsze, lęk i potrzeba bezpieczeństwa. Żyjemy w niespokojnych czasach: pandemia, wojna za granicą, kryzysy ekonomiczne. Naturalną reakcją jest szukanie kogoś, kto walnie pięścią w stół i powie: ja was obronię, zapanuję nad tym bałaganem. Zwiększa się tak zwany elektorat bezpieczeństwa – grupa wyborców, którzy pragną stanowczości i prostych rozwiązań. Kto mówi ostrzej, ten zbiera emocje tego elektoratu.

Po drugie, psychologia autorytarnej osobowości opisana dawno temu przez filozofów. W czasach chaosu wolność dla wielu bywa ciężarem nie do udźwignięcia. Gdy czują się zagubieni i bezsilni, rezygnują z indywidualnego „ja”, podporządkowując się silnej osobie lub władzy. To forma masochizmu społecznego: lepiej oddać stery „twardzielowi”, który za nas zdecyduje, niż samemu błądzić w niepewności. Ta postawa idzie w parze z potrzebą agresji (sadyzmu) wobec słabszych – co widzimy właśnie na granicach.

Czy to znaczy, że trzeba wyrzec się łagodności i przyjąć pozę autokraty? Niekoniecznie. Ale wizerunek w polityce bywa ważniejszy niż intencje. Jeśli „dobry” jest odbierany jako „miękki”, a „miękki” jako „niezdolny do rządzenia” – to liberałowie muszą przemyśleć strategię. Muszą nauczyć się komunikować swoją stanowczość, nie tracąc przy tym duszy. Inaczej zawsze będą na przegranej pozycji w starciu z przeciwnikiem, który buduje politykę na byciu bardziej maczystowskim niż macho.

Liberalni demokraci chcą być empatyczni i kulturalni, bo wierzą, że polityka powinna taka być. Nie dostrzegają, że w oczach wielu wyborców taka postawa jawi się jako słabość.

Wyborca bombardowany przekazem o rozpadającym się świecie nie chce polityka, który razem z nim zapłacze czy pójdzie na koncert dla odstressowania. On chce taty. I to takiego z pasem.

Popatrzyłem KACZYŃSKIEMU W OCZY



Ziemowit Szczerek

Po raz kolejny okazało się, że polityka nie dzieje się naprawdę.

W Bogatyni było ładnie, ale pusto. Prawie żadnych ludzi na ulicach, bo upał, i tylko rowerzyści jeździli po mieście, szukając trójstyku granic. Jest lipcowa sobota i podobno jesteśmy w samym środku migracyjnego i antymigracyjnego kryzysu.

Tyle że w ogóle tego nie widać. Ani migrantów, ani wściekłych tłumów na ulicach. Wygląda na to, że polityka – ta serwowana ludziom w telewizorach i w serwisach internetowych – nie istnieje.

Ale istnieje. W telewizorach, komórkach i w głowach ludzi. Rzeczywistość w końcu dogoniła „Czarne lustro”.

Pod drogowskim na Zittau, czyli Żytawę, na rozgrzanym asfalcie ślady spalonych opon i kręconych bączków. Przygraniczna, prowincjonalna nuda. Albo idylla. Zależy, jak na to spojrzeć.

Zaparkowałem na wielkim, pustym parkingu pod Biedronką, przed budą z napisem po czesku i po

niemiecku, że tanie papierosy, nieopodal wielkiego szyldu z napisem „Pizzeria”, lecz ze zdjęciem kotleta schabowego – i poszedłem wykładaną kostką drogą.

Szedłem w stronę trójstyku. Obok szedł siwy pan z wnuczką – a może córką – i opowiadał jej, że był tutaj, gdy Polska weszła do Unii Europejskiej. I te granice otwierano. Że byli tutaj ważni politycy ze wszystkich trzech krajów. Aż mi się zachciało zapłakać za tymi czasami. Byliśmy pełni nadziei i tacy niewinni, myślałem. Późny Fukuyama, myślałem. Koniec historii, myślałem. W dzisiejszych czasach raczej granice się zamyka.

Choć większych powodów nie ma. To znaczy są. W telewizji i w internecie. Ale tylko tam.

Patrzyłem na rzekę i trzy flagi. Czechy, Niemcy i Polska. Wielki ukrzyżowany Chrystus po polskiej stronie wyglądał jak szyderstwo. Wiszący na krzyżu Żyd z Bliskiego Wschodu wygląda we współczesnej Polsce raczej jak hasło: „Oto, co ci zrobimy, jak cię złapiemy”, niż jak symbol miłosierdzia. Ale już nie miałem siły rozmyślać o tej niekonsekwencji.

W końcu polsko-niemiecką granicę patrolował Ruch Obrony Granic pod rasistowskimi hasłami, ale i z przypinkami: „Zło dobrem zwyciężaj”. Jeden z twórców tego Ruchu, współpracujący z PiS Robert Bąkiewicz – ten sam, który rozkręcał Marsze Nie-

podległości – wrzucał na społecznościówki zdjęcia z „nocnych patroli na granicy” z podpisem, że Niemcy „to nasi wrogowie, którzy prowadzą z nami wojnę hybrydową”. Na te same społecznościówki wrzucał też radosne selfiaki ze świebodzińskim Jezusem i hasłem: „Jeśli Bóg z nami, ktoż przeciw nam?”.

No cóż, Robert. Historia pokazuje, że całkiem wielu. Że mogą być całkiem skuteczni. I że Polska raczej powinna szukać gwarancji u sojuszników niż u Boga. Szczególnie że ci sojusznicy rozbudowują właśnie armię. No ale chrześcijaństwo w wykonaniu polskiej prawicy jest tak puste, jak wnętrze tego świebodzińskiego wydmuszkowego Jezusa wykonanego z siatkoconu na rusztowaniu.

Ale tu, na trójstyku granic, nadal można odnieść wrażenie radosnego końca historii. Tu Schengen nadal istnieje, rozleniwieni rowerzyści wykładają się na trawie, motocykliści luzują w upale zbroje. Wręcz niemożliwie idyllicznie. Ani migrantów, ani bojówkarzy. Lato, turyści i święty spokój.

Tu, na pograniczu, nikt, z kim rozmawiałem, nie przejmował się „zamkniętymi granicami” ani „kontrolami”. Lokalsi wiedzieli doskonale, że to wszystko to tylko medialne bicie piany. Że to, co widać w te-

Też byłem
na granicy niemieckiej.
Ani migrantów,
ani bojówkarzy.
Lato, turyści
i święty spokój.



lewizji, nie zgrywa się z tym, co widać było przez okno. Dlatego się nie przejmowali. Reszta Polski drżała ze strachu przed barbarzyńcami ze Wschodu i z Zachodu.

Kiedyś teorie spiskowe istniały na politycznych marginesach. Dziś są w samym środku politycznej debaty. Czerwona pigułka, niebieska pigułka? Matrix czy rzeczywistość? Bez znaczenia: weźmiesz czerwoną, a matrix i tak cię dopadnie.

Na niemieckiej granicy w Żytawie puściuteriko. Niemcy przywrócili tam kontrole, ale wyglądają one tak, że na środku drogi stoi znudzony pięćdziesięciolatek w mundurze, scrolluje smartfona i leniwie podnosi głowę, gdy coś przejeżdża. Nad głową ma rozpięty daszek od słońca.

Po polskiej stronie nikogo. Ani „obrońców granic”, ani policji czy straży granicznej. Jeszcze.

Bo za kilkadziesiąt godzin premier Donald Tusk ogłosi przywrócenie kontroli. Choć, szczerze mówiąc, z tą „kontrolą” też media przesadzały, tylko w drugą stronę. Bo okazała się trochę jak ta niemiecka – mocno punktowa, bardziej o obserwacja.

A na razie po niemieckiej stronie kilku śniado-skórych facetów stoi przy zabudowaniach dawne-

go przejścia i gawędzi z niemieckim mundurowym. Mogą przejść do Polski, mogą wrócić. A Niemcy mogą, gdyby chcieli, przywieźć tutaj pół Erytrei i nikt by nie zauważył. Tylko że nie wwożą.

Owszem, czasem Niemcy faktycznie Polakom podrzucają migrantów, którym u siebie postanowili nie udzielać azylu. Podobnie zresztą jak Francuzom, Szwajcarom, nawet Luksemburczykom. Tylko że tych migrantów jest garstka: kilkuset do tysiąca miesięcznie.

No i cóż: Niemcy robią to od dawna. Na podstawie kilku praw. Procedura dublińska, readmisja, odmowa wjazdu – niemieckie i polskie służby bawią się tymi nieszczęśliwymi migrantami w kotka i myszkę. A to Polacy nie wpuszczają relegowanego przez Niemców Afgańczyka, więc Niemcy przywołują go na inne przejście i nakazują iść do Polski, a Polacy zawrócą znów, i tak w kółko.

A to Niemcy wyrzucą do Polski Mołdawianina, którego Polacy zawiozą na inne przejście i wypuszczą z powrotem do Niemiec.

Wszystkiemu temu dość daleko do poziomu „kryzysu”. O którym miejscowi dowiadują się z dużych i małych ekranów.

– Ty, no ja to się zdziwiłem, że takie halo nagle – mówi trzydziestokilkulatek tankujący auto. – Bo wielu to ja tu ich nie widzę. No ale może faktycznie coś się dzieje, nie wszystko widać tak na pierwszy rzut oka.

Faktycznie halo nagle się zrobiło. A zrobiło, bo wyspecjalizowane w hejcie internetowe profile zaczęły ze zwiększoną intensywnością wrzucać historyczne newsy o krwiożerczych migrantach gwałcących, mordujących i okradających. Newsy odgrzewane, słowo w słowo brzmiące jak w latach 2015 i 2023, przed kluczowymi wyborami.

PiS zaraz zagrzmiało na X, że złoży projekt ustawy zakazującej wjazdu osób z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, ale się pokapowało, że trochę się rasistowsko zagalopowało, więc skasowało wpis i napisało, że chodzi o „obywateli wybranych państw”.

Ale Bąkiewicz nie wymiękł i coraz szerzej zbierał „roty” do Ruchu Obrony Granic.

Nie wymiękł też Dominik Tarczyński, europoseł PiS. Widząc w necie zdjęcia nagich ciemnoskórych ludzi ze związanymi rękami na ulicach Lubina, uznał, że po co się zastanawiać, co jest z tym obrazkiem nie tak, lepiej kuć żelazo, póki gorące, więc zaczął gromko wzywać do ekstradycji. Zupełnie się nie przejmując, że to ludzie, którzy uciekli przetrzymującym ich bandytom.

Tak. Z potencjalnych wątków, które mogą pojawić się w horrorach, zawsze przerażał mnie jeden. Jakiś człowiek jest przetrzymywany przez sadystycznego przestępcę w jakiejś kryjówce, ale cudem udaje mu się uwolnić. Wyzwała się z więzów, myli pogoń i ucieka, dociera do ludzkich siedzib, już czuje, że to wszystko, że oto się udało, że jest uratowany, my też nabieramy powietrza, żeby odetchnąć z ulgą. Puka do jakichś drzwi – i otwiera mu ktoś taki jak europoseł Tarczyński.

Zapytałem znudzonego niemieckiego pogranicznika w Żytawie, czy już widział „roty” obrońców polskich granic. Powiedział, że w wiadomościach coś słyszał.

To samo na kolejnych przejściach. Na jednym już stali polscy policjanci. Też się nudzili. I też nikogo nie widzieli. Ani migrantów, ani obrońców. Z Polski do Niemiec i odwrotnie jeździli tylko weekendowi kolarze ubrani w obcisłe stroje, bo to warto mieć styl – jak śpiewał Lech Janerka.

Jechałem wzdłuż granicy na północ. Raz po polskiej stronie, raz po niemieckiej. Polska strona wyglądała coraz lepiej – odremontowane centrum Bogatyni, dobre drogi, samochody pasące się na parkingach pod supermarketami, a niemiecka – być może nie coraz gorzej, ale na tle pacykującej strony polskiej jakoś bardziej zgrzebniej i postenerdowsko niż dawniej. Co nie zmienia faktu, że i tak była bardziej harmonijna. Widać ciągłość i długie trwanie. U nas raczej jarmark i wesoły postmodernizm.

Gdzieś pod Ostritz stał volkswagen golf z napisem: „Wild, Wild East”, na tyłnej szybie. Oglądałem kiedyś niemiecki serial kryminalny dziejący się w tych stronach, na Łużycach. Niemcy przedstawiali ten region mniej więcej tak, jak Polacy przedstawiają Podlasie: pełne dziwnych, nie do końca zrozumiałych obyczajów, czarów, biedy i patologii. Łużycanie wyglądali w tym serialu jak ktoś w rodzaju Rosjan: nosili wojskowe gimnastiki w paski, jedli bliny i nadużywali alkoholu. Na tym kończyły się

wyobrażenia niemieckich filmowców na temat Słowian.

A tak naprawdę ze słowiańskości było tu niewiele. Napisy po łużycku na znakach i tyle. Za to po drugiej stronie Nysy tak trudno się odpędzić od niemieckości, że nie ma innego wyjścia, jak tylko uznać ją za rodzaj polskości.

Tak więc było tu ciekawie. Tylko migrantów nadal nie było, choć minąłem już tyle przejść tak bardzo pustych i niestrzeżonych, że mogliby dokonywać inwazji za inwazją. A Niemcy mogliby ich tu przerzucać tysiącami. A tu ani ich, ani pisowskiego przedmurza chrześcijaństwa.

Obrońców ojczyzny z Ruchu Obrony Granic zobaczyłem dopiero w Zgorzelcu. Jechałem z niemieckiej strony, a na środku drogi stała pani w żółtej kamizelce i gapiała się przez lornetkę na niemiecką stronę. Czyli w kamienicę po drugiej stronie mostu. Albo na drzewa przy ulicy. Albo na zaparkowane samochody. Bo więcej tam nic nie było. Minąłem ją, nie do końca rozumiejąc, co się tu odbywa.

Zrozumiałem dopiero po chwili.

Ci obrońcy to było kilkunastu emerytów, kilku dzieciaków. Stali po tej stronie drogi, którą się z Polski wyjeżdża, a nie wjeżdża. Czasem któryś schodził z chodnika, brał lornetkę i podobnie jak koleżanka na wysuniętej szpicy wbijał wzrok w jakiś punkt po drugiej stronie mostu. W kamienicę. W drzewo. W samochód niemieckiej policji. Bawił się w tropiciela. Udawał, sam przed sobą też, że patrzy, czy migranci nie nadchodzą. Czy ich Niemcy nie wiozą. Tak jakby mieli wwozić ich teraz: w środku dnia, w weekend, w sobotę, w piękną pogodę, przeciskając się przez tłumy turystów.

To było tak irracjonalne, głupie i bezsensowne, że nawet śmiechem nie parsknąłem. Bo żal mi się tych obrońców zrobiło.

Bo stali tak, po złej stronie drogi, bezbronni, bezsilni, zmanipulowani, wyrolowani, bawili się w nieistniejącą wojnę, w którą uwierzyli, bo im prezes PiS, Bąkiewicz i Krzysztof Bosak powiedzieli, że to od nich, od „rot Ruchu Obrony Granic” i im podobnych zależy przyszłość Rzeczypospolitej.

No więc stali w upalną sobotę, w samym środku radosnego, wolnego dnia, pomiędzy tłumami ludzi celebrujących weekend, przejęci jak dzieci, którym dano do ręki patyki i kazano strzelać.

Tak. Tyle się mówiło o pogardzie „liberalnych elit” wobec „ludu” i w porządku, ale tutaj widziałem na własne oczy, jak inne elity – w sumie bardzo do tych liberalnych podobne, tylko z innymi rzeczownikami i czasownikami, bo już przymiotnikom zdarza się powtarzać, w podobnie konstruowanych frazach – robią z tego „ludu” głupków na oczach całej Polski.

Szedłem ze starszym panem i jego wnuczką, a może córką, ku granicy polsko-niemiecko-czeskiej i chciało mi się płakać. Kiedyś byliśmy tacy pełni nadziei i tacy niewinni

Przyglądałem się, jak ten sam „lud”, którego obrońcami prawnicowe i narodowo-populistyczne elity chcą się jawić, jest pogardzany i manipulowany bez żadnego wstydu. Na poziomie, na jaki liberałowie chyba nigdy się nie wspięli.

– Nie ze złej strony stoicie? – zagailem kogoś pocziwego pana z biało-czerwoną flagą. – Bo jak z Niemiec będą jechali, to raczej z drugiej strony drogi.

– Zdążymy dojść, jakby co – zapewnił mnie pocziwy pan. – To blisko. Nie ma obaw.

– Aha – pokiwałem głową i podszedłem do pana z lornetką. – I co pan tam widzi przez tę lornetkę?

– To, co się zazwyczaj widzi przez lornetkę! – odpowiedział nieufnie pan z lornetką.

– Uwaga! Idą! – ostrzegła jakaś pani, wskazując chodnik po drugiej stronie szosy.

Szła grupa młodych ludzi. Jedna z wielu przechodzących mostem ze Zgorzelca i Goerlitz i z powrotem. Jakies roześmiane dwudziestokilkulatki. Tak blond, biali i w ogóle, że bardziej się chyba już nie dało.

Pan z lornetką spojrzał na nich przez lornetkę, po czym, zdając chyba sobie jednak sprawę z idiotyczności całej sytuacji, opuścił szkła. W życiu chyba nie widziałem tak cynicznie upodlonych ludzi.



• **Baner Ruchu Obrony Granic przed przejściem granicznym w Kosztrzynie nad Odrą (7.07.2025)**

FOT. PIOTR SKÓRNICKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

– A kim pan właściwie jest? – zapytał jeszcze jeden facet.

Potem poszło szybko. „Prowokacja”, „komuna”, „agentura”, „proszę nie robić mi zdjęć”, „spotkamy się w sądzie” i tak dalej. Jakaś pani zaczęła wymachiwać mi przed oczami połami własnej narzutki. Tak żeby zasłonić przed moim wrażliwym okiem grupę bohaterskich obrońców granic.

– Ty Europejczyku! – zawołał za mną ktoś, gdy odchodziłem.

Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. Nie wierzyłem, że dorośli ludzie mogą się dać aż tak zrobić w wariata. Było mi ich żal.

A za parę godzin naczelnym manipulator Jarosław Kaczyński miał się zjawić w Rosówku. Na przejściu granicznym w Zachodniopomorskiem. Niedaleko Kolbaskowa.

Jak się nazywa ktoś trzepiący zysk na czyjejś krzywdzie? A na celowym wprowadzaniu w błąd?

Musiałem popatrzeć mu w oczy.

Jechałem więc dalej na północ. Raz po polskiej, raz po niemieckiej stronie. Niemiec-kie „kontrole” polegały na tym, że przed granicą się zwalniało, a oni machali rękami, żeby jechać dalej. A polskie polegały na tym...

...granica była pusta. Poza rowerzystami. Ci byli wszędzie. Tylko nie w porostawianych przy przejściach granicznych Polenmarktach. Tam kupujących nie za wiele, sporo kramów pozamykanych. Sprzedawcy narzekali, że to już nie to, co kiedyś.

Ale nie, żeby jakieś specjalne utrudnienia na granicy, coś pan. Po prostu ludzie mniej przyjeżdżają. Po tanie papierosy to jeszcze. Ale po podrabiane adidas-y albo po durnostojki do ogródków, jakieś krasnoludki gipsowe czy plastikowe orły – to już mniej.

– Być może rynek się nasycił? Albo ludzie się wzbogacili i kupują oryginalne. W sumie my z rodziną też po zakupy to do galerii – zastanawiał się jeden ze sprzedawców.

W Gubinie po polskiej stronie stał kontener biurowy polskich pograniczników. Już czekał na „przywrócenie kontroli granicznej” o północy. Czyli tak naprawdę na to samo, co od dawna było po niemieckiej stronie i co nikomu specjalnie nie wadzi.

Przywieziono ten kontener aż z Przemysła.

Tylko po cholere. Bo cóż, że to będzie bardziej obserwacja niż kontrola. Liczą się emocje. Wrażenie. Szkoda, jak to się mówi, wizerunkowa. Tę kontrolę należało albo przywrócić już parę lat temu, kiedy Niemcy zaczęli odsyłać nam pojedynczych migrantów, a my zaczęliśmy im ich od-odsylać, albo w ogóle nie wprowadzać, bo przecież realna sytuacja się nie zmieniła.

Ale zmieniła się sytuacja polityczna. Albo inaczej: ktoś naopowiadał kłamstw, a ludzie w to uwierzyli. A media podchwyciły. I cyk – rzeczywistość przestała mieć znaczenie. Władza musiała coś zrobić. Głupio, nie głupio, cokolwiek, byle szybko. I tylko dlatego do Gubina przytachano kontener Straży Granicznej z drugiego końca Polski. Kręciłem głową z niedowierzaniem i jechałem na północ, do Rosówka, popatrzeć w oczy Kaczyńskiemu.

W Rosówku stali mniej więcej tacy sami ludzie jak ci w Zgorzelcu. Tylko że było ich więcej. Na oko – jakieś sto pięćdziesiąt osób. Starsi, w podkoszulkach z napisami: „Obrońca granicy” i „Republika TV” albo po prostu ze „Polska”, plus paru gołowąsów w markowych szortach z outletów, z piterkami przez pierś. Jeden pan miał na głowie czerwoną „MAGA hat” z napisem „Trump”.

Sporo było flag. I atmosfera pikniku. Plus ten słynny biały namiot z wymalowaną informacją: „Nie chcemy inżynierów”. Bo tak się w tym środowisku mówi na migrantów. Ironicznie, że niby taki żart z zapewnień lewicowych i liberalnych mediów, że syryjskich czy somalijskich migrantów nie ma się co bać, bo to wykształceni ludzie, inżynierowie, nauczycielki i dentyści, którzy po prostu uciekają przed wojną.

Wszyscy czekali na Jarosława. Kręciłem się i odbywałem kulturalne small talki. Bo ludzie byli bardzo mili. Kulturalni. Starsi państwo, trochę dwudziestokilkulatków, ale raczej nie w typie siłowniowo-kibolskim. Normalne typki, z tych, których widuje się w autobusie w koszułkach z Polską Walczącą.

No więc smalltalkowałem, że ładna pogoda i że nic nie szkodzi, że mi jakaś pani stanęła na bucie. I podsłuchiwałem.

– Ale też trzeba powiedzieć, że tych migrantów to nie ma za wiele – mówił jakiś pan z flagą. – No ale za to ci, co są, to nie wiadomo kto! – mobilizował się.

– Ja to bym ich wszystkich na wóz z gnojówką i do Niemiec wywozował – odpowiadała ogólnie przyjemna pani.

I tak sobie rozmawiano. Tłumek stał przed dawnymi zabudowaniami Straży Granicznej, w których teraz urządzono mieszkania komunalne. Lokatorzy, chcąc nie chcąc, uczestniczyli w wiecu. Ale nie wyglądali, jakby mieli za złe, i odnosiłem wrażenie, że gdyby tak jacyś lewacy, liberałowie albo obrońcy demokracji wdarli się ze swoim protestem ludziom właściwie na podwórka, to dostaliby ochrania.

Ale nie dostali, bo nie zdążyli się wdrzeć. Tylko zakłócili trochę piknikową atmosferę, choć zorientowałem się w ostatniej chwili, że to kto inny, po transparentach: „Rozjebałeś samolot, rozjebujesz Polskę”. Policjanci po cywilu brutalnie rozwiązali kontrzgromadzenie.

– Ja rozumiem, prowokacja – powiedziała kobieta w średnim wieku trzymająca białą-czerwoną flagę do mężczyzny w średnim wieku, który też trzymał białą-czerwoną flagę. – Ale żeby od razu o samolocie?

– Niech uważają, bo w papę dostaną! – pohukiwał groźnie jej towarzysz zdecydowanie mniej wyrozumiały.

Aż w końcu nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali. Zaczęli kręcić się techniczni, ustawiono mikrofony, pojawiła się ochrona ze słuchawkami w uszach, podjechały limuzyny, przy mikrofonach zaczął się kręcić Joachim Brudziński w letniej sportowej marynarce, aż rozległ się aplauz: do mikrofonu torowano drogę samemu prezesowi PiS Jarosławowi Kaczyńskiemu. Był niziutki, siwiutki.

– Kręć! Kręć! – krzyczał jakiś pan do małżonki, której udało się przedostać bliżej prezesa. Ja stałem całkiem blisko. Też robiłem zdjęcia. Co tam. Atmosfera mi się udzieliła. A Kaczyński zaczął mówić.

Recytował klasykę. Że przyjechał tu głównie po to, by podziękować zgromadzonym tu, na przejściu, obrońcom granicy. Że tysiące migrantów na nas idą. Że nie wiadomo, co to za ludzie. Że Niemcy traktują

nas jak kraj podległy. I że celem Tuska jest to, żeby był całkowicie podległy.

Opowiadał, że zamierza złożyć projekt ustawy, żeby obywatele „niektórych państw” nie mogli wjechać do Polski. Nie bawił się w żadne analizy, czy sytuacja faktycznie tego wymaga. Po co. Przecież wiadomo. Jest zagrożenie. A Tusk nic nie robi. No okej, chce wprowadzić te kontrole, ale wiadomo, na czyją korzyść będzie kontrolował?

Słuchałem tego jak zahipnotyzowany. I ze wściekłością pomieszaną ze wstydem podziwiałem hipnotyzera.

Bo przecież tą wyobrażoną sytuacją żyje cała Polska. Granica, na której nic się nie dzieje, nie schodzi z pasków w telewizji. Wszystkie ważniejsze podcasty polityczne poświęciły, poświęcają lub zamierzają poświęcić temu nieistniejącemu problemowi osobne odcinki. Pół Polski jest przekonane, że za chwilę naprawdę, jeśli tego nie powstrzyma Ruch Ochrony Granic, czyli ci starsi ludzie, z którymi okazynie i dla efektu robią sobie od czasu do czasu zdjęcia przyjezdne grupki kiboli, nastąpi koniec Polski. A drugie pół, że też nastąpi, jeśli „nasz rząd” nie zrobi czegoś z tymi „faszystami”.

Patrzyłem, jak jeden starszy pan opowiada niewielkiej grupie innych starszych państwa, że Polska jest w niebezpieczeństwie, i jak to jego opowiadanie niesie się w Polskę i tą Polską trzęsie. Jak oczy kamer wszystkich telewizji i obiektywy smartfonów kierują się na ten gerontokratyczny show. Jak zenująca i bezwstydną manipulacja jednego staruszka opowiadającego androny innym staruszkom przykuwa wzrok i rozpała emocje całej Polski.

Patrzyłem na ten wielki szwindel, na pompowanie fantomu, nieistniejącego problemu, na szczucie na sojuszników w sytuacji, gdy za miedzą mamy wojnę, na przenoszenie teorii spiskowej z marginesu do samego środka debaty publicznej. I przypominałem sobie stary, z moich nastoletnich czasów, film „Wag the Dog”, po naszymu „Fakty i akty”, w którym, aby wydobyc prezydenta USA z opalów, jego piarowcy wymyślili nieistniejącą wojnę, i patrzyłem, jak ta gorzko-straszno-śmieszna fabuła zamienia się na moich oczach w rzeczywistość.

Myslałem o odpowiedzialności polityków za ludzi, których reprezentują, patrzyłem na nadużycie tego zaufania i deptanie tej odpowiedzialności, patrzyłem na to robienie ludzi w wale w świetle kamer, w białe dzień i w majestacie państwowych instytucji – i nie wytrzymałem.

– To kłamstwo – powiedziałem głośno. – Nie ma żadnego zagrożenia.

Chciałem mówić o odpowiedzialności, o politycznej zabawie państwem, o oszukiwaniu własnych wyborców, o tym, jak trzeba gardzić swoimi sympatykami, by pchać im do głów oczywiste bzdury, ale z zimną wściekłością na twarzy rzucił się na mnie z rękami Joachim Brudziński.

Roześmiałem się, odepchnąłem go, pytając, czy takie rzeczy przystoją europarlamentarzyście, ale zaraz wokół mnie zrobił się tumult. I tłumek wyprowadził mnie z imprezy.

I skończyło się jak zwykle. I nic się nie zmieniło.

Król był nagi, wszyscy to widzieli. I co z tego. ●

„Tatuaż z tryzubem”

i „Wymyślone miasto Lwów”,

czyli Szczerek opisuje Ukrainę od środka. Książki dostępne na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booków na Publio.pl.



wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wierczok, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
LICENCJEN TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Krajobraz po wyborach prezydenckich

UMIERA DUOPOL,
NIECH ŻYJE DUOPOL

„Poglądy odrażające, ale szanuję”.
Za dwa lata Sejm będzie wyglądał zupełnie inaczej

Przemysław Sadura
Sławomir Sierakowski

Wyborcy i media koncentrują się na tym, co widzą na powierzchni, czyli na bieżącej polityce i publicystyce.

W wyborach prezydenckich to koncentracja na bieżących wydarzeniach zmyliła polityków obozu Trzaskowskiego – a tymczasem nie tyle udana kampania, ile zachodzące od dłuższego czasu procesy społeczne wyniosły na tron niemal anonimowego kandydata, jakim był Karol Nawrocki. Te procesy są wręcz tektoniczne i zakończą się zmianą całego porządku politycznego w Polsce.

Zwycięstwo Nawrockiego zwiastuje narodziny nowej prawicy charakteryzującej się radykalnym populizmem konserwatywnym, który łączy martyrologicznie rozumiany patriotyzm z antyelitarną retoryką i autorytarnymi impulsami. Ta nowa formuła różni się znacząco od prawicowego populizmu lat 2015-23.

Po pierwsze, jest bardziej radykalna – opiera się nie tylko na krytyce konkretnej partii czy Donalda Tuska jako jej symbolu, ale też na fundamentalnej kontestacji liberalno-demokratycznego porządku.

Po drugie, kontestacja ma charakter międzypokoleniowy. Dotyczy i starszych wyborców o tradycyjnych poglądach, i młodych antysystemowych radykałów.

Kluczem do tego sukcesu jest zmiana osi sporu. Zamiast konfrontacji „PiS kontra anty-PiS” prawica narzuciła nowy podział: za istniejącym systemem czy przeciwko. Nawrocki reprezentował to, co „radykalne” i „autentyczne”, także dzięki zbuntowanej biografii, gdy Trzaskowski funkcjonował jako kandydat „systemu” i „elit”.

Centrum i lewica parlamentarna mogą na długo znaleźć się w defensywie. Porażka murowanego faworyta Trzaskowskiego była nie po prostu sumą błędów w kampanii wyborczej (Karol Nawrocki niczym specjalnym się też nie popisał), ale rezultatem fundamentalnej niezgodności z nastrojami w społeczeństwie.

Nowa prawica stanie się kluczowym aktorem. Elektorat młody, nieźle wykształcony, ale głęboko antysystemowy, a jednocześnie świadomy i aktywny – może zapewnić prawicy dominację na kolejne dekady.

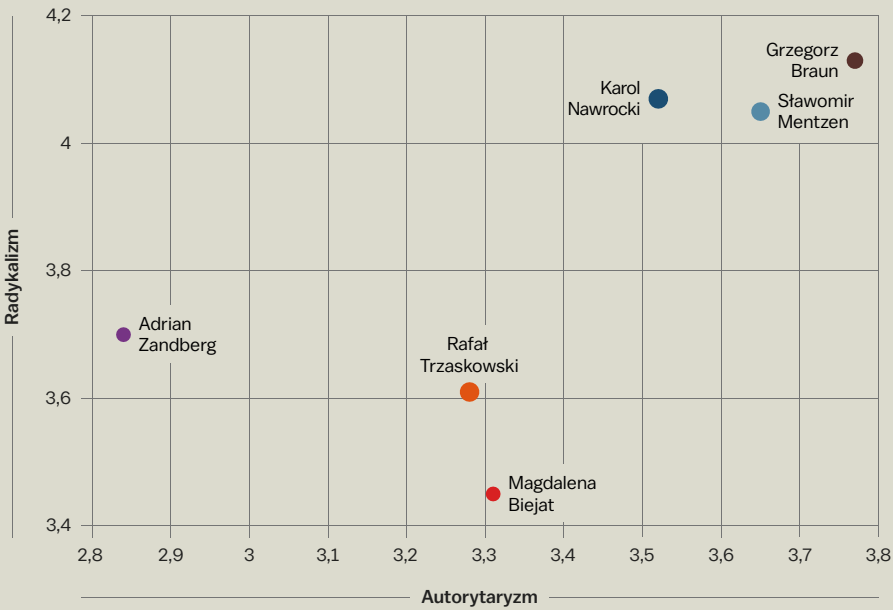
Radykalizacja może się stać trwałą cechą systemu politycznego. Znaczna akceptacja dla radykalnych polityków i metod, widoczna we wszystkich elektoratach, wskazuje na erozję demokratycznych i liberalnych norm, już wcześniej słabo zakorzenionych na prowincji. Dlatego zmiany zajdą również po lewej stronie sceny, gdzie Lewicę może zacząć wypierać formacja Razem, która dobrze odczytała nastroje.

Stworzono 6 indeksów syntetycznych postaw politycznych

Wartość każdego indeksu obliczono jako średnią ze wszystkich pytań się nań składających.

Indeks	Definicja	Składowe zmiany (pełne wersje pytań; ocena na skali od 1 do 5)
Indeks Antysystemowości	Poziom przekonania o nieskuteczności i niesprawności obecnego systemu politycznego oraz potrzebie jego radykalnej zmiany.	P2_1: Głosowanie w wyborach to dziś bardziej formalność niż realny sposób na zmianę sytuacji w kraju. P2_5: Większość polityków, niezależnie od partii, jest oderwana od rzeczywistości i nie rozumie problemów zwykłych ludzi. P2_7: Obecny system polityczny w Polsce jest tak niesprawny, że nie da się go naprawić. Potrzebny jest wstrząs i zbudowanie wszystkiego od nowa.
Indeks Autorytaryzmu	Poziom akceptacji dla silnego przywództwa i elastycznego podejścia do zasad demokratycznych w imię skuteczności.	P2_6: Posiadanie silnego lidera jest dobre dla Polski, nawet jeśli lider łamie zasady, aby załatwić ważne sprawy.
Indeks Radykalizmu Politycznego	Poziom poparcia dla radykalnych polityków i metod jako sposobu na zmianę istniejącego porządku.	P2_13: W polityce brakuje dziś ludzi autentycznych, którzy mówią to, co myślą, nawet jeśli jest to niepopularne lub kontrowersyjne. P2_14: Politycy radykalni są potrzebni, bo mają odwagę, by wstrząsnąć elitami i pokazać ich hipokryzję.
Indeks Stosunku do PiS	Poziom poparcia dla oceny działalności Prawa i Sprawiedliwości oraz jego metod rządzenia.	P2_8: Rządy Zjednoczonej Prawicy w latach 2015-2023, mimo pewnych błędów, przyniosły Polsce więcej korzyści niż strat. P2_12: Zarzuty dotyczące łamania demokracji przez Prawo i Sprawiedliwość były przesadzone i służyły walce politycznej.
Indeks Sceptycyzmu wobec Ukrainy	Poziom przekonania o konieczności ograniczenia polskiego wsparcia dla Ukrainy i akceptacji kompromisów geopolitycznych.	P2_2: Polska pomoc dla Ukrainy i ukraińskich uchodźców poszła za daleko i należy ją ograniczyć. P2_3: Dla dobra Polski, wojna w Ukrainie powinna zakończyć się jak najszybciej, nawet za cenę oddania przez Ukrainę części terytorium Rosji.
Indeks Suwerenizmu	Poziom poparcia dla twardej obrony polskich interesów wobec partnerów międzynarodowych.	P2_16: Pozycja Polski w Unii Europejskiej powinna polegać na twardej obronie naszych interesów, nawet kosztem konfliktów z Brukselą.

Autorytaryzm vs. radykalizm w perspektywie elektoratów I rundy



© GAZETA WYBORCZA
ŹRÓDŁO: PRZEMYSŁAW SADURA, SŁAWOMIR SIERAKOWSKI, RAPORT „NOWY DUOPOL OBALI TEN SYSTEM”

męskiej (w porównaniu z 48 u Nawrockiego), a 47 procent to ludzie w wieku 18-34 lat – prawie trzykrotnie więcej niż u Nawrockiego (16 procent) i Trzaskowskiego (12 procent). Średnia wieku wynosi około 28 lat, co czyni ten elektorat zdecydowanie najmłodszym w polskiej polityce.

Co istotne, to nie jest młodzież z peryferii czy wykluczona ekonomicznie. 29 procent ma wykształcenie wyższe (więcej niż u Trzaskowskiego – 26 procent), a 23 procent mieszka w dużych miastach. To grupa, która powinna stanowić trzon liberalno-demokratycznego centrum, ale wybrała radykalny populizm prawicowy.

Braun przyciąga starszych wyborców (średnia wieku około 45 lat, 26 procent to 18-34 lat), jeszcze bardziej wykształconych (33 procent z wyższym) i bardziej miejskich (29 procent w dużych miastach). To sugeruje, że polska radykalna prawica ma dwie oddzielne bazy demograficzne – młodą (Mentzen) i dojrzałą (Braun).

Relatywnie dobre wykształcenie wyborców Brauna i Mentzena to nie przypadek. Braun wyglądający jak przeniesiony żywcem z lat 30. zeszłego wieku typowy warszawski inteligent – endek żydożerca domagający się wprowadzenia na uniwersytecie getta ławkowego – jest chwalony za inteligencję, erudycję, sprawność retoryczną oraz piękną literacką polszczyznę. Nasi rozmówcy odbierają to jako przykład autentyczności, patriotyzmu i klasy.

– W tym, co mówi, jest wiarygodny. Jego erudycja powoduje to, że płynnie i wolno mówi. Jego wypowiedzi są specjalnie tak skonstruowane, żeby mógł sobie ułożyć wszystko w głowie.

– Mam wrażenie, że Bosakowi będzie bliżej niż Mentzen. Braun nie boi się mówić, co myśli. Można się zgadzać, nie zgadzać, ale jest konsekwentny, jest wiarygodny, jest szalenie inteligentny.

Przeciwko czemu buntuje się prawica? Doskwiera jej upadek tradycyjnego modelu rodziny, który podporządkowywał kobiety i dzieci mężczyznom. Młodzi mężczyźni statystycznie są gorzej wykształceni od kobiet, rzadziej migrują, trudniej niż kiedyś znaleźć im partnerkę i pracę. W głosowaniu na nową prawicę upatrują szansy na powrót do komfortu lat minionych albo chociaż na zemstę za progres kulturowy, który odebrał im wiele przywilejów. Choć sami nie chodzą specjalnie często do Kościoła, to nie podoba im się sekularyzacja, bo oznacza odchodzenie nie tylko od katolicyzmu, ale także od tradycyjnego modelu rodziny.

Spróbowaliśmy przeprowadzić precyzyjną segmentację wewnętrzną tego elektoratu.

Libertarianie – 45 procent. Największy segment młodej prawicy stanowią libertarianie – grupa motywowana wizją radykalnej transformacji gospodarki w kierunku większej swobody przedsiębiorczości. To zwolennicy drastycznego obniżenia podatków, deregulacji i ograniczenia roli państwa w gospodarce, którzy w Konfederacji widzą narzędzie rewolucji społecznej.

Demograficznie to wykształceni mieszkańcy miast – często przedsiębiorcy, freelancerzy, pracownicy branży IT i sektora finansowego. W kwestiach światopoglądowych są relatywnie umiarkowani, a ich główną motywacją jest frustracja biurokratycznymi barierami. Wierzą, że minimalne państwo będzie oznaczać większą swobodę zarówno ekonomiczną, jak i obyczajową.

W drugiej turze ten segment był najbardziej pragmatyczny: około 65 procent zagłosowało na Nawrockiego (kierując się obietnicami liberalizacji gospodarczej), 20 procent na Trzaskowskiego (być może upatrując w nim lepszego gwaranta, że nie powtórzy się socjalny zwrot PiS). Ten segment jest skrajnie pragmatyczny w swoich kalkulacjach.

Nacjoniści – 35 procent. Drugi segment to narodowcy – grupa łącząca poparcie dla gospodarki rynkowej z silnym naciskiem na kwestie tożsamościowe, suweren-

Elektorat Mentzena to przede wszystkim młodzi mężczyźni. 64 procent to osoby płci

ność państwową i politykę historyczną. Ich wizja to „polska droga” rozwoju – silne państwo narodowe o konkurencyjnej gospodarce rynkowej, sceptyczne wobec Unii Europejskiej, ale otwarte na międzynarodową współpracę „na własnych warunkach”, cokolwiek to oznacza. To elektorat najbliższy tradycyjnej prawicy, ale krytyczny wobec „socjalistycznych” aspektów polityki PiS (programy społeczne, interwencjonizm państwowy).

Demograficznie to grupa zróżnicowana geograficznie – reprezentanci zarówno wielkich miast, jak i mniejszych ośrodków. Łączy ich silne poczucie zagrożenia kulturowego oraz przekonanie, że tradycyjne partie prawicowe są zbyt kompromisowe w obronie „polskich wartości” pod presją „poprawności politycznej” i „oczekiwań Brukseli”.

Kontestatorzy – 20 procent. Najbardziej wyrazisty segment stanowią radykalni kontestatorzy – grupa charakteryzująca się maksymalistycznym podejściem do wolności ekonomicznej (często postulująca likwidację kolejnych funkcji państwa) oraz głębokim sceptycyzmem wobec wszystkich form zorganizowanej polityki.

Wspólną platformą dla antysystemowych – czyli antyelitarnych – i libertariańskich wyborców jest ograniczenie państwa. To oni nadają ton najostrzejszej krytyce „systemu”. Ich ideologia łączy radykalny indywidualizm ekonomiczny z nihilistyczną krytyką instytucji politycznych jako z natury skorumpowanych i nieskutecznych. W drugiej turze około 60 procent nie uczestniczyło w głosowaniu, traktując wybór między Nawrockim a Trzaskowskim jako „wybór między złem a złem”.

Demograficznie to najmłodsi wyborcy (często poniżej 25. roku życia), głównie ze średnich i dużych miast. Ich wpływ na dyskurs polityczny jest większy, niż wynika to z ich liczebności ze względu na dużą aktywność w mediach społecznościowych i zdolność do kształtowania narracji. To podobny światopogląd do tego, który w Ameryce nazwano technolibertarianizmem, którego symbolami są miliarderzy Peter Thiel i Elon Musk.

Zrozumienie fenomenu młodej prawicy wymaga analizy procesów, które prowadzą dość dobrze wykształcone, ekonomicznie aktywne młode pokolenie do przyjęcia bardziej radykalnych orientacji politycznych. Nasze badanie ujawnia trzy kluczowe mechanizmy tej ewolucji.

Najważniejszym czynnikiem kształtującym postawy młodej prawicy okazał się kryzys wiarygodności tradycyjnej polityki. 73 procent wyborców Mentzena wyraża wysokie poparcie dla potrzeby „autentycznych polityków”, plasując się obok Brauna (76 procent) i Zandberga (66 procent). Młoda prawica nie różni się fundamentalnie od młodej lewicy w podstawowych oczekiwaniach wobec polityki. Podobnie jak wyborcy Zandberga elektorat Mentzena poszukuje polityków, którzy będą „mówić prawdę” i „nie będą częścią systemu”, czego znakiem rozpoznawczym ma być radykalna retoryka i odrzucenie panującego porządku. Różnica leży w tym, jak identyfikują tę autentyczność.

– Ja TikToka w ogóle nie używam, bo tego nie lubię, ale wiem, że oni tam obydwaj [Mentzen i Braun] robią furorę wśród młodych wyborców.

– I to jest przyszłość, która zburzy dwa główne obozy polityczne i elektorat, który się starzeje. Coraz mniej osób korzysta też z telewizji. Ci, którzy głosowali na pana Trzaskowskiego, TVN 24 na okrągło, a druga strona – Republika.

– No i to zmęczenie tym ciągłym dupolem właśnie przez całe nasze życie.

– Pan Zandberg wzbudza u mnie ogromny szacunek. On jest wyrazisty, ma poglądy i nie wszedł do tego rządu, bo nie uzyskał tego, co chciał. Jego poglądy dla mnie są obrzydliwe, paskudne, ale jest człowiekiem takim honorowym, że się nie sprzedaje za stółek. Moim wielkim marzeniem jest, żeby odszedł w końcu

pan Tusk, pan Kaczyński, bo to oni odpowiadają za tą polaryzację. Tam jest dużo wartościowych osób po jednej i drugiej stronie. Ale i za dużo twarzy, które znam z dzieciństwa.

To dlatego tradycyjne partie mają trudności z przyciągnięciem młodych wyborców. Trzaskowski postrzegany jest jako reprezentant „establishmentu”. To nie ocena programu czy kompetencji, ale emocjonalna reakcja. Dlatego wszystkie tradycyjne atuty Trzaskowskiego nie miały znaczenia, zaś wywołujące oburzenie elit problemy z prawem Nawrockiego zagrały nawet na jego korzyść.

Drugim kluczowym mechanizmem jest zmiana stosunku młodego pokolenia do integracji europejskiej. 69 procent wyborców Mentzena popiera „twardą obronę polskich interesów w UE” – wartość zbliżona do Brauna (75 procent) i Nawrockiego (77 procent). Mamy do czynienia z różnicą pokoleniową. Podczas gdy starsze pokolenia pamiętają korzyści z akcesji do UE (fundusze, modernizacja, swoboda podróżowania), młodzi wyborcy prawicy postrzegają integrację europejską transakcyjnie – dokonują bilansu zysków i strat (na przykład polityki klimatycznej) i ograniczeń – narzucania „obcych wartości”, limitowania suwerenności gospodarczej, wpływania na politykę wewnętrzną.

W ten sam wzorzec wpisuje się sceptycyzm wobec pomocy dla Ukrainy (69 procent wyborców Mentzena uważa, że „poszła za daleko”). To nie jest izolacjonizm czy sympatia dla Rosji, ale transakcyjne podejście – można współpracować z innymi krajami i narodami, ale „na warunkach służących polskiemu interesom” i „w polskim tempie”.

Trzecim mechanizmem jest instrumentalne podejście do instytucji demokratycznych. 53 procent wyborców Mentzena zgadza się, że „głosowanie to tylko formalność”. To nie jest klasyczna apatia polityczna czy całościowe odrzucenie demokracji, ale sceptycyzm wobec skuteczności obecnych procedur demokratycznych. Demokracja jest OK, jeśli przynosi konkretne korzyści tu i teraz. Stąd relatywnie wysoka akceptacja dla „silnego lidera, który może naginać zasady” – to nie ideologia autorytarna, ale frustracja powolnością działania w ramach obecnych struktur, która jednak autorytaryzmem może się skończyć.

Młodą prawicę i lewicę łączy krytyka systemu politycznego i społecznego. Zandberg, Biejat, Mentzen osiągają podobne noty w naszym indeksie antysystemowości. Młode pokolenie niezależnie od orientacji ideologicznej jest sceptyczne wobec obecnego funkcjonowania polskiej demokracji. Podobnie w kwestii potrzeby „autentycznych polityków”: Mentzen zaspokaja 73 procent badanych, Zandberg – 66, Biejat – 57. Wszystkie grupy chcą „prawdziwej zmiany” i odrzucają wszystkich rządzących wczoraj i dziś.

Frustracja „fałszywą” polityką jest zjawiskiem powszechnym, które łączy nową lewicę i nową prawicę.

Nowa prawica ma instrumentalne podejście do demokracji – traktuje ją jako narzędzie osiągnięcia celów, nie wartość samą w sobie. Jeśli demokratyczne procedury hamują realizację ważnych celów (liberalizacja gospodarki, obrona suwerenności, walka z korupcją), można je elastycznie interpretować. „Skuteczność” jest ważniejsza niż „procedury”.

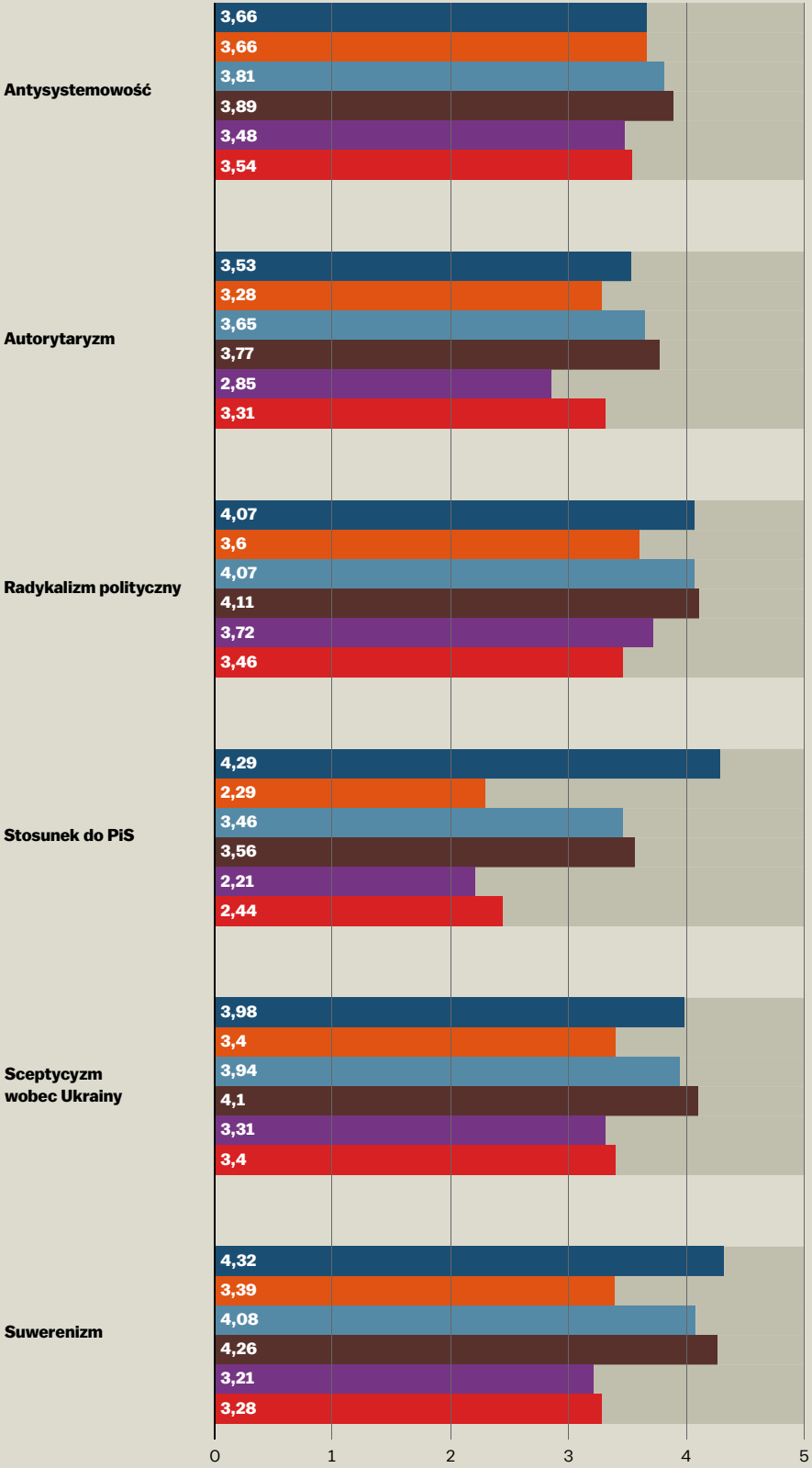
Nowa lewica z kolei jest odporna na wezwania do zwierania szeregów i wspólnej z centrum obrony demokracji przed populizmem. Uważa je za trzymanie się starego, zepsutego porządku, do którego zaraz nie będzie powrotu.

Strategia obrona przez Zandberga polegająca na radykalnej już krytyce rządu w Sejmie pomaga jego partii rosnąć w sondażach. Choć to wciąż poparcie poniżej progu wyborczego, przybliży Razem do władzy. Do dyskusji pozostaje pytanie: czy i kiedy Razem będzie w stanie rządzić i co z okresem, gdy rządzić będzie prawica. Lewicowi wyborcy wahali się, na kogo oddać głos spośród całej trójki lewicowych kandydatów.

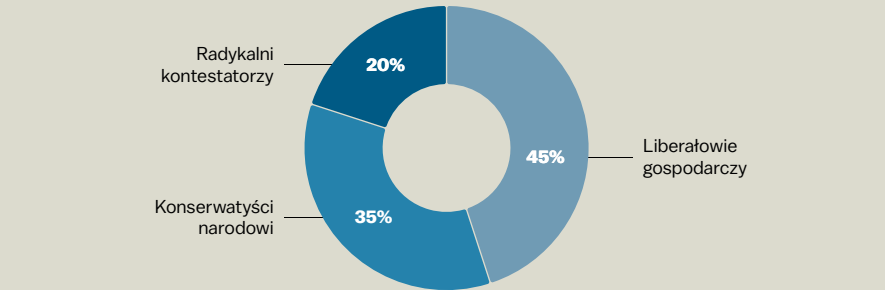
Elektoraty kandydatów według indeksów postaw

Wartości indeksów (w skali od 1 do 5) wśród kandydatów w I turze wyborów

■ Karol Nawrocki ■ Rafał Trzaskowski ■ Sławomir Mentzen
■ Grzegorz Braun ■ Adrian Zandberg ■ Magdalena Biejat

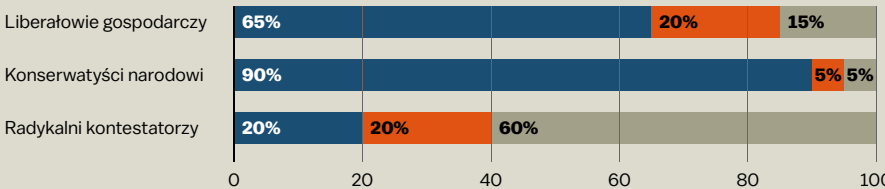


Struktura elektoratu Sławomira Mentzena



Transfery elektoratu Mentzena w II turze wg segmentów

■ Karol Nawrocki ■ Rafał Trzaskowski ■ Absencja



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO WSZYSTKICH WYKRESÓW:
PRZEMYSŁAW SADURA, SŁAWOMIR SIERAKOWSKI, RAPORT „NOWY DUOPOL OBALI TEN SYSTEM”

wniosków po wyborach prezydenckich

Zwycięstwo Nawrockiego było rezultatem masowej konsolidacji prawicy wokół wspólnego kandydata.

Radykalizm polityczny stał się normą w społeczeństwie.

Na skali radykalizmu wyborcy wszystkich kandydatów prawicy osiągnęli bardzo wysokie wartości (powyżej 4 na skali 1-5), ale nawet elektoraty Trzaskowskiego i lewicy uzyskały wysokie wyniki. Powszechna stała się akceptacja dla „polityków radykalnych” oraz frustracja brakiem „autentycznych” polityków. Prawica zdołała jednak skanalizować te nastroje znacznie skuteczniej niż centrum i lewica.

Wzrosła akceptacja dla autorytaryzmu we wszystkich elektoratach.

Wszystkie grupy wyborców wskazują poparcie dla „silnego lidera, który może naginać zasa-

dy” – nawet wyborcy Trzaskowskiego. Jedynie lewica, zwłaszcza elektorat Zandberga, pozostaje poniżej progu akceptacji dla rozwiązań autorytarnych.

Postawy antysystemowe są już niemal powszechne.

Niezależnie od orientacji politycznej większość wyborców zgadza się, że „obecny system polityczny jest tak nie-sprawny, że nie da się go naprawić”. Odsetek zgadzających się z tym stwierdzeniem waha się od 56 procent wśród wyborców Biejać do 68 w elektoracie Brauna. Różnica polega nie na intensywności krytyki systemu, ale na poszukiwanych rozwiązaniach.

Kampania negatywna przyniosła efekt odwrotny do zamierzonego.

Ujawnianie kolejnych afer Nawrockiego wzmocniło jego pozycję jako kandydata antysystemowego. Wśród młodych wyborców zadziałał efekt bumerangu – zbyt agresywna krytyka wywołała reakcję obronną. Ujawnianie kompromitujących faktów z przeszłości kandydata PiS wy-

wołało efekt zawstydzenia wyborców, zamiast ich zniechęcić.

Nawrocki stał się symbolem ludowego sprzeciwu wobec elit, a afery tylko potwierdzały jego „autentyczność” jako człowieka spoza establishmentu.

Wyższościowe narracje jako czynnik mobilizujący prawicę.

Komentatorzy i zwolennicy Trzaskowskiego odwoływali się do wyższościowych narracji i pogardy dla kandydata PiS i jego elektoratu. Świadomość tej klasistowskiej kliszy mobilizowała wszystkich, którzy nie identyfikowali się z „Polską salonową”. Jedni dzielili naród na Polaków i debili, drudzy na patriotów i zdrajców – ci wygrali.

Polaryzacja społeczna miało – wieś pozostaje fundamentalnym podziałem.

Prawdziwym źródłem polaryzacji politycznej jest niezasypany podział postziemiański między miastem a wsią, elitami a ludem. Dopóki liberalne rządy nie znajdą sposobu na zbudowanie zaufania ludu do elit przez program

głębokich reform społecznych, każdy taki rząd prędzej czy później upadnie.

Nowa prawica to przede wszystkim młodzi, wykształceni mężczyźni z miast.

To nie jest młodzież z peryferii czy wykluczona ekonomicznie – to grupa, która teoretycznie powinna stanowić trzon liberalno-demokratycznego centrum, ale wybrała radykalny prawicowy populizm.

Wyłania się nowy duopol: Konfederacja vs. Razem.

Nową prawicę i nową lewicę łączy krytyka systemu, poszukiwanie „autentycznych” polityków i frustracja obecnym porządkiem. Różnią się tym, jak identyfikują autentyczność i jakie widzą rozwiązanie problemów systemowych, ale obie formacje reprezentują pokoleniową zmianę. Tradycyjny podział PO – PiS może zostać zastąpiony przez nową oś konfliktu między radykalną prawicą a radykalną lewicą.

Elektorat Konfederacji jest podzielony na trzy frakcje.

Libertarianie (45 procent) są motywowani wizją radykalnej transformacji gospodarczej, nacjonaliści (35 procent) kładą nacisk na kwestie tożsamościowe i suwerenność, a kontestatorzy (20 procent) to radykalni antysystemowcy. Każda grupa ma inne motywacje, ale łączy ich frustracja establishmentem. Ta heterogeniczność może być nie tylko siłą, ale i słabością formacji.

Większość elektoratów jest gotowa na nietypowe koalicje.

81 procent sympatyków PiS popiera koalicję z Konfederacją. Wśród zwolenników KO 63 procent jest gotowych poprzeć sojusz z Konfederacją, byle tylko nie dopuścić PiS do władzy. Wśród wyborców Konfedy 35 procent popiera koalicję z PiS, 17 z KO, a 48 woli wywrócić stolik i wymusić przedterminowe wybory. Te preferencje wskazują na możliwą rekonfigurację polskiej sceny politycznej. Prawica ma zdecydowaną przewagę w potencjalnych układach koalicyjnych, co może oznaczać dominację na kolejne dekady. ●

– Rozważałem Senyszyn. Mniej lat i trochę więcej poparcia, tobym zdecydowanie na nią zagłosował, bo jest matka wszystkich Polaków. No ale ostatecznie zagłosowałem na Magdę Biejać.

– Ja wcześniej się wahałem pomiędzy Biejać a Trzaskowskim, ale podczas debaty bardziej mi zaczęła odpowiadać.

– Mój wybór w pierwszej turze to oczywiście były czerwone korale. Dlaczego tak? Stwierdziłem, że ta osoba najlepiej reprezentuje moje poglądy, a jednocześnie potrafi obronić je w mediach. Jej odpowiedzi były najbardziej konstruktywne.

Zwolenników Konfederacji zapytaliśmy, z kim partia powinna zawrzeć koalicję w przyszłym Sejmie. Zwolenników pozostałych partii zapytaliśmy o akceptację koalicji z Konfederacją. Wśród sympatyków Konfederacji istnieją trzy wyraźnie różniące się grupy o odmiennych wizjach strategicznych (i demograficznych profilach).

Pierwszą grupę stanowią **zwolennicy koalicji z Koalicją Obywatelską (17 procent)**. To najmłodsza część elektoratu Konfederacji, przeszło połowa jest w wieku 18-34 lat. Grupa ta jest również mniej zdminowana przez mężczyzn niż pozostałe frakcje. Jednocześnie to raptem 6 procent wszystkich konfederatów.

Druga grupa to **zwolennicy koalicji z PiS (35 procent)**. W tej grupie aż 72 procent stanowią mężczyźni; jest to jednocześnie najlepiej wykształcony segment elektoratu Konfederacji (35 procent z wykształceniem wyższym). W drugiej turze prezydenckiej aż 83 procent tej grupy poparło Nawrockiego. Kluczowe dla niej jest pozytywne nastawienie do PiS i szczególnie silny sprzeciw wobec integracji europejskiej. Ta grupa postrzega siebie jako kontynuację polityki PiS, szczególnie w wymiarze suwerennościowym i tożsamościowym.

Trzecia, najliczniejsza grupa to **przeciwnicy wiązania się z którąkolwiek z dominujących partii**, zwolennicy przedterminowych wyborów (**48 procent**). Te osoby postrzegają wybory 2027 jako szansę na „wywrócenie stolika”: destabilizację starego duopolu i wymuszenie głębokich zmian. Jest im jednak zdecydowanie bliżej do PiS: w drugiej turze 72 procent tej grupy poparło Nawrockiego.

– Wierzę w koalicję Konfederacji z PiS, która jest nieunikniona, bo Konfederacja nie może cały czas stać z boku i krytykować, musi wziąć odpowiedzialność za to w końcu.

– Jestem w stanie sobie wyobrazić rząd PiS z Konfederacją, nie jestem w stanie sobie wyobrazić rządu Konfederacji z Platformą, bo to się skończy tak, jak skończyła Samoobrona i LPR, kiedy z PiS próbowały koalicji.

Sympatycy PiS popierający koalicję z Konfederacją (81 procent) to w dużej mierze starsi mężczyźni. Jedynie 13 procent to osoby młode w wieku 18-34 lat. To grupa o silnie konserwatywnych poglądach, bardzo pozytywnym stosunku do PiS i zdecydowanie antyeuropejskim nastawieniu.

Przeciwnicy koalicji z Konfederacją w PiS (19 procent) prezentują odmienny profil. To przede wszystkim młode kobiety o umiarkowanym pozytywnym stosunku do PiS i mniej radykalnym nastawieniu wobec Unii Europejskiej.

Zwolennicy koalicji z Konfederacją wśród wyborców KO (63 procent) reprezentują w dużej mierze rdzeń elektoratu KO. Ich profil demograficzny niewiele różni się od typowego dla KO, a kluczową cechą jest negatywne nastawienie do PiS przy jednoczesnym umiarkowanym stosunku do integracji europejskiej. To grupa, dla której najważniejszym celem politycznym jest nie-dopuszczenie PiS do władzy, nawet za cenę trudnych sojuszy.

Dla sympatyków KO Konfederacja pozostaje ugrupowaniem ideologicznie obcym, z którym sojusz jest możliwy jako najmniejsze zło. **Przeciwnicy koalicji z Konfederacją (37 procent)** to przede wszystkim kobiety, młodszy oraz bardziej lewicowy sympatycy KO.

– Ja sobie nie wyobrażam takiej przyszłości dla moich dzieci. Trzaskowski mówił, że będzie walczył o prawa kobiet, tak? Mentzen powiedział, że to nie może być tak, że kobiecie zgwałconej jest niemilo i ona chce usunąć dziecko. Świetnie, niech jego siedmioletnią córkę ktoś zgwałci.

– Słuchajcie, mój mąż zagłosował na Mentzena. W drugiej turze nie wiem na kogo, bo już nawet bałam się go zapytać. Serio, bo jakby powiedział, że na PiS, to chyba bym wyszła z domu. Najbardziej podstawowym argumentem są prawa kobiet, aborcja i tak dalej. Ja mówię: „Słuchaj, jeżeli dojdzie do takiej sytuacji, że ja będę umierała”. Ale to do tego człowieka nie trafia.

Mówiłeś, że masz syna osiemnastoletniego. Głosował?

– Tak. W pierwszej turnie zagłosował na Hołownię, a w drugiej na Trzaskowskiego.

Sam z siebie czy rozmawialiście o tym?

– Rozmawialiśmy. Bo wpadł na genialny pomysł, że będzie głosował na Mentzena.

I wtedy tata powiedział: od dziś sam sobie płacisz za studia (śmiech).

– Nie, nie, nie. Zaprośiliśmy jego dziewczynę na herbatę. I zaczęliśmy rozmawiać przy niej o tym, co Mentzen proponuje w sprawie kobiet i aborcji. I ona, jak to usłyszała, to tak na niego coraz bardziej patrzyła, patrzyła i patrzyła...

Tak krytykowany duopol sam w sobie nie jest niczym kontrowersyjnym w demokracji. Krytykowany jest konkretny duopol PO-PiS, a nie sam podział. Procesy, które opisujemy, pokazują, że za horyzontem wyłania się już nowy duopol: nowej prawicy i nowej lewicy. Upadek Kaczyńskiego i Tuska wielokrotnie wieszczono i dotąd nie nadszedł, lecz jeśli nie w najbliższych wyborach parlamentarnych, to w kolejnych obaj nie będą już głównymi rozgrywającymi w polskiej polityce.

15 października 2023 roku czerwoną kartkę dostał PiS i stracił władzę po ośmiu latach demonstrowania, co potrafi. 1 czerwca 2025 czerwoną kartkę dostał anty-PiS.

W sondażach rozdrabnia się i zanika centrum polityczne stanowiące warunek istnienia rządu Tuska. Nie rośnie ani PiS, ani KO. Nic nie wskazuje, aby PSL, Polska 2050 czy Lewica mogły odwrócić trend spadkowy. Wotum zaufania dla rządu i dyskusja po nim pokazały, że rząd planuje zmiany głównie związane z poprawieniem komunikacji i kontynuację realizacji programu. Próbuje odcinać tlen prawicy przez zamykanie granic na imigracji i program deregulacji. Tymczasem wyborcy oczekują zmiany całego systemu i radykalnych reform. Dopiero kilka spektakularnych sukcesów – infrastrukturalnych lub gwarantujących transfery społeczne – może dać rządowi wiatr w żagle.

Konfederacja grać będzie na całościową krytykę i dezintegrację rządu. Podobnie będzie robić Razem Zandberga.

Kolejne wybory mogą dać władzę koalicji PiS z nową prawicą. Ale równie dobrze nowa prawica może pozostawić PiS na spalonym – niech tworzy rząd, ale mniejszościowy, którego problemy wzmacniać będą Konfederację i dadzą jej dominację w kolejnych wyborach. Analogicznie porażkę starego duopolu będzie dyskutowało Razem. I tak w jednym lub dwóch obrotach Konfederacja znajdzie się u władzy, a Razem pozbiera wokół siebie lewicowych wyborców

i walczyć będzie o rolę jednej z głównych partii opozycyjnych.

Ale wyborcy lewicowi są niezbyt liczni, a siła partii, czyli jej mała elastyczność programowa, może okazać się przeszkodą. Dopiero przejście do polityki bardzo pragmatycznej mogłoby pozwolić Razem stać się główną albo jedną z głównych sił na opozycji.

Wówczas jednak po częściowo już zdemontowanym demokratyczno-liberalnym porządku, który znamy, pozostanie już tylko wspomnienie. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr hab. Przemysław Sadura

• profesor UW, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy”.

Sławomir Sierakowski

• socjolog, założyciel i lider „Krytyki Politycznej”, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”.

Fragment nowego raportu Instytutu Krytyki Politycznej. Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski od kilku lat badają – opierając się na własnych szerokich sondażach i pogłębionych wywiadach – kondycję Polaków (raporty „Polityczny cynizm Polaków” i „Koniec hegemonii 500 plus”, „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraincom” i „Społeczeństwo populistów”). W ostatnim – opublikowanym jesienią zeszłego roku „Ukrytym kryzysie władzy” – przewidzieli, że w wyborach prezydenckich 2025 może wygrać kandydat antysystemowy, wyłamujący się z tradycyjnego podziału PiS – KO.

Cały raport „Nowy duopol obali ten system” na stronie Krytyki Politycznej.

Arkadiusz Gruszczyński

WKoalicji Obywatelskiej po wyborach prezydenckich uwidoczniły się dwa pęknięcia. Pierwsze jest związane z kryzysem przywództwa, drugie – z ideowym skretem w prawo. Czy właśnie obserwujemy koniec Tuska?

Początek mijającego tygodnia, wczesne popołudnie, w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów siedzę przy ręcznie rzeźbionym drewnianym stole.

Drewno jest tu wszędzie: na ścianach, podwójnych drzwiach oddzielających gabinet ważnego ministra od sekretariatu, na podłodze elegancki spatynowany parkiet, po którym chodzili wszyscy ministrowie od lat 50. Drewniane są sekretarzyki i ogromne biurko, a także rzeźbione fotele i krzesła.

W takich dekoracjach słucham opowieści o premierze, który jest sprawny, decyzyjny, potrafi zaprosić na kawę do gabinetu – a jednocześnie otacza się fatalnymi współpracownikami, którzy oddzielają go szczelnie od świata zewnętrznego.

– Premier nie wygląda na zmęczonego, na posiedzeniach rady ministrów ma wszystko pod kontrolą, widać, że rozumie interesy mniejszych koalicjantów. Ale nikt nie wie, dlaczego nie poszerza grona najbliższych współpracowników – słyszę od ministra.

W tym samym budynku spotykam innego stałego bywalca kancelarii premiera. – Arek, to jest nienormalne miejsce. Czy wiesz, kiedy urzędnicy orientują się, że Tusk jest u siebie? Kiedy przed wejściem od strony parkingu i parku stoją jego ochroniarze – opowiada polityk. – Są ludzie, którzy nigdy nie widzieli premiera na żywo, Tusk cały czas siedzi zamknięty w gabinecie i rzadko do siebie kogoś dopuszcza. Rozmawia z kilkoma osobami. Ludzie mówią, że premier wszystkie decyzje trzyma blisko serduszka. Czytaj: nikogo nie wtajemnicza w swoje plany.

Kancelaria Premiera Rady Ministrów sprzyja izolacji. To niekończące się korytarze, po których raz na jakiś czas przemykają urzędnicy. I wyłożone drewnem gabinety z prywatnymi pokoikami, do których wstęp mają tylko najważniejsi politycy. Jedni i drudzy stają na baczność, kiedy premier przyjmuje zagraniczne delegacje. Młodzi funkcjonariusze, wyjęci wprost z wybiegów mody i z siłowni, leniwie omiatają wzrokiem gości, a kiedy nikt nie patrzy, puszczają sobie nawzajem filmiki z TikToka.

Ludzie, którzy tu pracują, można podzielić na kilka kategorii. Najliczniejszą stanowią urzędnicy z wieloletnim doświadczeniem, którzy przeżyli kilku premierów i doskonale wiedzą, jak radzić sobie z ambitynami i aroganckimi politykami. To oni tworzą działające tu małe państwo: ministrowie ani ich sekretarki nie mogą sobie sami nawet zrobić kawy. Za każdym razem przynoszą ją do gabinetu na tacy wyfracejni kelnerzy.

Równie sprawnie, co dworzenie, radzi sobie druga kategoria obywateli tego państwa w państwie – kompetentni technokraci. To ci, którzy potrafią przełożyć na prawniczy język każdy polityczny pomysł.

Druga kategoria ludzi z KPRM to ministrowie i pełnomocnicy premiera, którzy opowiadają na mieście, że codziennie rozmawiają z szefem rządu. Potrafią odwołać trzy dni z rzędu spotkania, ponieważ „szef ich wezwał”. Choć tak naprawdę najczęściej widzą premiera w telewizji.

Trzecia grupa to politycy, którzy spotykają się raz lub dwa razy w miesiącu z premierem.

W ostatniej są ci, którzy siedzą z premierem non stop i znają każdy jego polityczny ruch.

TUSKU, MUSISZ Ale czy dasz radę

**Postarzał się?
Zmęczył? Znudzil?
Uwierzył w swój
geniusz?**
Pytam w rządzie,
sejmie i partii,
co się dzieje
z premierem

Wśród najbliższych współpracowników premiera, których „trzyma bliźniutko przy sercu”, trzeba wymienić trzy osoby:

to wieloletni spec od PR-u Igor Ostachowicz, który w zamierzonych czasach pierwszych rządów Platformy kreował przekaz rządu i dbał o słuch społeczny Tuska, a powszechny rozgłos zdobył tarantinowską powieścią „Noc żywych Żydów”; były rzecznik rządu i prawa ręka Tuska – Paweł Graś; wieloletni poseł, druh Tuska, chyba nawet jego przyjaciel. Jako niezatapialny – pięć lat od 2009 roku – rzecznik zasłynął z tego, że nie odbierał telefonów od dziennikarzy; i Agnieszka Rucińska, była dziennikarka Polskiego Radia, obdarzona ponadprzeciętnym zaufaniem premiera. Weszła w orbitę Tuska, kiedy ten wrócił do krajowej polityki. Generalnie odpowiada za komunikację premiera.

Pozostali wykonują rozkazy premiera, a mówiąc językiem dyplomatycznym: realizują jego postanowienia i rekomendacje. To szef kancelarii premiera Jan Grabiec, najważniejszy urzędnik i legislator Maciej Berek oraz, od niedawna, Adam Szłapka, rzecznik rządu, wcześniej minister do spraw Unii Europejskiej.

Otoczenie premiera jest hermetyczne i dba o to, żeby nikt nie miał wpływu na Tuska. Nikt oprócz nich.

– Pyta pan, o której Tusk zaczyna pracę. Ludzie od małych koalicjantów z Nowej Lewicy i Trzeciej Drogi chodzą po mieście

i opowiadają, że premier śpi do południa i nie ma z nim kontaktu. Ale to nieprawda: Tusk jest na nogach od rana, do KPRM przyjeżdża przed godziną 9 – opowiada jeden z urzędników.

Ale w opowieściach „małych” jest ziarno prawdy. Bo ludzie pracujący z premierem zastanawiają się, czym od rana zajmuje się Tusk. – Nie udziela wywiadów, nie organizuje konferencji prasowych, nie udziela się medialnie. Prowadzi raz w tygodniu posiedzenie rządu i tyle – narzeka mój rozmówca.

A może Tusk zwyczajnie się nudzi? Kiedy pracował w Brukseli na stanowisku szefa Rady Europejskiej, otaczał się politykami wielkiego formatu, spotykał się z intelektualistami, budował relacje z osobami, które mają realny i symboliczny wpływ na losy świata. Jako premier musi pracować z debiutantami w polityce, i cóż, że bystrzymi. Z osobami, które najbardziej interesuje załatwianie swoim ludziom etatów w spółkach skarbu państwa. I wysłuchiwać pretensji polityków z własnej partii.

– To zbyt prostackie porównanie, które oddaje tylko część rzeczywistości. Faktycznie, powrót do polskiego grajdołu może być szokujący po doświadczeniach europejskich, gdzie działają w sposób stabilny dobrze urządzone instytucje publiczne. A w Polsce wiele spraw ma charakter umowny – opowiada jeden z polityków znający relacje panujące w neorenesansowym gmachu KPRM w Alejach Ujazdowskich.

– Ale ja widzę to inaczej. Chodzi raczej o szersze podejście: Tusk nie jest zainteresowany stroną administracyjną, woli nadać kierunki.

Kiedy Tusk postanowił wrócić do polskiej polityki, kreował wizerunek liberała, który zrozumiał, dlaczego prawicowi populiści zdobywają władzę.

Niedawny prezydent Europy sugerował, że tylko wartości otwartej, liberalnej, tolerancyjnej Europy są w stanie wygrać z pravicą, która porzuciła u progu drugiej dekady XXI wieku chadeckie i konserwatywne wartości na rzecz sanacyjnej rewolucji. A jednocześnie obiecywał nową, przyszłościową jakość w polskim chadeckim liberalizmie – prezentując się jako intelektualista i mąż stanu w jednym, w wywiadach snuł dziejowe analogie, porównywał cywilizacje, cytował Marka Twaina, odwoływał do Parthenonu i obrazów Breugla, analizował polityczne i społeczne konsekwencje rewolucji mobilnego internetu.

W tamtym momencie – o czym opowiadają dobrze poinformowani politycy – Rafał Trzaskowski już był dogadany z Szymonem Hołownią na stworzenie nowego ugrupowania, które miało rzucić wyzwanie zagubionej i poturbowanej PO. Politycy młodszego pokolenia mieli założyć prawdziwie liberalną partię. Tusk zatrzymał jednak Trzaskowskiego w PO, bo wiedział, że nie ma na pokładzie ani jednego polityka,

który miałby szansę wygrać wybory prezydenckie.

Nie wierzę więc ekspertom, którzy z pełnym przekonaniem obwieszczają, że Tusk mógł wystawić w wyborach Radosława Sikorskiego, a ten na pewno wygrałby z Karolem Nawrockim. Słyszymy, że minister spraw zagranicznych mógłby spokojnie udowodnić, że ma większe doświadczenie na czasy wojny (karabin w rękach na zdjęciu z Afganistanu!), jako self-made man z niebywałego awansu społecznego – z blokowiska w Bydgoszczy na Oxford i polityczno-towarzystwie salony za oceanem – byłby też strawniejszy dla młodych wyborców Konfederacji.

Lecz wszystkie badania, od lewa do miękkiego prawa – te wewnętrzne, zamówione przez KO, i niezależny raport opracowany przez profesora Przemysława Sadurę i Sławomira Sierakowskiego z „Krytyki Politycznej”, i analizy opracowane przez Liberte! – wskazywały, że to prezydent Warszawy ma największe szanse z każdym kandydatem wskazanym przez Kaczyńskiego.

Jesienią obawiano się czegoś innego: kilkunastoprocentowego kapitału dla kandydata protestu. I te lęki znalazły potwierdzenie w wynikach Sławomira Mentzena oraz Grzegorza Brauna.

Tusk w 2023 roku jeździł po Polsce i opowiadał historię o państwie ukradzionym przez polityków PiS. Idealnie wyczuł nastroje społeczne i przełożył je na polityczny konkrzet. Potem zgrabnie poskładał koalicję rządzącą, wybrał różnorodnych ministrów i w pierwszych miesiącach wszystko działało dosyć sprawnie.

Premier organizował regularne i długie konferencje prasowe. Publicznie wypowiadał się zwiewle, wyraziście i efektownie, wprost pod memy i tiktoki. Nie stronił od dobitnych – takich, jakie lubią „internetu” – ocen; potrafił przyznać, że Władysław Kosiniak-Kamysz miga się z robotą przy likwidacji Funduszu Kościelnego, na posiedzeniach rady ministrów besztal Agnieszkę Dziemanowicz-Bąk za opieszałość w wyplacaniu 800+.

A do tego prowadził niezwykle aktywną i nieźle rozreklamowaną, trafiającą też w pravicowe emocje – „Polska rozda je karty w Europie, zabiega o nas Berlin i Paryż” – politykę międzynarodową. Jeden z dziennikarzy zajmujących się polityką międzynarodową, a jednocześnie ogarniający wszystko, co dzieje się w Polsce, wyszedł oszłomiony z konferencji Tuska z Friedrichem Merzem i powiedział mi: – Słuchaj, a dlaczego on nie jest tak zdecydowany, precyzyjny i walczący w polskiej polityce?

Jak to możliwe, że dzisiaj wszystko się posypało? Bo nie da się ukryć, że się posypało.

Na wtorkowym posiedzeniu rządu premier nie przywitał się z żadnym z ministrów. A to gest niezwykle istotny w pałacowych grach i w zwykłych relacjach między politykami. Moi rozmówcy z rządu przyznają, że to pierwsza taka sytuacja w historii Koalicji 15 Października. Powód jest jeden: rekonstrukcja rządu zapowiadana na 15 lipca. – Która się przedłuża, co paraliżuje pracę wszystkich ministrów. Wiele rzeczy czeka, bo zajmujemy się przetrwaniem – mówi jeden z ministrów.

Albo weźmy kampanię prezydencką. To nie tak, że „dobry car nie wiedział, jak szkodzą głupi czynownicy”. Premier co tydzień spotykał się ze sztabem Trzaskowskiego. Wiedział więc doskonale, kto i w jaki sposób prowadzi kampania. Akceptował jej kierunki. – Dopiero kiedy zobaczył wynik pierwszej tury, to się zwyczajnie wściekł. I zaczął chodzić po mediach – wspomina polityk KO.

Wszyscy, którzy znają te kulisy, zastanawiają się dzisiaj, dlaczego Tusk przeoczył widoczne gołym okiem błędy sztabowców Trzaskowskiego: zamknięcie na merytoryczne głosy z zewnątrz, mało wiarygodny skręt w prawo prezydenta Warszawy, czyli najbardziej liberalnego miasta w tej części

Europy oraz całkowite położenie kampanii w serwisach społecznościowych.

I kolejna sprawa: Tusk nie rozmawia w ogóle ze swoimi posłami, co rodzi wielką irytację wśród parlamentarzystów. – Nie pojawia się na klubie, raz na pół roku zwoła nas do siebie, ale nie ma tam miejsca na dyskusję. Siedzimy i przez godzinę słuchamy jego przemówienia – narzeka jedna z posłanek KO. – Nikt z nas nie wie, w jakim kierunku idziemy, a ludzie w Polsce w naszych okręgach nie pytają nas o rozliczenia rządów PiS-u, tylko o kolejki do lekarzy. Nie jestem w stanie im nic sensownego odpowiedzieć.

Popękany jest i rząd, i partia. Rzućmy okiem na dwie ostatnio kształtujące się oceny Tuska.

Jedna grupa stoi murem za premierem i uważa, że tylko on jest w stanie przeprowadzić rząd i partię przez obecne zawirowania, których wagę doskonale oddaje jedna liczba – 53 procent. Tyłu obywateli deklaruje się w badaniu CBOS jako przeciwnicy obecnego gabinetu. Tyle samo osób w szczytowym momencie źle postrzegało rząd Morawieckiego po ośmiu latach kierowania państwem przez polityków PiS.

– Ale struktury są po stronie premiera, nie ma mowy o buncie – pociesza mnie i chyba trochę siebie poseł z centralnej Polski.

W drugiej grupie są politycy, którzy wyobrażają sobie do niedawna wyobrażalne, czyli zmianę lidera. Ba, zaczynają o tym mówić dziennikarzom!

– Donald stracił nie tylko kontakt ze swoimi posłami, ale też ze zwykłymi ludźmi. Przestał jeździć po Polsce, rozmawia tylko z innymi politykami, nie wie, co się dzieje w kraju. Jest coraz większym obciążeniem naszego obozu, z niejasnych powodów stracił słuch społeczny, ale też polityczny – mówi jeden z posłów z Warszawy. Inny dodaje, że młodszy koledzy, którzy pierwszy raz weszli do Sejmu, zaczynają się zastanawiać, czy projekt polityczny, którym kieruje „zmęczony premier”, jest do uratowania.

– Dostaniemy na pewno ponad 20 procent głosów w 2027 roku i pewnie wprowadzimy sporo posłów, jeśli do Sejmu nie dostanie się Polska 2050 czy PSL, ale lęk, że przegramy kraj i władzę, zaczyna się pojawiać w naszych rozmowach – słyszę na sejmowym korytarzu.

Pytam więc, kto mógłby zastąpić Tuska na stanowisku premiera i lidera KO. Wszyscy plotkują o Sikorskim, który chciałby zostać szefem rządu, więc wyciszył aktywność publiczną i dystansuje się od dzisiejszych problemów Tuska. Mówi się nawet, że ostatnie działania Romana Giertycha, który stwierdził, że wybory prezydenckie zostały sfalszowane, były wymierzone w osłabienie premiera, na czym miał zyskać Sikorski.

Byłaby to jednak intryga szyta grubymi nićmi, choć mali koalicjanci Tuska nie ukrywają, że ucieszyłaby ich zmiana w fotelu szefa rządu.

– Widzę to inaczej: ministrowi na czele z premierem powinni wyjść z biurek i wyjechać w Polskę. Inaczej nie da się uratować tego projektu – mówi mi jeden z ministrów.

– Oderwana od społecznych realiów władza zaczyna zajmować się sama sobą i zwyczajnie gnije – przywołuje starą politologiczną prawdę pewien znany polityk lewicy.

– Ale – słyszę od kolejnych rozmówców – za podróżami po kraju, a może i nawet z wyjazdowymi posiedzeniami rządu, muszą iść odważne i głośne projekty modernizacyjne, które ministerstwa zrealizują tu i teraz.

– Coś panu opowiem: ja i moje koleżanki mamy zapal do roboty, mamy opracowane konkretne projekty, ale słyszymy, że nie da się ich zrealizować, bo są blokowane przez górę. Bo kogoś urażą, bo są zbyt odważne, bo premier się wścieknie – rzuca nieco inne światło na ten sam problem wiceministra, z którą wymienilem ostatnio kilka wiadomości. – Cały rząd jest sparaliżowany tym strachem.

Pęknięcie jeszcze pogłębia skręt w prawo KO. Polityka migracyjna Tuska przypomina żywcem skopioną z programu Konfederacji i opiera się na zamknięciu granic, zawieszeniu prawa do azylu oraz podkreśnianiu emocji antychodźczych.

Pytanie, czy tego rodzaju polityka przyciąga nowych wyborców. Kłapa operacji „Uwiedzmy konfederatów” wskazuje, że niekoniecznie – wyborcy Mentzena i tak woleli coś bliższego oryginałowi niż jawną podróbkę i przerzucili głosy na Nawrockiego. Za to coraz głośniejszy słyhać, że zaostrenie polityki antymigracyjnej odpycha od KO liberalnych i lewicowych wyborców.

Dalej: waga się losy Barbary Nowackiej, które jako jedyna polityczka z koalicji rządzącej zrealizowała światopoglądy postulat związany z ograniczeniem lekcji religii w szkołach. Ma jednak opuścić rząd, ponieważ pracowała przy kampanii Trzaskowskiego. Stałoby się ze szkodą dla liberalnych i lewicowych wyborców, którzy nie doczekają się żadnych zmian prawnych w prawie antyaborcyjnym, nie mówiąc o związkach partnerskich czy rozdziale państwa od Kościoła.

Ale przecież pravicowe są też wszelkie działania deregulacyjne, które mają dać więcej wolności przedsiębiorcom. „Jeszcze więcej, a służba zdrowia? A nauczyciele” – to stała mantra w serwisach społecznościowych i komentarzach w internetowych wydaniach gazet. Nawet wyborcy wolnorynkowi już zorientowali się, że nowoczesność w krajach „starego” Zachodu, aspiracyjnym punkcie odniesienia, polega na tym, że działa po to, aby zabezpieczać interesy wszystkich grup obywateli.

Wiceministra: Ja i moje koleżanki mamy zapal do roboty, mamy opracowane konkretne projekty, ale słyszymy, że nie da się ich zrealizować, bo są blokowane przez górę. Bo kogoś urażą, bo są zbyt odważne, bo premier się wścieknie. Cały rząd jest sparaliżowany tym strachem

Krew licznym wyborcom psuje też lekceważony w poważnych analizach ekspertów – jako pięknoduchowski i politycznie marginalny – stosunek do natury i klimatu. Przykład z ostatniej chwili: Adam Szlapka pochwalił się mi, że wśród wielu rozwiązań deregulacyjnych znalazł się zapis liberalizujący wycinkę drzew z prywatnych działek. Kiedy zwróciłem uwagę rzecznikowi rządu, że ten postulat nijak ma się do tego, co wiemy o ociepleniu klimatu i do wrażliwości zetek i alf, Szlapka stwierdził, że chodzi o przydomowe tuje.

Aleksander Gurgul, dziennikarz ekologiczny i przyrodniczy „Wyborczej”, zauważa, że ta zapowiedź w niczym nie różni się od działań Jana Szyszko, niesławnego ministra środowiska PiS, promotora wycinek lasów, polowań i „czynienia ziemi sobie poddaną”.

Nadal nie wiadomo do końca, co rząd robi na odcinku „klimat i przyroda”: od 2023 roku nie powstał ani jeden nowy park narodowy. Puszcza Białowieńska dalej jest rozjeżdżana i dewastowana pod okopy i płoty mający zatrzymać szlak uchodźczy, choć specjaliści – również byli wojskowi – wskazują, że skuteczniejszą zaporą przeciwko i nacierającym czołgom, i szpiegowskim dronom jest gęsty las niż szerokie przecinki. Za to rząd a to chce walczyć z bobrami winnymi powodzi, a to wspiera zmniejszenie unijnej ochrony – w istocie dając zgodę na swobodny odstrzał – wilków. I dopiesz-

cza myśliwych – choć drażnią ogół społeczeństwa, w opinii wicepremiera i ministra obrony Kosiniaka-Kamysza pełnią „ważną rolę w procesie szkoleń i budowania zdolności do obrony ojczyzny”.

To wszystko nie znaczy, że agendę kojarzoną z prawicą należy całkowicie porzucić. Są pola, na których owocuje, mimo całego rozczarowania wrażliwych ludzi dobrej woli i najbardziej zaangażowanych obrońców praw człowieka. Ostatnie decyzje antymigracyjne kanclerza Friedricha Merza, czyli ochrona granic i restrykcyjne podejście do prawa azylowego, sprawiło, że w Niemczech chadecja rośnie sondażowo w siłę, a skrajnie pravicowa Alternatywa dla Niemiec słabnie.

Dania wprowadziła zakaz noszenia burki w miejscach publicznych, ustaliła limity przyjmowania imigrantów spoza Unii i nie przyjmuje żadnych spontanicznych wniosków azylowych. A premierka Mette Frederiksen – wciąż ta sama od 2019 roku – uważa migrację za „zagrożenie dla codziennego życia i demokracji”. Uwaga: Frederiksen to liderka partii socjaldemokratycznej. Duńska lewica przejęła wszystkie postulaty antymigracyjne prawicy – i miewa się świetnie.

Czy to wszystko znaczy, że Donald Tusk zwyczajnie na naszych oczach kończy karierę polityczną?

Ogólny obraz wygląda źle: premier nie panuje nad koalicjantami, rząd nie dowodzi, ma fatalną komunikację, ministrowie boją się wyjść poza szereg, a Trzaskowski, czyli murowany kandydat na prezydenta, przegrał z politycznym nowicjuszem i osobą, która nigdy nie powinna zostać głową państwa.

Wielu moich rozmówców z ulgą przyjęłoby zmianę premiera, ale są też tacy, którzy zwracają mi uwagę, że o końcu Tuska, tak samo, jak o końcu Kaczyńskiego, mówi się od ponad trzech dekad.

Tusk miał już na zawsze zostać politycznym planktonem po gwałtownym upadku współrządzącego III RP w pierwszych latach transformacji thatcherowskiego Kongresu Liberalno-Demokratycznego; nie brakowało wtedy szyderczych analiz, że ledwo 30-letni liberał zanadto uwierzył w siebie, zbyt arogancko demonstrował kompetencje i poglądy, za wysoko licytował i zostanie zapamiętany jako polityczny meteor. Miał się nie podnieść po przegranej walce o przywództwo i odejściu w 2000 roku z Unii Wolności – wtedy wciąż jeszcze kojarzącej się jako partia władzy i istotny element sceny politycznej. Miał odejść w zapomnienie po podwójnej przegranej w 2005 roku, kiedy wracający do wielkiej polityki lider wciąż młodziutkiej Platformy najpierw przegrał wybory prezydenckie z Lechem Kaczyńskim, a potem wybory parlamentarne z PiS.

Miał też nie poradzić sobie z Kaczyńskim w 2023 roku. I co?

Wszystko racja. Lecz problemy, z którymi dzisiaj mierzy się premier, są podręcznikowymi błędami popełnianymi przez starych, zahartowanych, latami odnoszących sukcesy menedżerów, którzy nie dają więcej wolności podwładnym, nie prowadzą bieżącej ewaluacji i są zamknięci na wewnętrzną krytykę od osób innych niż najbliżsi współpracownicy.

Mimo to na razie wciąż mamy do czynienia nie z głębokim kryzysem państwa, tylko z turbulencjami w rządzie, wywołanymi przesileniem okresu przejściowego. Ale też z dwoma pytaniami, na które nikt prócz Tuska, jego bliskich, starych przyjaciół oraz najbardziej zaufanych współpracowników, nie zna odpowiedzi.

Jedno brzmi: **dla czego Tusk przestał narzucać tematy debacie publicznej i oddał pole tak do niedawna anachronicznemu Jarosławowi Kaczyńskiemu.**

A drugie: **czy Tusk wreszcie wskazał albo chociaż wybrał delfina lub delfinę.** Czy uwierzył, że jest ktoś, kto w razie czego sprawnie zastąpi go na czele państwa i partii. A jeśli uwierzył, to czy zdołał kogoś takiego znaleźć. ●

Patriota? Pomidor!

Zacytuję Marię Peszek:
„Lepszy żywy obywatel, niż martwy bohater”

Iwona Görke

Nie noszą koszulek z husarią, ale chcą pomagać, są przywiązani do ojczyzny, płacą podatki i głosują. Czy to wystarczy, by nazwać ich patriotami? Albo co ważniejsze, by oni sami chcieli siebie tak nazywać.

Godło z bibuły

– Pamiętam wyklejanie godła Polski z kulek z bibuły. Lepiliśmy czerwone i białe kulki. Czasem, by miały odpowiednią wielkość i były zaokrąglone, zwilżaliśmy je śliną. Później przykleiliśmy je do brystolu – wspomina 23-letni Maciek, pracownik agencji marketingowej, gdy pytam go o to, jak w szkole uczono go o patriotyzmie. Pamięta jeszcze śpiewanie hymnu.

Na tym jego wspomnienia się kończą. – Nie przypominam sobie, żebyśmy jakoś specjalnie rozmawiali o patriotyzmie – przyznaje. Sam się uczył. Szczególnie XX-wiecznej historii Polski, bo ta interesowała go najbardziej, a ponieważ była na ostatnich stronach podręczników i omawiana tuż przed wakacjami, traktowano ją po macoszemu.

– Współczesna historia kraju pełna jest przykładów postaw patriotycznych – zapewnia. Dodaje: – W pierwszej kolejności nie przychodzą mi do głowy postacie walczące w wojnach tej „wielkiej Polski od morza do morza”, ale ciś ludzie będący patriotami na takim poziomie, na jakim możemy być my – bez skrzydeł na plecach.

Maciej wymienia bohaterów „Kamieni na szaniec” będących – jak mówi – „bardziej przyswajalną historią o patriotyzmie szczególnie dla młodych”. Oraz Irenę Sandlerową.

– Jej postać udowadnia, że patriotyzm nie kończy się na spuście, muszce i szczyrbince. To na pewno bardziej zrozumiałe dla młodych ludzi niż mity o husarii i Sobieskim – uważa 23-latek.

Husaria jest motywem pojawiającym się na tzw. odzieży patriotycznej. Maćkowi zdarzyło się takie koszulki założyć. – W dzieciństwie – precyzuje. Obecnie uważa takie ubrania za „kiczowate”.

– Zastanawiam się, czy ktoś kiedykolwiek założył memiczne „wilcze gacie” nieironicznie – według Maćka biznes to biznes, ktoś sprzedaje, ktoś inny kupuje i tak się kręci. To go nie martwi. Dostrzega jednak problem w miłośnikach koszulek i bluz z hasłami: „Śmierć wrogom ojczyzny”.

– Ci „wrogowie” wydają się istnieć jedynie w głowach Polaków mających zestaw obsesyjnych poglądów przekonanych

o tym, że każdy dookoła pragnie zniszczyć nasz kraj – podsumowuje Maciek.

„Lepszy żywy obywatel”

23-latek zmęczony jest „biciem się wielbicieli lewicy i prawicowych bojówek” o to, kto z nich jest większym patriotą. Za ten „strasznie krzywdzący, polaryzujący konflikt” odpowiedzialni są politycy uważający i przekonujący wszystkich dookoła, że to właśnie oni, a nie ci z drugiej strony są patriotami. Większymi albo jakimikolwiek.

– Politycy szczujący na rodaków, zarzucając komuś brak patriotyzmu, jedynie podjudzają wzajemne uprzedzenia – kwituje Maciek.

W ostatnim czasie intensywnie zastanawia się nad tym, kogo można określić mianem patrioty: – Możliwe, że to kwestia osobista i nic nam do tego, czy ktoś uważa się za patriotę wedle własnych wartości.

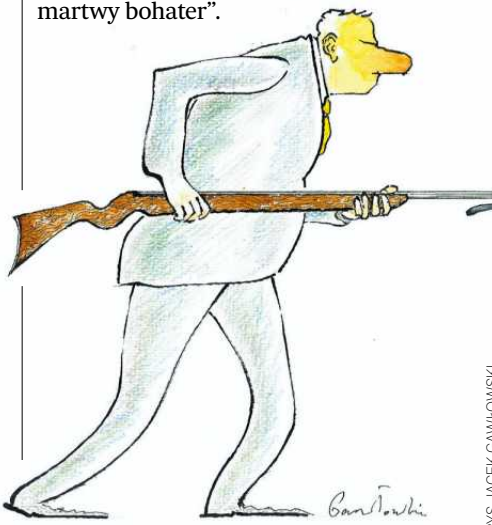
– A ty jesteś patriotą?

– Mam ochotę powiedzieć „pomidor” – przyznaje. Określenie „patriota” ciąży, nawołuje do wielkich czynów. Obiecuje ukochanie ojczyzny ponad wszystko, ponad swoje życie.

– Czuję się tak samo Polakiem, jak i obywatelem Unii Europejskiej. Nie chcę wyjechać z kraju, zdążyłem porównać sobie Polskę z innymi krajami Europy. Żyję w czasach dobrobytu, wychowałem się w spokoju, pracuję w biurze, mieszkam w kawalerce, nigdy nie zrobiłem nic, co można by uznać za czyn patriotyczny. Chyba że wliczamy w to chodzenie na wybory. Gdzie więc mam pozycjonować siebie w skali patriotyzmu, gdy za wzór przyjmujemy sobie Witolda Pileckiego czy „Zośkę”? – pyta.

A ja go pytam, co by zrobił, gdyby Polska została zaatakowana.

Maciek nie lubi gdybać. – Nie chcę rozśmieszać Boga planami na bohaterski bój gdzieś pod Suwałkami albo na ucieczkę na Zachód. Jedyne, co mogę, to zacytować Marię Peszek: „Lepszy żywy obywatel niż martwy bohater”.



RYŚ: JACEK GAWŁOWSKI



CZY WYPADA BYĆ PACYFISTĄ?

W naszych czasach to zasadne pytanie. Za wschodnią granicą trwa wojna, kolejna tli się na Bliskim Wschodzie, a Donald Trump kwestionuje nasze najważniejsze sojusze. „Zagrożenie” i „wojna” stały się słowami, których używamy codziennie w rozmowach z bliskimi, przyjaciółmi, w pracy. Straciliśmy poczucie bezpieczeństwa.

Owszem, wśród państw NATO Polska stała się prymusem, na obronność przeznaczamy 5 proc. PKB. Ale nasze bezpieczeństwo zależy nie tylko od nowych czołgów, myśliwców i dronów. W równym stopniu – od nas samych. Od naszego poczucia obowiązku i gotowości do poświęceń.

Dyskusja, do której Państwa zapraszamy, nie jest wymierzona w samą ideę pacyfizmu. Pacyfści są potrzebni, bo bez nich zostaną wyłącznie obojętni albo militaryści, a to oznacza nasz koniec. Ale czym dziś powinien być. Jakiej formy przybierać? Jak współcześnie rozumieć i wcielać w życie tę ideę?

Te pytania to okazja do zastanowienia się nad kondycją społeczeństwa, poczuciem tożsamości i zdolnością do autorefleksji. Czyli nad tym, kim jesteśmy i kim chcielibyśmy być.

Już spróbowali się z nimi zmierzyć: • Bartosz T. Wieliński, wicenaczelnik „Wyborczej”, znawca spraw zagranicznych i wojskowości • Sławomir Sierakowski, współzałożyciel

Krytyki Politycznej, reprezentant nowego pokolenia lewicującej inteligencji i klasy średniej • Michał Olszewski, szef działu zagranicznego „Wyborczej”, reporter, pisarz, świadek wojny w Ukrainie.

• Dr Paulina Polko i gen. Roman Polko – ekspertka od bezpieczeństwa i były dowódca GROM-u.

Ich głosy na Wyborcza.pl/magazyn.

Ofiara z krwi

– W polskich szkołach uczymy o patriotach: wielkich generałach, wybitnych dowódcach wojskowych i politycznych. Jako patriotów głównie przedstawiamy osoby umiające zaryzykować własne życie w obronie ojczyzny. Najlepiej jeszcze, by bronili jej w bitwie z góry skazanej na porażkę – ironizuje prof. Tomasz Grzyb, psycholog z SWPS-u.

Przywołuje dowcip: Czym się różni powstanie w Pradze od filmu o powstaniu w Pradze? Film jest o pół godziny dłuższy.

– Nas, Polaków, to bardzo bawi, bo pokazuje waleczność polskiego narodu. Nawet za sprawy przegrane – tłumaczy.

Profesor Grzyb uważa, że patriotą może być nie tylko ten waleczny obywatel broniący ojczyzny do ostatniej kropli krwi, ale także ten, który rzetelnie płaci podatki, angażuje się społecznie czy buduje jej dobrobyt.

– Nie chciałbym, żebyśmy przeciwstawiali sobie te dwa rodzaje myślenia, mówili, że jeden jest dobry, a drugi zły – przekonuje. Ale odnosi wrażenie, że młodzi ludzie o patriotyzmie myślą w dość jednoznaczny sposób: – Patriotą jesteś wtedy, kiedy rzucasz się z butelką benzyny na czołg i przy tym giniesz w kompletnie nierównej walce.

Wspomina o pomniku, który zobaczył w Singapurze. I nie, nie chodzi tutaj o pomnik Fryderyka Chopina projektu Karola Badyńy umiejscowiony w ogrodzie botanicznym.

– Na nabrzeżu zobaczyłem pomnik rodziny kupieckiej. Pod nim informacja, że to pomnik wszystkich kupców z Singapuru, którzy swoją codzienną, wytrwałą i wieloletnią pracą stworzyli potęgę gospodarczą tego kraju – opowiada.

To z polskiego punktu widzenia – mówi – niezwykle, by w ten sposób upamiętnić i docenić zwykłych ludzi. Tych, którzy codziennie wytrwale i uczciwie pracują. Profesor Grzyb nie ma złudzeń: wiele osób, słysząc takie opowieści, uzna to za rozwodnianie pojęcia „patriotyzm”.

– Ale przecież to też jest dbanie o nasze wspólne dobro, o kraj, w którym żyjemy. Po to, żeby w tym kraju żyło się jak naj-



• Spacer wśród
10 tysięcy Biało-
-Czerwonych.
Dzień Flagi
na Błoniach
w Krakowie
(02.05.2019)

FOT. JAKUB WŁODEK /
AGENCJA WYBORCZA.PL

lepiej – przypomina. Patriotą, uważa, może być każdy. Bo każdy z nas może dbać o kraj, kochać go, a przy tym nie umniejszać innych narodów.

Patriota z racą

Dr Dorota Karwowska, psycholożka z Uniwersytetu Warszawskiego, bada pozytywny i negatywny stosunek ludzi do postawy patriotycznej. Na przestrzeni lat widzi duże zmiany.

24 lata temu, gdy po raz pierwszy zainteresowała się tym tematem, „patriotyzm” kojarzono głównie pozytywnie – z miłością do ojczyzny i dumną, z zaangażowaniem w jej rozwój. Rzadziej pojawiały się negatywne skojarzenia.

Niektórzy wskazywali, że patriotyzm może się kojarzyć z nacjonalizmem, ale, jak sami argumentowali, nie powinien, bo postawa patriotyczna nie opiera się na wykluczeniu – wspomina badaczka. Wzdycha: – A potem zmieniły się rządy w Polsce. I zmieniła się narracja o tym, kto jest patriotą.

Psycholożka uważa, że postrzeganie przez młodych patriotyzmu i chęć identyfikowania się jako patriota związane są z klasą polityczną, nie tylko rządzącą, oraz z przekazami budowanymi przez media. Chociaż, zwraca uwagę, obecnie silniejszym medium dotarcia do młodych ludzi są fora internetowe i serwisy społecznościowe. – To one stanowią swoisty wyznacznik zachowań, pewnego rodzaju mechanizm normatywny – dodaje.

Wróćmy do polityków. Gdy w kraju rządzi prawica – młodzi nie chcą mówić o sobie „patriota”, bo rymuje im się to z postawami ocenianymi przez nich źle.

Kojarzy się z zamaskowanymi mężczyznami odpalający race na warszawskich ulicach i atakującymi witryny sklepowe. Skojarzenie „patriotyzmu” z „nacjonalizmem” spowodowało niechęć młodych do mówienia o sobie: tak, jestem patriotą.

Karwowska zwraca jednak uwagę na to, że wyniki jej badań i obserwacji opierają się na specyficznej grupie – głównie studentach warszawskich uczelni – osobach

o raczej liberalnych czy lewicowych poglądach. Badaczka uważa, że poglądy studentów odzwierciedlają poglądy mieszkańców Warszawy, którzy jak mieszkańcy innych aglomeracji są bardziej „liberalni” niż w innych miejscach w Polsce.

Ślepy patriotyzm

Jedna ze studentek dr. Karwowskiej bada właśnie postawy wobec patriotyzmu wśród młodych ludzi, głównie studentów UW. Z badań rysuje się – jak mówi Karwowska – „racjonalne podejście do postaw patriotycznych” badanych. Pojęcie patriotyzmu rozumieją w sposób raczej konstruktywny, zgodnie z podziałem na ślepy i konstruktywny patriotyzm.

– Ten pierwszy to bezrefleksyjne, często bezkrytyczne poparcie dla wszystkiego, co „nasze”. Ten drugi – zaangażowanie, świadomość problemów, chęć ich rozwiązania – tłumaczy dr Karwowska.

Kontynuuje: – Niezależnie od swoich poglądów politycznych widzą zarówno pozytywne, jak i negatywne strony postaw patriotycznych.

Wymienia ich pozytywne konotacje: poczucie wspólnoty, chęć rozwoju i polepszenia warunków życia społeczeństwa, motywacja do działania, ochrona kultury i dziedzictwa, miłość, oddanie dla kraju, zachowanie kultury, tradycji, dorobku kulturowego, poczucie tożsamości, solidarności, jedności, przynależności.

Jednocześnie młodzi zauważają, że „przesadny patriotyzm może prowadzić do nacjonalizmu, nietolerancji, wykluczenia innych, zakłócenia rzeczywistości, potencjalnych konfliktów z innymi narodami”. – Ktoś napisał, że nie widzi problemu w klasycznym rozumieniu patriotyzmu, ale problem jego zdaniem polega na tym, że ewoluuje w skrajne formy – dodaje badaczka.

Osoby określające siebie jako „konserwatywne” miały mniej negatywnych skojarzeń.

– Może niechęć do określania siebie jako patrioty związana jest z tym, że młodzi chętniej mówią o sobie „Europejczyk”? – dopytuje.

– Studenci czują się Europejczykami, ale chętnie mówią, że są Polakami. Nie mają kompleksów dotyczących swojego pochodzenia i to jest konsekwencja tego, że wyjeżdżają na wakacje, na Erasmusa itp. Często słyszę od studentów: fajnie w tym Berlinie, ale w Warszawie jest lepiej.

Dyskretny patriotyzm

Monika, jeszcze rok czy dwa lata temu, gdy myślała o tym, co by było, gdyby w Polsce wybuchła wojna, była pewna, że wyjedzie. Teraz jest pewna, że zostanie. Co prawda wyjechałaby, ale tylko z Gdańska do mniejszej miejscowości w nadziei, że tam byłoby spokojniej. Ale chciałaby się przydać rodakom. Pomagać. Ma w końcu wykształcenie medyczne.

Denerwuje ją sama myśl o dramatycznych konsekwencjach decyzji polityków – śmierci cywilów.

Trochę sama sobie się dziwi. Jeszcze niedawno chciała wyjechać z kraju na stałe.

– Teraz nie wyobrażamy sobie z moją partnerką życia w innym miejscu niż Polska. Mimo tego całego bagna, które się tu dzieje – mówi Monika.

Obie tęskniłyby za Polską. Za rodziną naturalnie, choć z nią mogłyby się kontaktować za pomocą komunikatorów. Kobietom brakowałoby „po prostu Polski” – kultury i piękna.

Zamiast czasów all-inclusive w Turcji wybierają zwiedzanie ojczyzny.

– Na mapie stawiamy pinezki w miejscach, które odwiedziłyśmy – opowiada. Wciąż pojawiają się nowe pomysły na wyprawy. Każdy z nich wiąże się z poznaniem specyfiki i historii miejsca, do którego się wybierają. Chodzą do muzeów i na warsztaty, które tam znajdują.

– Specyficzne z was turystki.

– Zdecydowanie. Taka też ze mnie patriotka. Nie muszę wywieszać flagi na balkonie czy chodzić w koszulce ze znakiem Polski Walczącej. To dla mnie nie jest patriotyzm. Patriotyzmem jest dla mnie miłość do ojczyzny, to, że ja chcę w niej mieszkać, że chcę ją poznawać, ale i takie poczucie przynależności, które odczuwam – mówi. – Wiele osób nie przykła-

da wagi do tego, gdzie żyje, ani do historii kraju.

Monika zastrzega, że nie utożsamia patriotyzmu z doskonałą wiedzą historyczną. Chodzi jej o szacunek do skomplikowanej i burzliwej historii.

Nie uważa, że udział w wojnie jest bohaterstwem. Jest nim zapobieganie wojnie. Także tej polsko-polskiej podgrzewanej przez polityczne bieguny. Ta polaryzacja jest według Moniki wygodna dla polityków. Jest prosta. – Bo gdyby znaleźć złoty środek, to każda ze stron musiałaby pójść na pewne ustępstwa. Kompromis się znajduje, gdy się po trochu rezygnuje ze swoich racji.

Sensowny konflikt zbrojny

Franciszek ma 22 lata i uważa, że każdy człowiek ma osobistą definicję patriotyzmu. Dla niego wiąże się on z dobrem obywateli, tym, by byli szczęśliwi w swojej ojczyźnie.

– Wszyscy, bez względu na sympatie polityczne – dodaje.

Wspomniane „dobro” powinno być „wspólnym interesem Polaków”. Mimo sporów i kłótni, jakie ze sobą toczą. To szczęście często powraca w wypowiedzi 22-lątka. Szczęście i „umiejętność trzymania ze sobą”.

– Nie wszystkie państwa tak mają, że ich obywatele potrafią się zjednoczyć.

– Polacy potrafią?
– Ostatnio coraz mniej, ale ogólnie potrafią trzymać się razem. Jednoczą nas kryzysy – uśmiecha się.

Franciszkowi towarzyszy 21-letnia Zuzanna, studentka filologii angielskiej. – Rzadko zastanawiam się nad tym, czym jest patriotyzm – przyznaje. Gdyby jednak miała, to powiedziała, że z patriotyzmem wiąże się poszanowanie ojczyzny i nieodczuwanie wstydu za to, skąd się jest. Gdy słyszy, że ktoś się wstydzi Polski, jest jej przykro.

– Jest, jak jest. A to, jak jest, trzeba przy najmniej zaakceptować – dodaje.

Czy dwudziestolatki akceptują to, jak jest w ich kraju: od rosnących cen w sklepach po absurdalnie duże pieniądze, jakie

trzeba zapłacić, by wynająć mieszkanie czy nawet pokój?

– Powiedzmy sobie szczerze: problemy, jakie mamy w Polsce, są problemami do rozwiązania – uważa Franciszek. Polska to nie Wenezuela, mówi.

W kraju nad Wisłą nie ma ubóstwa, ludzie nie strzelają do siebie na ulicach, gangi nie walczą o wpływy.

– Polacy przejmują się problemami społecznymi czy tymi, jakie mają różne grupy mniejszościowe. To o nas dobrze świadczy – ocenia. – Ludzie czasami narzekają, ale ogólnie w Polsce jest dobrze. Może częściej powinniśmy doceniać to, co mamy?

Franciszek docenia życie w spokojnym, nieźle prosperującym kraju. Byłby gotów za niego walczyć. A nawet zginąć. Jest żołnierzem Wojska Polskiego.

O tym, co by zrobił w przypadku wybuchu wojny na terenie Polski, już zdecydował w momencie, gdy wstąpił do „woja”. Dezercja nie wchodzi w grę.

– Musimy walczyć o swój status quo, nasze domy i ludzi – tłumaczy. – Ale jeżeli mielibyśmy się po prostu dołączyć do jakiegoś konfliktu, mieliby nas na niego wysłać politycy, to nie, nie walczyłbym w takiej wojnie – mówi po prostu.

Pochodzi z rodziny z wojskowymi tradycjami. Ale to nie tak, że nie miał wyboru, że inne ścieżki były zamknięte. Po szkoleniu wojskowym nie mógł znaleźć dla siebie drogi. Wojsko pomogło mu ją odnaleźć. Szczegółów nie chce zdradzać. Nawet imię zmienia. Na Franciszek, bo tak chciałby nazwać syna, gdyby ten miałby się kiedyś pojawiać na świecie.

Zuzanna nie wie, co by zrobiła, gdyby Polska została zaatakowana przez inne państwo.

Patriota ksenofob

18-letnia Kinga, tegoroczna maturzystka z Olsztyna, jest przekonana, że została-by w kraju. – Chciałabym pomóc – mówi. Wstąpienie do formacji zbrojnej raczej odpada.

– Bo może jednak fizycznie nie dałabym rady – powątpiewa nastolatka. Ale pomoc medyczna czy jakakolwiek inna – jak najbardziej.

– Lubię stawiać na swoim, nie lubię się poddawać, oddawać czegoś za darmo – tłumaczy.

Kindze towarzyszy Michał. On w przypadku agresji obcego państwa na Polskę wstąpiłby do wojska.

– Walczyłbym za ojczyznę – zapewnia 18-latek.

Kinga zwraca uwagę na to, że decyzja, czy zostać, czy nie zostać w kraju owładniętym wojną, podyktowana jest wartościami, jakie kto wyznaje, i tym, czy ma rodzinę: – Ci, którzy mają rodzinę, chcieliby zadbać o jej bezpieczeństwo. Co innego osoby samotne, które nie mają nic do stracenia. Im taka decyzja o pozostaniu w kraju i walka za niego mogłaby przyjść łatwiej.

– Nazwalibyście siebie patriotami?

– Niekoniecznie. Na co dzień nie robię nic w tym kierunku – uważa Kinga. Wylicza: – Nie chodzę na żadne marsze solidarnościowe ani niepodległościowe. Ale gdyby była potrzeba wsparcia kraju, zrobiłabym to.

– Mam podobnie – Michał wtóruje koleżance.

Nastolatkom patriotyzm kojarzy się też z kibicowaniem polskim drużynom. A Kindze także z ksenofobią.

– Niektórzy ludzie mówiący, że są patriotami, łączą to z niechęcią i pogardą dla innych narodów. To błędne rozumienie patriotyzmu.

Poprawne rozumienie według Kingi to wspomniana lojalność, brak wstydu, gotowość do wsparcia ojczyzny, gdy zajdzie taka potrzeba, ale i głosowanie w wyborach. Nawet w przypadku Polonii. – Te osoby często mają rodziny w kraju, a ich wybór wpływa na to, jaka ta Polska będzie – mówi. Emigranci i Polonia, uważa nastolatka, oddając głos w polskich wyborach, powin-

ni kierować się interesem ojczyzny, a nie państwa, w którym akurat żyją.

Bohater z przypadku

Powiedzieć o sobie możemy wiele. Właściwie wszystko. Pomyśleć też. Granicą jest nasza wyobraźnia. Albo poczucie przyzwoitości. Zastanowić się można, jakie odbicie w rzeczywistości mają nasze deklaracje. – Zachowanie, autentyczne zachowanie człowieka może być wyjaśniane przez jego wcześniejsze deklaracje mniej więcej w 9 proc. – mówi prof. Tomasz Grzyb. Przywołuje słowa Wisławy Szymborskiej: Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”.

– Wcale nie jestem przekonany, że osoby, które teraz biegają tropem wilczym i czężą Witolda Pileckiego, staną w dwuszęregu, gdy ojczyzna będzie tego potrzebowała.

Może na to wezwanie pomocy odpowiedzą osoby, które codziennie ciężko pracują, bo stwierdzą: „To jest po prostu kolejne zadanie do wykonania. Trzeba naszą rzeczywistość obronić, dać trochę więcej niż zazwyczaj, bo musimy po prostu ją ochronić przed klęską”.

– Co może stać za tym, że ktoś decyduje się w obliczu wojny wyjechać, a ktoś inny zostać?

– Jeden z powstańców warszawskich bardzo ładnie to podsumowywał, mówiąc: „W ogóle mi się to powstanie nie podobało, ale koledzy poszli” – profesor serwuje kolejny cytat.

Zastrzega przy tym, że nie chce banalizować. Chce zwrócić uwagę na to, jak często, myśląc o konkretnych sytuacjach, prze-

Monika zamiast all-inclusive w Turcji wybiera z partnerką zwiedzanie ojczyzny

ceniamy wewnętrzne, wdrukowane w nas przekonania, poglądy i postawy, a nie doceniamy czynników sytuacyjnych, które, jak w przypadku powstania, mówią: „Tak się po prostu złożyło, że wszyscy kumple z mojego podwórka poszli do jakiegoś oddziału”, „Moja koleżanka powiedziała mi, że organizuje grupę łączniczek, zapytała, czy nie chciałabym dołączyć”.

Profesor Grzyb: – Ludziom, którzy swoje życie oddali, czy je ryzykowali w różnych konfliktach zbrojnych w Polsce, należy się absolutna chwała i cześć. Co do tego nie mam wątpliwości. Chcę jednak, byśmy uświadomili sobie, że to ktoś staje się bohaterem, często jest dziełem przypadku. To wcale nie umniejsza bohaterstwa.

Dodaje: – Pewne formacje ideowe mogą wpajać przekonania dotyczące tego, co należy robić, a czego nie. To może oddziaływać na nasze decyzje, ale nie należy przeceniać tego faktu.

Znacząco przeceniamy przekonanie, że wychowanie patriotyczne w szkole wzbudzi ducha patriotycznego i ducha walki.

– Nie robiłam badań na ten temat, ale myślę, że dla nich status quo jest pokój – mówi dr Dorota Karwowska. – Są grupy osób, jak na przykład kibole czy po prostu młodzi ludzie znajdujący ujście różnych własnych frustracji w zachowaniach agresywnych, którzy palą się do walki, ale niekoniecznie te grupy właśnie powinny brać udział w walkach.

Wiedźmin nas ocali

Moim rozmówcom z uniwersytetów mówię jeszcze o odmowach, które usłyszałam, gdy zaczęłam młodych ludzi, by porozmawiać z nimi o patriotyzmie. Po prostu odmawiali, albo tłumaczyli się złym samopoczuciem, spotkaniem z kolegą, na które muszą pędzić, brakiem przemysłów czy przemysleniami trywialnymi, niewartym podzielenia się.

Dr Karwowska uważa, że ta niechęć do rozmów o patriotyzmie może wynikać z kojarzenia go z nacjonalizmem.

Inny pomysł ma profesor Grzyb: – To prawdopodobnie kolejny pośredni dowód na to, że o patriotyzmie się dosyć trudno rozmawia, że bardzo łatwo jest uciec we frazesy budzące poczucie zażenowania.

Ponownie przywołuje to, jak zwykliśmy mówić o patriotyzmie – o wielkich czynach i poświęceniu, zapominając o docenieniu zwykłych ludzi. Takich, jak chociażby nieżyjący już dziadek żony profesora, więzień Auschwitz i Mauthausen, wyswobodzony przez Amerykanów, dla którego oczywiście było, że z nazistowskiego obozu w Austrii wróci do Polski.

– Bo to był jego kraj, który trzeba było odbudować po wojennej tragedii. Więc myślę, że to jest najlepszy sposób pokazywania, czym jest patriotyzm. Patriotyzm jest takimi decyzjami. Gdy mówimy o kimś bliskim, to bardziej przemawia do nas niż nieznane postaci z historycznych podręczników.

Karwowska, gdy pytam o odczarowanie patriotyzmu, mówi o badaniach CBOS-u z 2018 roku: – Badani zapytani o sytuację, w których odczuwają dumę z tego, że są Polakami, na pierwszym miejscu stawiali sukcesy sportowe Polaków – tak odpowiedziało 24 procent uczestników badania.

Mówi również o tym, z czego cieszyli się jej studenci: że to Polacy stworzyli tak świetną grę, jaką jest „Wiedźmin”.

– Jeżeli będziemy mieli sukcesy w interesujących młodych ludzi dziedzinach, ta-

kich jak sport czy technologie, jest szansa, by odczarować to pojęcie, nie kojarzyć patriotyzmu z nacjonalizmem.

Psycholożka wspomina też miękkie sposoby wprowadzania dumy z narodu. Robią to Amerykanie w filmach i serialach. Powiewająca flaga na gankach, duma z flagi, pozytywni bohaterowie – policjanci i strażacy -pracujący dla dobra kraju i społeczeństwa, a nie dla siebie czy pensji.

– To nieuświadomione mechanizmy, które w ludzkich głowach zostają – konkluduje.

Fałszywe szufladki

Opowiadam profesorowi Grzybowi o Monice, która z partnerką podróżuje po Polsce.

– To godne pochwały, bo warto poznać skomplikowaną – pod wieloma względami, bo i kulturowymi, i historycznymi – specyfikę regionów kraju, by wiedzieć, co tak bardzo się kocha – uważa psycholog.

Sam jest związany z Górnym Śląskiem, z którego pochodzi. To pochodzenie, jak mówi, jest antidotum na „myślenie w kategoriach patriotyzmu łamanego przez nacjonalizm”.

– Uznanie, że patriotą i prawdziwym Polakiem możesz być tylko wtedy, gdy sobie wytatuujesz piastowskiego orla na ramieniu albo gdy jedynym dziedzictwem kulturowym będzie dla ciebie dziedzictwo kulturowe Polski, jest tu trochę bardziej skomplikowanie.

Możesz być polskim patriotą, jednocześnie być świadomy tego, dlaczego część mieszkańców Górnego Śląska niespecjalnie przystaje ani do niemieckiej, ani do polskiej strony narodowościowej. Mówią o sobie: Ślązacy. Całkiem to skomplikowane.

– Nie lubimy sobie komplikować życia. Chcemy je uporządkować, bo tak jest łatwiej.

– Oczywiście, że tak, chcemy świat zaszufładować. Mieć porządek. Uproszczoną wizję świata. Kłopot w tym, że taka wersja świata jest fałszywa, a prędzej czy później spotkamy się z rzeczywistością. Możemy zamykać oczy na trochę większe zróżnicowanie, tylko co to zmieni w sytuacji, gdy świat nadal pozostanie bardzo skomplikowany?

Wychowany na „Czterech pancernych i psie”

Jerzy, 58-letni żołnierz rezerwy Wojska Polskiego, uważa, że patriotyzm to nie tylko obrona granic kraju.

– To przestrzeganie prawa i stanie na jego straży – mówi. Wymienia dalej: to płacenie podatków, niecwaniakowanie, nieoszukiwanie. To proste rzeczy, uważa.

– A służba ojczyźnie?

– W wojsku mówiono nam, i żołnierze to nadal słyszą, że „obrona Rzeczypospolitej Polskiej jest zaszczytem i obowiązkiem” – wspomina.

Skończył samochodówkę i jako miłośnik „Czterech pancernych i psa” postanowił spełnić swoje marzenie z dzieciństwa. W 1985 roku wstąpił do wojska. Zrobił szkołę chorążych służby czołgowo-samochodowej. Został specjalistą od eksploatacji naprawy pojazdów kołowych i gąsienicowych.

Polska, tak wtedy, jak i dziś – uważa – była jedna. Żołnierze służyli narodowi, nie politykom. A i tej polityki w wojsku nie powinno być. Bo misją mundurowych jest bronić obywateli bez względu na ich poglądy.

Jerzy uważa, że mniej więcej 80 procent żołnierzy jest gotowych faktycznie oddać życie za kraj. Bo, przypomina, to nie walka o granice, ale o „nasze rodziny i wartości, jakie wyznajemy”.

– Jako Polacy jesteście przyzwyczajeni do walki o siebie, o swój język, o swój naród – mówi. Niestety, Polacy teraz często walczą sami ze sobą.

– Są politycy wykorzystujący to nasze podzielenie, zwłaszcza ci z Prawa i Sprawiedliwości. Mówią, kto jest lepszym, a kto gorszym patriotą. A patrioci są i po prawej, i po lewej stronie – uważa, że w obliczu realnego zagrożenia obywatele będą umieli się zjednoczyć. Jednocześnie się chociażby w Wojskach Obrony Terytorialnej. Jerzy również w terytorialsach był. Wspomina, że poznał tam mnóstwo wspaniałych, młodych ludzi.

– Przyszli z pasji – ocenia. Dlaczego więc nie wybrali wojska?

– Może nie chcieli całego życia spędzić w mundurze – dywaguje. – W WOT zostali przeszkoleni na przykład, jak pomagać rannym i poszkodowanym w wypadkach, jak posługiwać się bronią. I tę pomoc niosą innym, jak chociażby w trakcie pandemii COVID-19 czy przy ostatniej powodzi. ●

The Eastern Frontier Initiative

- **Artykuły powstały w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative (TEFI).** TEFI to porozumienie niezależnych wydawców z Europy Środkowej i Wschodniej, którego celem jest wspieranie wspólnego myślenia i współpracy w kwestiach bezpieczeństwa w regionie. Projekt ma także promować wymianę wiedzy w prasie europejskiej i przyczyniać się do wzmocnienia europejskiej demokracji.
- Członkami konsorcjum są 444 (Węgry), „Gazeta Wyborcza” (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellngcat.
- Projekt TEFI jest współfinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jedynie opiniami autora lub autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury (EACEA). Unia Europejska ani EACEA nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

ŚWIAT

• Przejazdka
hulajnogą mię-
dzy wrakami.
Biała Cerkiew
w obwodzie
kijowskim po
ataku
rosyjskich dro-
nów i rakiet,
23.06.2025

FOT. REUTERS/ ANATO-
LIJ STEPANOV



ROZMOWA *na strusia*

Ukraina to mój kraj, bardzo go kocham. Ale Artioma kocham bardziej.

Wiktorija Bielaszyn

• „Naszym
fachem
jest obrona
ojczyzny” -
głosi jeden
z tysięcy
propagando-
wych
plakatów,
jakimi oklejona
jest Moskwa.
12.07.2023

FOT. CONTRIBUTOR/
GETTY IMAGES



Lesia i Luba zawarły niepisaną umowę: nie rozmawiają o wojnie. Lesia jest po sześćdziesiątce i mieszka na wsi nieopodal Iwano-Frankowska, a Luba, starsza o prawie dekadę, blisko pięćdziesiąt lat temu przeprowadziła się pod Moskwę. Są siostrami, mimo że każda z nich identyfikuje się z inną narodowością. Lesia jest Ukrainką, Luba czuje się Rosjanką. Łączą je krew, wspomnienia z dzieciństwa i młodości. Dzieli: odległość, poglądy polityczne, język, którym na co dzień się posługują.

Lesia i Luba nie widziały się od dawna. Mimo to nie chcą tracić kontaktu, bo „mają swoje lata, niewiele im już zostało, a poza tym krew to krew”. Nie zawsze tak było. Na początku inwazji, opowiada mi Lesia, niewiele brakowało, by „pokłóciły się na amen”. Wszystko przez Lubę, która – czerpiąc wiadomości wyłącznie z państwowej rosyjskiej telewizji – wpadła na pomysł, by zadzwonić do Lesi z propozycją. „Spakuj rodzinę i przyjeźdźcie do mnie. Ja się tu wami zaopiekuję. Nie ma co tam zostawać wśród tych nazistów. Jeszcze coś wam się stanie”, mówiła.

Lesia, oburzona, odmówiła. Słyszając jednak w głosie siostry szczerą troskę, próbowała opowiedzieć jej, co tak naprawdę dzieje się w kraju, kto na kogo napadł i jakie są wśród Ukraińców nastroje.

Luba na każdą informację Lesi miała kontrargument, a przynajmniej wątpliwość. Nie było w niej jednak agresji, tak charakterystycznej dla Rosjan, którzy regularnie i z przekonaniem oglądają poświęcone wojnie w Ukrainie programy państwowych mediów. Z czasem ugodowo zaczęła podkreślać też, że „nie wie dokładnie, co się dzieje, nikt nie wie, każdy ma swoją prawdę, a moi tego świata rozgrywają nami swoje interesy”.

Więc z czasem jakoś się dogadały. I po prostu zaczęły omijać niewygodne tematy.

– Sasza, jej wnuk, służy w rosyjskiej armii. Nigdy nie pytam, czy walczy w Ukrainie. Ale od czasu do czasu, niby od niechcenia, zapytam, gdzie jest. Chcę się upewnić, że nie w Ukrainie. To dla mnie jakoś ważne – opowiada mi Lesia.

Lista niewygodnych tematów jest długa. Siostry, choć niemal codziennie wymieniają wiadomości, nie rozmawiają o zięciu Lesi, który służy w ukraińskiej armii, o wnuku Luby, który jest rosyjskim żołnierzem, ani o polityce czy sytuacji na froncie, codziennych atakach na Ukrainę, ostrzałach rosyjskich terytoriów, wymianach jeńców, represjach i wojennej cenzurze w Rosji czy dążeniu Ukrainy, by wstąpić do Unii Europejskiej. Rozmawiają o zdrowiu, wspólnych wspomnieniach, pogodzie, serialach, swoich psach i kotach, wymieniają się przepisami na sałatki.

Słyszę westchnienie Lesi: – Ja nie wiem już sama, co ona wie o tej wojnie, a czego nie wie. I czy naprawdę nie wie, czy udaje? Czy ogląda propagandę i ślepo jej wierzy, czy tylko stara się robić takie wrażenie, bo boi się, że ją podsłuchują i wsadzą do więzienia? I właściwie, skąd ona ma o tym wiedzieć, skoro propaganda od rana do wieczora kłamie? – zastanawia się. – Może kiedyś jeszcze ją zobaczę i wtedy się dowiem – dodaje chwilę później.

Siostry, rozmawiając o spotkaniu, które miało by się odbyć w nieokreślonej przyszłości, również nie odnoszą się do wojny. W ich rozmowach to, czy i kiedy się zobaczą, nie jest uzależnione od tego, kiedy i w jaki sposób walki się skończą. A przynajmniej nie wprost. W jednej z rozmów Lesia powiedziała Lubie: „Zobaczmy się, jak transport między nami zacznie działać”.

Sekrety i kłamstwa

Ukraińscy socjolodzy badający relacje rosyjsko-ukraińskich rodzin w dobie wojny ukuli termin „rozmowa na strusia”. Odnosi się do sytuacji, w jakiej znalazły się te rosyjsko-ukraińskie rodziny, które podtrzymują kontakt, ale nie podejmują tematów dotyczących wojny i polityki.

Według sondażu przeprowadzonego w 2023 r. przez analityków z ukraińskiego Centrum im. Razumkova jedna trzecia Ukraińców, którzy mają wśród krewnych Rosjan, w rozmowach z nimi korzysta z tej strategii. Jednocześnie tylko 15,5 proc. Ukraińców jest całkowicie przekonanych o tym, że rosyjscy krewni – czytamy w opisie sondażu – są „po ich stronie i adekwatnie oceniają sytuację”.

O to, jak wyglądają dzisiaj rozmowy Ukraińców z Rosjanami, pytam profesora Wołodymyra Paniotto z Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii. Badacz opowiada mi własną historię.

– Nie mam rodziny w Rosji, ale mam tam bliskich przyjaciół. I z nimi tematu wojny już dzisiaj nie poruszam, bo nie chcę, żeby mieli z tego powodu kło-

poty. Na samym początku powiedzieli mi, jakie jest ich stanowisko: potępili działania rosyjskich władz, okazali przerażenie, wyrazili współczucie i zapewnili o wsparciu. Ale potem wprowadzono tam wiele represyjnych przepisów i wojenną cenzurę, więc nie rozmawiamy już o wojnie wprost. Uciekamy się do ezopowego języka, jak w ZSRR – tłumaczy.

Takie zjawisko dotyczy jednak tych, którzy w czasie wojny znaleźli się terytorialnie po przeciwnych stronach frontu, ale już nie tych, którzy we wrogich okopach przebywają mentalnie.

Znaleźć dowód na potwierdzenie jego teorii nie jest mi trudno. Wystarczy, że napiszę do Katii, rosyjskiej kuzynki, która w połowie lutego 2022 r., tydzień przed wybuchem pełnowymiarowej wojny, wyszła za mąż za Ukraińca i wyjechała z nim do Ukrainy.

– Gdy na nasze miasto spadały bomby, dziadkowie twierdzili, że nic mi nie grozi, bo Rosja dąży do pokoju, celuje jedynie w obiekty wojskowe i chce wyzwolić Ukrainę od nazistów. Sugerowali, że skoro myślę inaczej, to znaczy, że Petro mną manipuluje. Pytali, czy jestem pewna, że on i jego rodzina nie są banderowcami, namawiali mnie do powrotu do Rosji – opowiada.

Tak samo dziadkowie Katii nie przyjmują do wiadomości informacji o zbrodniach wojennych, których w Ukrainie dopuszcza się rosyjska armia, mimo że wnuczka regularnie wysyła im nagrania i zdjęcia publikowane zarówno w ukraińskich, jak i rosyjskich niezależnych mediach.



• **Ślubowanie nowych członków organizacji pionierskiej na Placu Czerwonym w Moskwie 18.05.2025. Ochotnicy trzymają ogromną flagę stylizowaną na radziecką**

FOT. CONTRIBUTOR/
GETTY IMAGES

Zmienił się tylko sposób zaprzeczania. Hasło „to nieprawda, to fake newsy” od dłuższego czasu zastępowane jest różnymi argumentami ukutymi przez kremlowską propagandę. Począwszy od tego o rzekomej winie NATO i szeroko rozumianego Zachodu, a kończąc na starym sowieckim: „Bez względu na przyczyny i konsekwencje w czasie wojny należy być po stronie swojego kraju”.

Katia: – Rozmawiamy z nimi, bo są starzy, i nie wiem, czy ich jeszcze zobaczę, ale kiedy schodzi na temat wojny, to się rozłączam. Petro jest mi za to wdzięczny. Zresztą, dla niego to właściwie obcy ludzie.

Tak nie było od początku. Tuż po wybuchu rosyjskiej inwazji w całej Ukrainie słychać było głównie ryk alarmów przeciwlotniczych, huk wybuchów. Ale moje notatki z tamtego okresu przypominają jeszcze o innym dźwięku, który donosił się wtedy z ukraińskich miast. Był to głos zaskoczonych i zrozpaczonych Ukraińców, którzy i w pierwszych dniach wojny, i tuż przed nią, starali się dotrzeć z prawdziwymi wieściami do Rosjan wierząc, że jeśli tylko tamci, okłamywani przez kremlowską propagandę, poznają prawdę, uda się zapobiec tragedii.

Nie da się rozmawiać z zombi

Ile dokładnie rodzin można określić jako rosyjsko-ukraińskie? Na to pytanie nie ma odpowiedzi.

„Nie ma ani jednej rosyjskiej rodziny, która nie miałaby ukraińskiego kuzyna, nie ma ani jednej ukraińskiej rodziny, która nie miałaby krewnego w Moskwie”, pisali Sébastien Gobert i Lucien Jacques na łamach francuskiego dziennika „Libération”. To oczywiście przesada, ale jeszcze w pierwszej połowie 2014 r. „Moskiewski Komсомолец” donosił, że małżeństwa zawarte między

obywatelami Rosji i Ukrainy należy liczyć w dziesiątkach tysięcy.

Od Ukraińców, z którymi rozmawiam na inne tematy, zazwyczaj w pewnym momencie rozmowy słyszę: „My też mamy krewnych w Rosji”. Temu wyznaniu niemal zawsze towarzyszy tłumaczenie.

– Kiedyś wchodziliśmy w skład tego samego państwa, a później, już po rozpadzie ZSRR, ludzie i tak się swobodnie przemieszczali. My jeździliśmy tam, oni przyjeżdżali do nas. Nasze kobiety powychodziły za Rosjan, a mężczyźni żenili się z Rosjankami – tłumaczył mi kilka miesięcy temu ukraiński weteran wojenny. Podkreślał przy tym, że on z rosyjskimi krewnymi kontaktu nie utrzymuje. – Nie da się rozmawiać z zombi – ucina.

„Zombi” – w ostatnich latach Ukraińcy często tak nazywają Rosjan będących pod silnym wpływem kremlowskiej propagandy. O procesie „zombizacji” własnego ojca opowiada mi Diana Burkot, rosyjska opozycyjna aktywistka, członkini grupy Pussy Riot.

– Tragedia mojego ojca polega na tym, że chociaż pochodzi z Chersonia, zna ukraiński i przez 20 lat swojego życia uważał się za Ukraińca, to i tak uwierzył rosyjskiej propagandzie

– mówi.

Jej ojciec, jeszcze w czasach ZSRR, wyjechał z Ukrainy do Moskwy na studia. Później życie ułożyło mu się tak jak wielu ówczesnym migrantom z byłych radzieckich republik – znalazł w rosyjskiej stolicy pracę, ożenił się, założył rodzinę, dostał obywatelstwo.

– Tata przez wiele lat regularnie jeździł do Ukrainy. Najpierw, by odwiedzać starzejących się rodziców, a potem do Ihara, młodszego brata – opowiada Burkot.

Ostatni kontakt bracia mieli w pierwszych tygodniach rosyjskiej inwazji. Ihara, dzwoniąc do brata, tłumaczył, że Ukraina jest ostrzeliwana, że musi się ukrywać w schronie i że na miasta spadają bomby, które zabijają cywili i niszczą budynki mieszkalne.

Ojciec Diany nie wierzył. Każda rozmowa, w której brat pozwalał sobie na jakąkolwiek krytykę rosyjskich władz, bardzo go denerwowała. Szybko orzekł, że jego młodszy brat bredzi i „ma coś nie tak z głową”.

– Kontakt się urwał. Telefon wujka przestał odpowiadać. Nie wiem, czy dlatego, że nie chce rozmawiać, czy po prostu nie żyje. Nie udało mi się go odzyskać – mówi Diana. I dodaje: – Najstraszniejsze jest to, że mój ojciec nie wygląda na kogoś, kogo by to obchodziło.

Próbuję zrozumieć. Pytam Dianę o ewolucję jej ojca, Ukraińca, który przed laty wyjechał do Rosji za lepszym życiem i stał się wyznawcą Putina cieszącym się z tego, że jego młodsza córka, jak twierdzi Diana, „w czasie wojny zabija ukropów [Ukraińców] w grze »Counter-Strike«”.

– Z perspektywy czasu widzę, że tata mówił o Ukrainie coraz gorzej. O Ukraińcach od lat mówił per „chochły”, krytykował ich, wyśmiewał. Kiedy pytałam, jak może tak mówić, skoro sam jest z Ukrainy, odpowiadał, że właśnie dlatego może, bo wie więcej. W gruncie rzeczy po prostu przekazywał to, co od lat wpajała nam propaganda, ta zaś z roku na rok stawała się coraz bardziej agresywna. Wkroczyła też do cerkwi, która wprost popiera wojnę, a do której mój ojciec od dawna regularnie i gorliwie

chodzi. Inwazja to apogeum, granica, zza której nie ma już powrotu – opowiada Burkot.

Rozdwojenie jaźni

Profesor Paniotto poniekąd się z tą opinią zgadza. Zwraca uwagę, że liczby z sondażu przeprowadzonego przez badaczy Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii, którzy w grudniu 2021 r. chcieli się dowiedzieć, jaka część Ukraińców ma rosyjskich krewnych, mogłyby wyglądać dzisiaj inaczej.

Dwa miesiące przed wybuchem tak zwanej dużej wojny 43 proc. ankietowanych Ukraińców deklarowało bowiem, że ma w Rosji bliskich krewnych. Kolejne 14 proc. przyznawało wtedy, że ma w Rosji rodzinę, ale nie utrzymuje z nią regularnych kontaktów. Zdaniem profesora Paniotto Ukraińcy na to samo pytanie odpowiedzieliby dzisiaj inaczej i nie kierowaliby się wyłącznie klótniami rodzinnymi.

– Po pierwsze, wtedy motywy polityczne na pewno nie miały wpływu na odpowiedzi ankietowanych. Co więcej, jeszcze niedawno ze względu na rosyjsko-ukraińskich rodziców czy przodków część ankietowanych z pewnością identyfikowała się jako Rosjanie. Dzisiaj ci sami ludzie pod wpływem wojennych doświadczeń w miazdżące większości nazywają się Ukraińcami – tłumaczy.

Żywym przykładem jest Alona, która zanim Rosja zaatakowała Ukrainę na pełną skalę, idealnie wpisywałaby się w wyobrażenie Kremla o Ukraińcach.

Diana Burkot z Pussy Riot: Tragedia mojego ojca polega na tym, że chociaż 20 lat swojego życia uważał się za Ukraińca, to i tak uwierzył Putinowi

– To było swego rodzaju rozdwojenie jaźni. Nie kiedy mogłam powiedzieć, że jestem etniczną Rosjanką mieszkającą w Ukrainie, a już w innej sytuacji identyfikować się jako stuprocentowa Ukrainka – tłumaczy. – Dzisiaj już takich rozterek nie mam. Nie jestem częścią kraju, który atakuje moją ojczyznę.

Dla Alony w tym rozdwojeniu jaźni nie było nic dziwnego. Jej rodzice urodzili się i wychowali w ZSRR na terytorium dzisiejszej Rosji. Poznali się na studiach w Charkowie i tam już zostali, ale przez wiele lat regularnie bywali w Rosji u rodziców, rozmawiali po rosyjsku, oglądali głównie rosyjską telewizję.

– Rodzice protestowali przeciwko wydarzeniom na Majdanie, byli za niezależnością Ukrainy, ale z bliskimi relacjami z Rosją. Obawiali się, że Zachód chce Ukrainie zaszkodzić i ją wykorzystać – wspomina Alona.

Dzisiaj dziewczyna uważa, że te obawy i poglądy w niej samej i w jej rodzicach zasiała rosyjska propaganda, która była dla nich głównym źródłem informacji. – To, że mieszkamy w Ukrainie i widzimy dzisiaj na własne oczy, co się dzieje, uratowało nas od jej zgubnego wpływu – twierdzi.

Przez wiele lat rosyjska propaganda na Alonę i jej rodzinę jednak działała. Nie widzieli specjalnie niczego złego w aneksji Krymu. Głównie dlatego, że ich krewni, którzy na Krymie już wtedy mieszkali, opowiadali się podczas tak zwanego krymskiego referendum za przynależnością do Rosji.

– Opowiadali nam, że odkąd Krym jest rosyjski, lepiej im się żyje. Podwyższono im emerytury i pensje, zaczęły się jakieś remonty, udoskonalenia. Oni sobie to życie pod rosyjską flagą i z rosyjskim paszportem bardzo chwalili – wspomina.

I nie tylko oni. Pochodząca z Doniecka Maria Czumak w wywiadzie dla opozycyjnego portalu Meduza opowiadała, jak ten okres postrzegala jej rosyjska część rodziny i jak odłączenie w tym regionie kanałów telewizyjnych innych niż proputinowskie przełożyło się na ich relacje.

– Po roku 2014 się pogorszyły. Nie mogłam słuchać, jak opowiadają, że Rosja ich ratuje, bo byli wtedy na etapie zakochania się w Rosji: patrzyli na nią przez różowe okulary, złego słowa nie dali na Putina powiedzieć, oglądali od rana rosyjską telewizję. Ustalliliśmy więc, że nie rozmawiamy o polityce, by nie zerwać kontaktu.

Pytam o podobne doświadczenia Alonę.

– Tak, niektórzy znajomi opowiadali, że Krym i Donbas wpłynęły na te kontakty. Najczęściej je ochłodziły. Inni mówili, że w imię utrzymania dobrych relacji i atmosfery zaczęli wtedy unikać tematu polityki podczas rodzinnych spotkań. Nie chcieli się klócić, a wiadomo było, że nikt nikogo nie przekona – opowiada. A po chwili przyznaje: – To jednak nie nasz przypadek. Ja naprawdę długo wierzyłam, że Putin jest dobrym przywódcą i politykiem. Że z Rosją warto dobrze trzymać, bo to bliski nam kraj, bliscy ludzie.

Nie dogadamy się

Gdy na całą Ukrainę zaczęły spadać rosyjskie pociski, Alona zrozumiała, że mogła się pomylić, jeśli chodzi o ocenę Putina. A do Marii dotarło, że nie jest w stanie pogodzić się z tym, że miłość jej bliskich do rosyjskich władz jest silniejsza niż miłość do niej.

– Przez pierwsze dwa tygodnie dużej wojny mój wujek, który mieszka na Krymie, pisał i do nas, i na portalach społecznościowych, że Putin jest super. Kiedy mówiliśmy mu, że ten jego super-Putin zrzuca na nasze miasto bomby, powiedział: przemęczycie się trochę i dołączycie do nas. Rosja się wami opiekuje – wspomina Alona.

I mówi o poczuciu bezradności i niemożności dotarcia z informacją do ludzi, których uważała za bardzo bliskich. – Zrozumiałam, że dla nich ważniejszy i bardziej wiarygodny jest telewizor. Mogę krzyczeć, że dzieje mi się krzywda, a oni odpowiadają, że tylko tak mi się wydaje. Dla mnie to zdrada nie do wybaczenia.

Podobnie poczuła się Maria. Poinformowała bliskich, że ucieka z Charkowa. „Bombardują nas. Wyjeżdżamy”. „OK”, przeczytała w odpowiedzi, a po kilku dniach, już bezpieczna w Polsce, usłyszała: „Kłamiesz z tą ucieczką. To wszystko fake newsy. Jesteś zdrajczynią. Nie dogadamy się”.

Jelizawieta, niezależna rosyjska dziennikarka w Kijowie, która przed laty wyszła za mąż za Ukraińca, tłumaczy, że źródłem tych emocji jest agresywna polityka Kremla. „Trzeba rozumieć, że nienawiść Rosjan do Ukraińców nie ma charakteru etnicznego, tylko polityczny. Nie wiem jak teraz, bo od inwazji nie jeżdżę do Rosji, ale wcześniej nie było sytuacji, żeby Rosjanin, słysząc Ukraińca, czuł nienawiść czy przejawiał agresję”, mówi.

Podobne spostrzeżenia mają też inni. I Alona, i większość moich rozmówców zwraca uwagę, jak wielką rolę w niszczeniu więzi ma rosyjska propaganda. Ci, którzy jej ulegają, mają „bardziej ufać Sołowiowowi [Władimir Sołowiow – słynny rosyjski propagandysta] niż własnym braciom, siostrom, rodzicom czy dzieciom”, nawet w sytuacjach granicznych, jaką jest wojna. „Krewni ze strony ojca, którzy żyją w głębi Rosji i którzy nie oglądają państwowej telewizji, tylko czytają nasze media albo niezależne rosyjskie, są normalnymi ludźmi. Wszystko rozumieją, bardzo nam współczują i potępiają rosyjską agresję”.

O to, jak mają żyć rosyjsko-ukraińskie rodziny rozdzielone przez wojnę, pytam Mychajłę Podolaka, doradcę szefa kancelarii prezydenta Ukrainy. „To trudne pytanie. Bardzo ważne, by Rosja przegrała wojnę i musiała się ukorzyć, poprosić o wybaczenie. Wtedy łatwiej będzie wyjaśnić tym członkom mieszanym rodzin, którzy są w Rosji, dlaczego Rosja jest winna i co zrobiła Ukraińcom”.

Gdy Ukrainka kocha Rosjanina

Sofia poznała Artioma w Gruzji w 2022 r. w punkcie pomocy humanitarnej dla ukraińskich uchodźców. Wybuch wojny zastał ją na Cyprze, podczas urlopu. Nie wiadomo było, jak będzie rozwijać się wojna i czy Rosjanie nie zdobędą Kijowa. Ojciec i brat, którzy od razu wstąpili do armii, doradzali jej, żeby nie wracała.

– Powiedzieli mi, że ze świadomością, że jestem bezpieczna, będzie im łatwiej skupić się na tym, co teraz najważniejsze – opowiada Sofia.

Wyjechała więc do Tbilisi, gdzie zaangażowała się w pomoc uchodźcom z Ukrainy.

Sofia: – Artiom jest jednym z tych Rosjan, którzy od samego początku sprzeciwiali się wojnie. Brał udział w protestach, a potem, gdy władze zaczęły ostrzacać przepisy i zatrzymywać coraz więcej osób, wyjechał do Gruzji. Obawiał się, że albo znajdzie się w więzieniu, albo zostanie wysłany na wojnę.

My myśliłyśmy w tych kwestiach tak samo i kiedy już wszystko przegadaliśmy, to zwyczajnie przerwaliśmy się na inne tematy. Faktem jest też, że codzienne wiadomości są tak przybijające, że staramy się rozmawiać też o czymś, co nas nie dołuje.

Rozmawiają po rosyjsku i ukraińsku. Sofia urodziła się na Krymie, gdzie nawet przed rosyjską aneksją niemal wszyscy mówili po rosyjsku. Do Kijowa wyjechała z rodzicami jako nastolatka, krótko po wybuchu wojny w 2014 roku.

– Bałam się powiedzieć rodzicom i krewnym, że mam chłopaka Rosjanina. Obawiałam się reakcji mamy, która przez wszystkie te lata boleje nad utratą naszego domu na Krymie – mówi. Długo nosiła się z przekazaniem rodzinie tej informacji, a kiedy już się odważyła, zaskoczyła ją reakcja bliskich.

– Nie powiedziałabym, że byli szczęśliwi, ale przyjęli to bardzo spokojnie. Zaczęli zadawać pytania o niego, o jego rodzinę. Byli ciekawi, jak się znalazł w Gruzji. Tylko mój brat, z którym mam dość skomplikowane relacje, zapytał, czy nie mogłam znaleźć sobie jakiegoś Ukraińca, ale to był jedyny przykry komentarz – opowiada dziewczyna.

Kiedy pytam ją, jak widzi ich wspólną przyszłość i czy po wojnie zamieszkają w Ukrainie, Sofia przez chwilę milczy. – Bardzo chciałabym brać udział w odbudowie Ukrainy. To mój kraj, bardzo go kocham. Ale Artioma kocham bardziej. I myślę, że niezależnie od tego, jakim jest człowiekiem i jakie ma poglądy, życie w Ukrainie tuż po wojnie nie będzie dla niego możliwe.

Gdy Ukrainiec kocha Rosjankę

Alina przeprowadziła się z Archangielska do Kijowa w 2012 r. Z miłości. Półtora roku wcześniej poznała na wakacjach w Turcji chłopaka z Ukrainy.

– Wpadł na mnie w windzie, przewróciłam się. Przeprosił, pomógł mi wstać, zaczęliśmy rozmawiać i właściwie od tego momentu jesteśmy razem. Najpierw na odległość, później w Ukrainie – opowiada Rosjanka.

Mąż Aliny, jeszcze zanim ją poznał, obiecał sobie, że nigdy nie pojedzie do Rosji. Chociaż to było jeszcze przed aneksją Krymu.

– Ja go wtedy nie rozumiałam. Mówił mi, że Rosjanie nie lubią Ukraińców, zwracał uwagę na jakieś spory czy konflikty, wypominał, że Rosjanie nazywają Ukraińców „chochłami”. A ja mu tłumaczyłam: mój drogi, my o was, przynajmniej w Archangielsku, nie myśliłyśmy w ogóle. Dzisiaj Alina przyznaje jednak, że nie do końca tak było. I o Ukrainie, owszem, ludzie w Archangielsku myśleli, ale jako o „młodszym bracie lub siostrze”.

– Widzę dzisiaj, że Ukraina była postrzegana jako coś bliskiego, ale jednocześnie o mniejszym znaczeniu. Jako państwo, które w oczywisty sposób powinno się Rosji podporządkować, być w jej orbicie.

Rosyjska część rodziny Aliny, w odróżnieniu od wielu krewnych innych bohaterów tego tekstu, od lat nie ogląda państwowej telewizji ani nie interesuje się polityką. Być może dlatego, zastanawia się Alina, nigdy nie doszło między nimi a nią czy jej mężem do klótni z powodu polityki.

– Okazji było wiele, bo mąż oczywiście zarzucił swoje postanowienie, że nigdy nie pojedzie do Rosji. Zabierałam go każdego lata na kilka tygodni do Archangielska, do Moskwy i Petersburga – wspomina. Gdy zaczęła się wojna, dla jej rodziny było ważne tylko to, czy ich córka, zięć i wnuki są bezpieczni. – Dlatego nadal mamy dobry kontakt.

Co innego znajomi, nawet bliscy. – Goście, którzy bawili się przed laty w Kijowie na naszym weselu i którzy zachwycali się wtedy otwartością i życzliwością Ukraińców, zaczęli przysyłać mi teksty o rzekomym ukraińskim nazizmie. Pytałam ich, czy podczas pobytu u nas widzieli jakiegokolwiek nazistę – mówi Alina.

I płacze: – Dla mnie początek wojny wiąże się z bólem, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwałam. Chodzi o to, że ja bardzo kochałam Rosję, mój kraj. Napaść Rosji na Ukrainę była dla mnie największą zdradą. Rozmawiałam o tym z psychologiem, powiedział, że ten ból wynika z mojego uczucia utraty, który podobno czuje się w momentach, kiedy umiera najbliższa ci osoba.

A mąż? – Widząc, że płaczę, że już nigdy nie zobaczę Rosji, potrafił mi powiedzieć: „Kochanie, wszystko minie. Może za pięć lat znów pojedziemy do Archangielska na wakacje?”. ●



Wysłanie naszego astronauty w kosmos było dowodem na to, że Polska może, jeśli bardzo chce. Co zrobić, by po latach nie pozostała nam po tym jedynie nostalgia?

„EFEKT SŁAWOSZA”

Piotr Cieśliński

Lot Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego to wydarzenie historyczne. Dla wielu – także dla mnie – wzruszające. Powód do dumy. Pierwszy od 47 lat Polak poleciał w kosmos, ujrzał Ziemię z orbity, po raz pierwszy w historii wszedł na pokład stacji ISS krążącej 400 km nad naszą planetą.

Trudno nie dać się porwać chwili, podobnie jak wtedy, gdy słuchamy „Mazurka” Dąbrowskiego na igrzyskach olimpijskich czy nasi zdobywają gola w kolejnym meczu o wszystko. Rozum jednak stawia pytania: Czy było warto? Co z tego będziemy mieli? Policzmy.

Naukowa powszechna mobilizacja

Latem 2023 roku kupiliśmy bilet w kosmos za 65 mln euro. To koszt misji „Ignis”, w której Sławosz poleciał na Międzynarodową Stację Kosmiczną. W tej cenie są: wielomiesięczne szkolenia w Kolonii, Houston i Hawthorne, przygotowanie i integracja kilkunastu eksperymentów naukowych, sam lot na orbitę i dwutygodniowy pobyt na ISS, powrót, ewaluacja wyników i półroczne „działania po misji”.

To była mobilizacja, jakiej polska nauka dawno nie widziała. Uczni mieli pięć tygodni, by zgłosić pomysły eksperymentów. Zgłosili ponad 60, wybrano 13 projektów, wszystkie zgodne z wymaganiami Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA).

Czapki z głów przed zespołami badawczymi, które w błyskawicznym tempie przygotowały eksperymenty, często łącząc zasoby z kilku instytucji, posilkując się kontaktami w przemyśle i pokonując biurokratyczne przeszkody. Udało się, ale wątpliwa jest kolejność wydarzeń.

Zazwyczaj w nauce to problem generuje misję, a nie odwrotnie. Zespół badawczy identyfikuje lukę w wiedzy, której nie da się wypełnić na Ziemi – na przykład zjawisko, które wymaga długotrwałej mikrogravitacji, promieniowania kosmicznego czy braku konwekcji. Następnie szuka sposobu realizacji: Czy można to zrobić w ramach misji ESA? A może w prywatnym programie lotów suborbitalnych?

Tym razem było inaczej. Najpierw zapłaciliśmy za pobyt na stacji ISS, a potem zapytaliśmy naukowców, co możemy tam zabrać. To tak, jakby najpierw wynająć Metropolitan Opera, a potem szukać u nas gwiazd operowych, które tam zaśpiewają.

W efekcie do lotu trafiły eksperymenty, które – choć bardzo ciekawe – przeważnie nie wymagały Polaka na orbicie. Wartościowe, ale większość z nich można by było zrealizować taniej i szybciej w alternatywnych warunkach: w lotach parabolicznych, suborbitalnych albo w symulowanym środowisku laboratoryjnym.

Skąd Polak w kosmosie?

Mikrogravitacja, choć trudna do uzyskania, nie wymaga dziś wysyłania człowieka na stację ISS. Istnieją urządzenia np. RPM (Random Positioning Machine) czy klinostaty, które potrafią w pewnym zakresie symulować warunki nieważkości. Loty paraboliczne – realizowane od lat m. in. przez Novespace w Europie – zapewniają 20-sekundowe okna mikrogravitacji, wystarczające dla wielu eksperymentów biologicznych i fizycznych.

Jeśli – jak czytamy na stronach Ministerstwa Rozwoju i Technologii – to misja technologiczno-naukowa, która „ma wpłynąć na rozwój medycyny, biologii, inżynierii i technologii kosmicznych”, to powstaje pytanie, czy jest to optymalne z punktu widzenia organizacji przedsięwzięcia i jego kosztów.

Tu warto zapytać: co by się stało, gdyby naukowcy przyszli do resortu finansów z tymi 13 projektami i poprosili o 65 mln euro na realizację – bez człowieka, bez efektu medialnego, bez flagi na ramieniu astronauty? Najpewniej usłyszeli: „Dlaczego aż tyle?”.

Powtórzmy: nie chodzi o to, że eksperymenty były złe. Nie były. Chodzi o to, że zostały przypisane do bardzo drogiego środka transportu.

To nie wina naukowców – oni zrobili, co mogli. Dostali okazję i błyskawicznie na nią zareagowali. Ale dowodzi, że wcześniej nie istniała żadna długofalowa strategia naukowa, która uzasadniałaby załogowy lot Polaka na orbitę z określonym pakietem eksperymentów.

W 2017 roku Polska przyjęła Strategię Rozwoju Sektora Kosmicznego. Dokument

• **Sławosz Uznański-Wiśniewski podczas rozmowy z premierem Donaldem Tuskiem w czasie wideołączenia z Międzynarodową Stacją Kosmiczną (2.07.2025)**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

przygotowany z rozmachem i dobrymi intencjami miał uporządkować nasze aspiracje orbitalne. Zawierał analizę stanu sektora, wskazywał na potrzeby i cele: rozwój systemów obserwacji Ziemi, budowa narodowej konstelacji satelitarnej, zaangażowanie w europejskie systemy nawigacji (Galileo, EGNOS), wzmacnianie udziału Polski w programach ESA oraz rozwój kompetencji krajowego przemysłu.

Ale na 50 stronach ani razu nie pada słowo „astronauta”. Nie ma też mowy o udziale w programach załogowych. Testy technologii w środowisku orbitalnym? Nieobecne.

A kilka lat potem nagle decydujemy, aby wystrzelić Polaka w kosmos. Oczywiście, strategię się zmienia i aktualizuje, ale to nie ten przypadek. Tu zadecydowała bieżąca polityka.

Trzeba mieć plan

Można i trzeba patrzeć na innych. Bo to, jak inne kraje organizują swój udział w lotach załogowych, mówi wiele nie tylko o ich aspiracjach, ale także o dojrzałości ich sektora kosmicznego.

W styczniu 2024 roku, w poprzedniej misji Axiom poleciał Marcus Wandt, szwedzki pilot i inżynier. Kto za to zapłacił? Znaczną część sfinansowało konsorcjum firm na czele z gigantem zbrojeniowym Saab i fundacją FAM należącą do rodziny Wallenbergów. Saab buduje radary, satelity, samoloty i potrzebuje środowiska orbitalnego do testowania technologii oraz szkolenia kadr. Lot astronauty był logiczny dla tych inwestycji. Nie tylko opłacalny, ale niezbędnym z punktu widzenia ich strategii przemysłowej.

W misji Axiom-3 wziął także udział Walter Villadei, pilot włoskich sił powietrznych. Włochy to inny kaliber – kraj, który miał poważny udział w budowie ISS. Do kosztów misji dołożyła się firma Thales Alenia Space, która wyprodukowała trzy moduły stacji (Harmony, Tranquility, Columbus), a teraz walczy o udział w komercjalizacji orbity. Uczestniczy w budowie nowego segmen-

tu dla komercyjnej stacji, jaką chce wysłać na orbitę właśnie firma Axiom. Lot był więc częścią ubijania interesów.

A jak na tym tle wygląda Polska?

Lot naszego astronauty w 100 proc. sfinansował budżet państwa. Żaden przemysł nie powiedział: „Potrzebujemy testów orbitalnych naszych systemów”. Była to decyzja polityczna: „Chcemy być na pokładzie, zanim ISS zostanie zatopiona w Pacyfiku”.

To nie musi być błąd.

Czasem trzeba zaryzykować. Nazwijmy jednak rzecz po imieniu: u Włochów i Szwedów lot wspierał istniejące przedsięwzięcia komercyjne i struktury przemysłowe. U nas – ma je dopiero zainicjować.

Może więc to była nie tyle misja naukowo-techniczna, ile symboliczna. Symbolizująca nasze ambicje technologiczne, naukowe i narodowe. Zresztą zgodnie z tym, co Sławosz przekazał rodakom z orbity, tuż po starcie w kosmos: „Dziś robimy ogromny krok w stronę przyszłości technologicznej Polski. Polski opartej na nauce, wiedzy i wizji. Niech ta misja będzie początkiem epoki, w której nasza odwaga i nieustępliwość kształtują nowoczesną Polskę”.

Same ambicje nie wystarczą. Trzeba mieć plan i konsekwentnie go wdrażać.

Ćwierć miliarda składki

Trzeba tu uczciwie dodać: nie zainwestowaliśmy tylko w lot. Latem 2023 roku podpisaliśmy z ESA umowę na lot w kosmos, ale także pakiet innych zobowiązań o wartości blisko 300 mln euro.

To była transakcja wiązana i skok na głębokie wody ze wszystkimi tego konsekwencjami. Polska była od dekady członkiem Europejskiej Agencji Kosmicznej, płaciliśmy składkę obowiązkową, proporcjonalną do naszego PKB, ale ostrożnie zwiększaliśmy wkład finansowy w programy dodatkowe, opcjonalne, jakie oferuje agencja.

W roku 2023 rząd nagle przestawił zwrotnicę i sygnął pieniędzmi jak nigdy dotąd. Zadeklarował np. pięciokrotne zwiększenie składki – z 51 mln euro do 251 mln euro. To przesunęło Polskę do ścisłej czołówki płatników ESA. Nagle znaleźliśmy się w tej samej lidze co Belgia, Hiszpania czy Szwajcaria – państwa z dużo silniejszym zapleczem przemysłowym i technologicznym.

Problem? Polska nie miała wtedy gotowej strategii absorpcji tych środków ani zorganizowanego ekosystemu firm, które byłyby w stanie te pieniądze wykorzystać w krótkim czasie, ani nawet powiązanego z tym planu rozwoju edukacyjnego, kadrowego czy przemysłowego.

Ponieważ wszystko działo się tuż przed wyborami parlamentarnymi, zasadne stało się pytanie, czy nie jest to wyborcza kielbasa. (W zasadzie dziś powiedzielibyśmy: piekarni wyborcze).

To niekoniecznie była rozrzutność. ESA opiera się na zasadzie tzw. zwrotu geograficznego. Kraj, który wnosi wkład, ma prawo do otrzymania proporcjonalnej wartości w kontraktach przemysłowych i naukowych. W praktyce to znaczy, że 80-90 proc. składki wraca, pod warunkiem że firmy są w stanie wygrać przetargi, wykonać zadania i dostarczyć technologię na poziomie ESA.

To nie dzieje się automatycznie. I nie od razu. Nawet Belgia, z 40-letnim doświadczeniem w Agencji Kosmicznej, nie zawsze uzyskuje pełen zwrot. A Polska dopiero buduje zdolność przemysłową do konkurowania z Niemcami, Francją, Włochami.

W teorii zasada zwrotu geograficznego brzmi znakomicie. W praktyce trzeba mieć komu te pieniądze dać. W chwili wielkiego skoku Polski w kosmos w systemie przetargowym ESA zarejestrowanych było ponad 300 podmiotów – firm, instytutów, uczelni. Ale to mylące. Aktywnie, czyli z sukcesem, uczestniczących w kontraktach i przetargach było tylko 50-80 firm. Tylko co szósta/siódma zarejestrowana jednostka realnie bierze udział w grze o poważne pieniądze.

Problem nie polega jedynie na braku technologii. Chodzi o brak zdolności do kompleksowej obsługi projektów na poziomie ESA: procedur jakościowych, dokumentacji, certyfikacji, zarządzania ryzykiem. Dla wielu polskich firm – nawet bardzo innowacyjnych – to za duży przeskok.

Przedstawiciele branży kosmicznej byli jednak szczęśliwi i pełni optymizmu. Nie dziwię się. Przekonywali mnie, że dadzą radę. Że w końcu rząd spełnił starania branży o zwiększenie składki do ESA, bo stare plasowały nas w ogonie krajów członkowskich. A polska branża, choć młoda, jest już gotowa wyrzucić niczym rakietę. Ma potencjał, by za 10 lat stać się nowym CD Projektem – symbolem polskiej zaawansowanej technologii. Zwłaszcza, że wojna w Ukrainie i globalna polaryzacja zwiększają znaczenie niezależnych technologii satelitarnych i potrzeby suwerenności technologicznej.

Zwrot geograficzny – mówili – to nie tylko sposób na odzyskanie pieniędzy. To szansa, by wymusić wzrost kompetencji, wzmocnić instytucje, wypchnąć firmy poza lokalny rynek. Jeśli to wykorzystamy, składka do ESA przestanie być tylko kosztem, a stanie się kółem zamachowym.

Moi rozmówcy podkreślali jednak, że zwiększone środki mają sens tylko wtedy, gdy zostaną powiązane z długofalowym planem. Jest już garść firm gotowych do ich absorpcji (choćby Creotech, Scanway, Thorium Space, KP Labs, Eycore), mamy zaplecze talentów, ale trzeba chuchać i dmuchać, by przekuć okazję w trwałą przewagę technologiczną. W przeciwnym razie zostaniemy krajem, który owszem, „chciał dobrze”, ale nie dowiózł.

Kosmiczna wielka gra

Jak nam z tym idzie? Czy koło zamachowe działa? Minęły dwa lata i dziś już można powiedzieć: sprawdzam.

Mamy sukcesy – bez dwóch zdań. Z informacji, jakie uzyskała Polska Agencja Prasowa, wynika, że w roku 2024 polskim podmiotom udało się podpisać 153 kontrakty z ESA na łączną kwotę 87 mln euro. To wynik bez precedensu – najlepszy w kilkunastoletniej historii naszego członkostwa w Europejskiej Agencji Kosmicznej.

W kwietniu tego roku agencja podpisała największy dotąd kontrakt z polskim pod-

miotem. Firma Creotech Instruments dostała zlecenie za 52 mln euro na realizację pierwszego w Polsce cywilnego programu satelitarnej obserwacji Ziemi (CAMILA). Chodzi o budowę co najmniej trzech satelitów, a także rozwój kompetencji w dziedzinach hiperspektralnej analizy danych, zaawansowanego przetwarzania obrazów czy wykrywania anomalii środowiskowych. To było przedmiotem jednej z umów z ESA o sumarycznej wartości 85 mln euro zawartej latem 2023 roku.

W budowę satelitów i ich struktury naziemnej zaangażowane są już setki osób. Jeśli projekt zakończy się sukcesem, CAMILA może się stać wzorem dla przyszłych państwowych programów i dowodem na to, że Polska potrafi budować i zarządzać własnym programem kosmicznym.

Wciąż jednak nie jest jasne, czy byliśmy w stanie spożytkować deszcz dodatkowych pieniędzy wpłacanych do ESA, nie mówiąc o ich pomnożeniu.

To, że nie odzyskamy od razu wszystkiego, jest zrozumiałe – nie sposób wydać setek milionów euro z dnia na dzień. Zwrot geograficzny to nie rozdawnictwo ani subsydium. To system partnerski: dajesz pieniądze i dostajesz kontrakty, ale tylko wtedy, gdy twoje firmy potrafią je wziąć i zrealizować zgodnie z europejskimi standardami. Kto nie jest gotów – ten traci.

Drugi tydzień czekam na odpowiedź z Ministerstwa Rozwoju i Technologii. Poprosiłem o podsumowanie kontraktów i zamówień z ESA dla polskich instytucji i firm w ostatnich trzech latach i informację, jaka część naszej powiększonej składki wróciła w tym czasie do Polski.

Taka analiza musiała przecież powstać. Rada Ministerialna ESA, na której będą podjęte decyzje o kolejnym trzyletnim budżecie agencji, odbędzie się już za chwilę – w listopadzie 2025 roku. Tam zapadną decyzje o wysokości wkładu poszczególnych państw i kierunkach działań agencji w najbliższej przyszłości. To stawia Polskę przed dylematem.

Dwa lata temu synpeliśmy pieniędzmi, ale czy branża skorzystała z okazji. Czy mamy odpowiednią liczbę gotowych do działania firm? Czy mamy mechanizmy wspierania tych, które chcą wejść do gry? I wreszcie – czy mamy jeszcze czas, by przed jesienią tego roku pokazać, że warto było wpłacić się do kosmicznej pierwszej ligi?

Pieniądze nie krążą wokół ludzi

W strategii kosmicznej z 2017 roku zapisano, że w ciągu kilkunastu miesięcy ma powstać Krajowy Program Kosmiczny (KPK) – czyli konkretny plan wdrażania celów strategii, z harmonogramem, budżetem, mierzalnymi wskaźnikami sukcesu i opisem projektów. Tymczasem minęło sześć lat, a tego planu wciąż nie ma.

Strategia jest wizją – ale to program stanowi realne narzędzie jej realizacji. Określi system wsparcia – granty, pożyczki, współfinansowanie, ale także doradztwo i opieka merytoryczna. To klucz do stworzenia ekosystemu sprzyjającego rozwojowi firm i instytucji kosmicznych w Polsce.

Bez programu nie wiemy, jakie technologie chcemy rozwijać u siebie, czy i jak łączyć programy cywilne z wojskowymi. Słowem, jak najlepiej wydać publiczne pieniądze. Wygląda na to, że kolejne cele są realizowane na zasadzie widzimisię i pospolitego ruszenia. Polak poleciał w kosmos niejako „bez trybu”.

W debacie publicznej obecność człowieka w kosmosie uchodzi za najwyższy poziom technologicznego wyrafinowania. Jeśli kraj wysła astronautę, to znaczy, że „dołączył do elity”. Astronauta staje się twarzą postępu, symbolem sukcesu cywilizacyjnego. I rzeczywiście – lot człowieka w kosmos działa na wyobraźnię. Nic innego nie przykuwa tak uwagi mediów i nie inspiruje młodych ludzi do marzeń o karierze inżyniera, naukowca czy wynalazcy.

Ale gdy odrzucimy emocje, a spojrzymy na sprawę jak inwestor – zaczynają się pytania. Bo wbrew intuicji największe pienią-

dze w branży kosmicznej dziś nie krążą wokół ludzi. Wręcz przeciwnie – są tam, gdzie astronautów wcale nie ma.

Wystarczy spojrzeć na aktualną mapę największych globalnych inwestycji:

– Globalne konstelacje satelitarne: Starlink (SpaceX), OneWeb (Eutelsat), Kuiper (Amazon) – wszystkie bezzałogowe, nastawione na przesyłanie danych, internet, komunikację. To są przedsięwzięcia warte dziesiątki miliardów dolarów.

– Obserwacja Ziemi: Dane satelitarne pozwalają dziś w czasie rzeczywistym śledzić zmiany klimatyczne, analizować wylesienia, kontrolować rolnictwo, planować infrastrukturę i prowadzić działania wojskowe. Zero astronautów, ogromne przychody.

– Nawigacja i synchronizacja czasu: Globalne systemy GNSS – takie jak GPS, Galileo, GLONASS, BeiDou – tworzą podstawę gospodarki cyfrowej, logistyki, bankowości, obronności. Nikt nie wysyła ludzi, by te satelity działały. Ale bez nich nie działałaby cała współczesna cywilizacja.

W tym krajobrazie loty załogowe są wyjątkiem. Bardziej symbolem siły i prestiżu niż kluczem do skarbcza. Bardziej polityką niż ekonomią. Można porównać je do pawiego ogona, który komunikuje: „stać mnie na ten kosztowny i zbyteczny wysiłek”. Sprawili go sobie najważniejsi gracze na scenie światowej – Amerykanie, Rosjanie, Chińczycy, dla których ma to wymiar strategiczny.

Polska na razie nie buduje kapsuł załogowych, nie produkuje habitatów, nie planuje własnej stacji orbitalnej. Nie mamy infrastruktury, która uzasadniałaby obecność Polaka na orbicie. Tym bardziej powinni-

Nasz astronauta nie wróci z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej wcześniej niż w poniedziałek, 14 lipca. Najbardziej prawdopodobną datą jest wtorek, 15 lipca

śmy uważnie ważyć każdą kolejną decyzję o misji załogowej i pytać nie tylko o to, czy to prestiżowe, ale również o to, czy to rentowne.

Zadbać o „efekt Apollo”

Jeśli po misji Sławosza chcemy więcej, lepiej, mądrzej – to właśnie od tego musimy zacząć. Od pytania: Co naprawdę chcemy w kosmosie zbadać i zbudować? Dlaczego? Jakimi środkami? I czy człowiek musi tam lecieć, byśmy to osiągnęli?

Z drugiej strony to już się wydarzyło: „mamy to!”. Mamy ogromny rozgłos medialny, entuzjazm społeczeństwa, a nawet nowe środki dla branży. Pytanie brzmi: Co z tym wszystkim zrobimy?

Lot człowieka w kosmos może działać jak dźwignia kulturowa i edukacyjna. Może wywołać efekt wow, który sprawi, że setki dzieciaków wybiorą politechnikę zamiast prawa albo IT. Może zmienić sposób, w jaki społeczeństwo postrzega naukę. Może sprawić, że politycy zaczną myśleć strategicznie o inwestycjach w nowe technologie.

Nazywa się to „efektem Apollo” – po misjach księżycowych lat 60. i 70. miliony młodych ludzi w USA i Europie zaczęły marzyć o inżynierii i fizyce. Skutkiem był boom technologiczny, który dał światu komputery, internet, medycynę precyzyjną, a także podstawy dzisiejszej gospodarki cyfrowej.

Jest jedno „ale”. Misją Sławosza dzieciaki rzeczywiście są zafascynowane i zadają pytania. W szkołach mają pojawić się zestawy edukacyjne inspirowane misją. W internecie relacje z ISS stały się wiralami. Ale jeśli za tym entuzjazmem nie pójdą konkretne działania – miejsca na studiach, granty ba-

dawcze, konkursy inżynierskie i oferty pracy w sektorze – to za pięć lat zostaną nam tylko ładne zdjęcia z orbity.

Może mamy na to jakiś plan, ale z niewiadomych powodów dotąd o nim nie usłyszeliśmy.

Trzy drogi, co dalej?

Przyszłość można rozrysować w trzech scenariuszach – każdy z nich realny, każdy z własnym rachunkiem zysków i strat.

Scenariusz nr 1. – opcja minimalna – misję Sławosza traktujemy jako jednorazowe wydarzenie PR-owe. Dziękujemy, klaszczemy, wręczamy order. Zmniejszamy składkę do ESA do poprzedniego poziomu, wracamy do działań niskiego ryzyka. Branża zostaje z tym, co udało się jej przez lata wypracować – ale bez nowego impulsu, bez inwestycji, bez kontynuacji. Ryzykujemy utratę wiarygodności na arenie międzynarodowej, zniechęcenie firm, które dziś zatrudniają, rozbudowują infrastrukturę i „clean roomy”, negocjują kontrakty z ESA i firmami zbrojeniowymi. Cofamy się do ligi okęgowej sektora kosmicznego, z którego tak długo próbowaliśmy się wydostać.

To scenariusz politycznie bezpieczny, ale strategicznie krótkowzroczny. Bo nic nie jest bardziej demotywujące niż gest, za którym nic nie poszło.

Scenariusz nr 2. Utrzymujemy wysoki poziom wpłat do ESA, ale nadal bez spójnego, krajowego planu rozwoju sektora. Pieniądze krążą w systemie, część wraca do Polski, część nie. Firmy składają projekty, jedne wygrywają, inne odpadają. Czasem coś się uda, czasem nie.

Skutek? Marnujemy efekt skali – nie wykorzystujemy momentu, by połączyć składkę, kadry, edukację i przemysł. Rośnie frustracja – bo mamy środki, ale brak priorytetów, koncentracji i koordynacji. To scenariusz dryfu – nie najgorszy, ale bez ambicji i bez efektu.

Scenariusz nr 3. Jedyny, który daje szansę na trwałą zmianę. Zakłada, że do jesieni 2025 roku – czyli przed kolejną Radą Ministerialną Europejskiej Agencji Kosmicznej – stworzymy nowy, ambitny, realistyczny Krajowy Program Kosmiczny, w którym zawarty jest plan absorpcji środków ESA – z listą gotowych projektów, firm i konsorcjów, które mogą je udźwignąć.

Powołujemy stały fundusz wsparcia dla firm aspirujących do wejścia na poziom ESA, zachęcamy duże firmy do wejścia w sektor kosmiczny – tak by przynajmniej część środków została spożytkowana przez krajowych czempionów przemysłowych, nawet jeśli wcześniej nie byli obecni w kosmosie.

Zacieśniamy współpracę z głównymi wykonawcami ESA (jak francuski Airbus, włoska Thales Alenia, niemiecki OHB), którzy – by spełnić warunki zwrotu – i tak będą musieli współpracować z polskimi podwykonawcami.

Rozbudzamy edukację i podaż kadr: masowe programy STEM w szkołach, stypendia, staże, kampanie społeczne.

Do tego (wreszcie!) ustalamy wskaźniki sukcesu – czyli mierzalne cele, do których zmierzamy (trochę późno, bo warto by było na przykład wiedzieć, co jest takim wskaźnikiem dla lotu Sławosza).

Na przykład decydujemy, że do 2028 roku 85 proc. składki do ESA ma wracać do Polski w postaci kontraktów. Po pięciu latach sprawdzimy, czy polskie firmy same zdobywają kontrakty, czy potrafią działać bez bocznych kółek.

Wysłanie Sławosza w kosmos było dowodem na to, że Polska może, jeśli bardzo chce. Że potrafimy przygotować misję z rozmachem, zrealizować ją perfekcyjnie, a potem zebrać uznanie całej Europy.

Ale bez jasno określonego celu gospodarczego czy przemysłowego, bez mechanizmów absorpcji technologii i bez planu kontynuacji ryzykujemy, że będzie to wydarzenie jednorazowe i będziemy co najwyżej po latach wspominać ten lot z nostalgią, tak jak dziś wspominał generała Mirosława Hermaszewskiego. ●

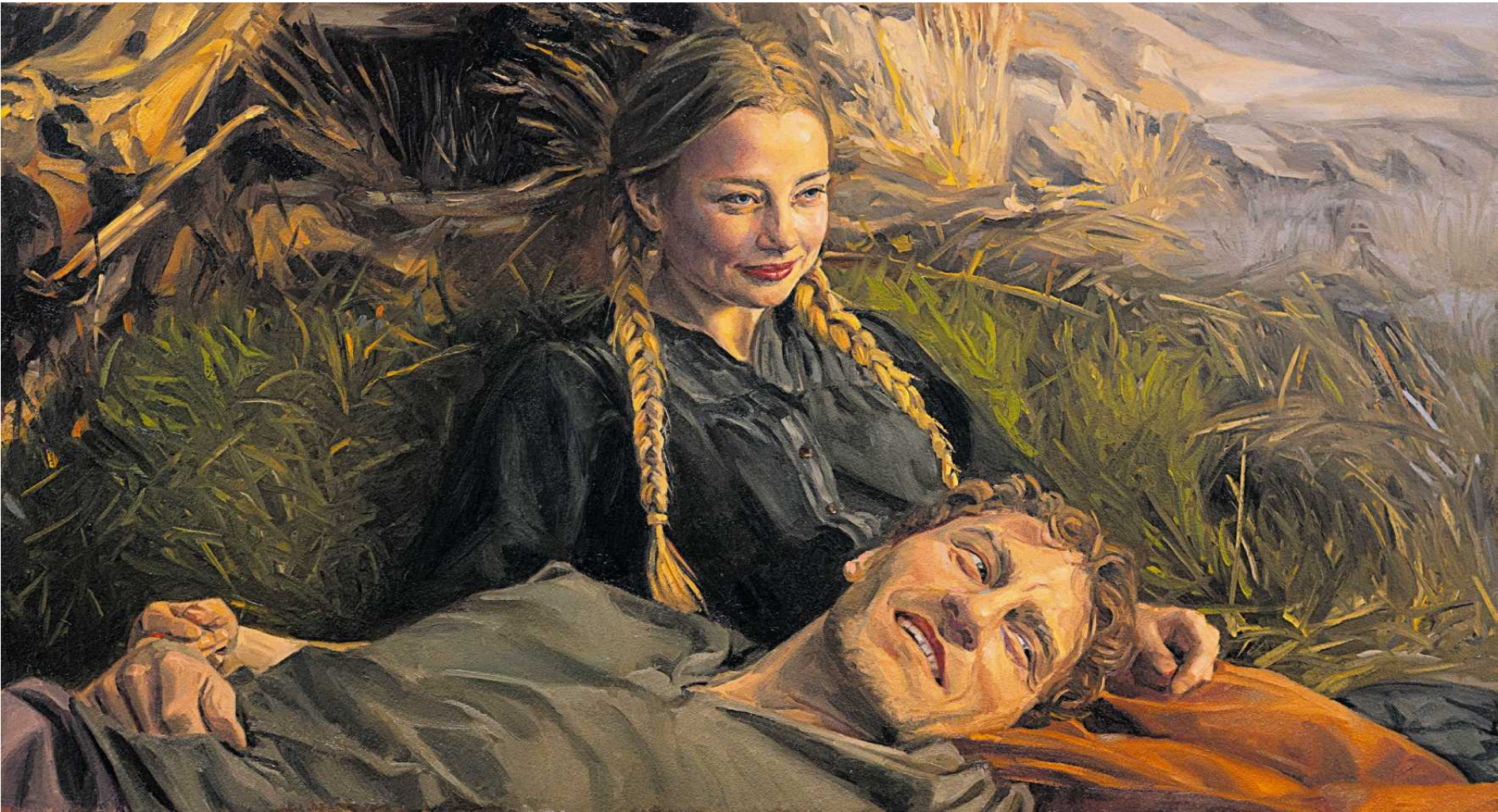
OBYCZAJE KULTURA SPORT

NAJPIERW
Jagna,
POTEM
Łęcka

– Po roli Jagny w „Chłopach”
wzięłam sobie do serca,
żeby w kolejnych filmach
wyglądać tak, jak wyglądałam
albo wręcz najbrzydziej
jak się da. Zmarszczki, pory,
pryszczki – mówi aktorka,
która gra Izabelę Łecką
w nowej filmowej „Lalce”.

Z KAMIŁĄ URZĘDOWSKĄ*
ROZMAWIA
MAJA STANISZEWSKA

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Przyjechałaś z lekcji jazdy konnej. To część przygotowań do roli Izabeli Łęckiej w filmowej ekranizacji „Lalki” autorstwa Macieja Kawalskiego?

– Tak, wcześniej tylko raz siedziałam na koniu na planie teledysku, więc tak naprawdę zaczynam od zera. Na początku bałam się siły i dzikości tak ogromnego zwierzęcia. Musiałam jednak mu zaufać i postarać się, żeby ono mi zaufało. W trakcie pierwszych ćwiczeń w siodle byłam bardzo ostrożna, ale zwierzęta trenowane do pracy na planie są naprawdę przyjazne, więc szybko się przyzwyczaiłam i teraz czuję się bezpiecznie.

Jeździsz normalnie czy w damskim siodle?

– I tak, i tak. To drugie, czyli siedzenie bokiem ze złączonymi nogami, jest zupełnie wbrew logice i wbrew fizyce nawet, ale tego wymagano w czasach Łęckiej od kobiet. Dla mnie to symbol ram, w jakie je wtłaczano.

I do tego jeszcze w gorsecie i w tych wszystkich falbanach, koronkach, rękawiczkach, kapeluszach...

– Intryguje mnie to, że te sukienki Łęckiej, z których narrator „Lalki” wyraźnie się śmieje, to są tak naprawdę jedyne rzeczy, które należą naprawdę do niej. W tamtych czasach kobiety miały de facto niewiele. Majątek należał do rodziny, ziemia w posagu przypadła mężowi. Te suknie i biżuteria to była jedyna własność, na którą kobiety mogły mieć jakikolwiek wpływ.

Niedawno odświeżyłam sobie „Pianistkę” Elfriede Jelinek. Jest tam scena, w której główna bohaterka zamyka się w swoim pokoju w mieszkaniu despotycznej matki i przymierza sukienki. Nigdy w nich nie wychodzi na miasto, są zbyt ładne, ale stoi przed lustrem i po prostu się wpatruje w jedyne rzeczy, które należą tylko do niej. W tym kontekście sukienki Łęckiej już nie wydają mi się takie głupie.

Łęcką niby wszyscy znamy, bo „Lalka” jest lekturą szkolną, ale dyskusje dotyczące tego, kim ona właściwie jest, trwają od czasu, gdy powieść ukazywała się w prasie w odcinkach pod koniec lat 80. XIX wieku. Mam wrażenie, że teraz młodzi zaczynają postrzegać ją inaczej, bardziej jako ofiarę systemu, w którym tkwi. Tak jak inaczej zaczynają widzieć Wokulskiego i nazywają go na przykład stalkerem.

– I bardzo dobrze. Pamiętam, jak w szkole mówiono, że Łęcka jest zimna i bez serca. W internecie czytałam niecenzuralne komentarze na jej temat. Na szczęście coraz częściej przebija się interpretacja, która podchodzi do Łęckiej z innej strony. Bo Wokulski przecież wkrada się w jej życie, stopniowo wykupuje cały jej świat. Otacza ją, a może nawet osacza. Być może jest szlachetny, ale może jej się zwyczajnie nie podoba? Miłość to nie jest przecież

kwestia kalkulacji czy decyzji. Takie myślenie o Łęckiej jest mi zdecydowanie bliższe.

Czytałaś ponownie „Lalkę” przed zdjęciami?

– Tak, i porwał mnie „Pamiętnik starego subiekta”. Rzecki to najciekawsza postać powieści, on już przeżył życie pełne przygód. Walczył za idee. Teraz, spełniony, przygląda się rzeczywistości. Jest zupełnie zwyczajny, a to go wyróżnia zwłaszcza w naszych czasach, kiedy każdy chce być wyjątkowy i chce się pokazać. Myślę, że niedługo będziemy do tej zwyczajności wracać.

A co z Wokulskim – granym przez Marcina Dorocińskiego – którego Rzecki tak podziwia?

– To człowiek czynu. Też podziwiam takich ludzi. W miejscu, z którego pochodzi, ceni się najbardziej to, co zdobyło się ciężką pracą.

Co cię najbardziej zaskoczyło podczas przygotowań do ekranizacji „Lalki”?

– Obsada. Przysięgałam, że jej nie wyjawię, ale to naprawdę grupa wspaniałych artystów z ogromnym dorobkiem. O Marku Kondracie już wiadomo oficjalnie, ale to nie koniec niespodzianek. Trochę mnie to oczywiście stresuje, że trzeba się zmierzyć z legendami i być dla nich partnerką. Ale to pozytywny stres, to rodzaj twórczej ekscytacji.

Były już dwie ekranowe Łęckie. Jest duża grupa widzów, którzy widzieli film Wojciecha Jerzego Hasa i serial Ryszarda Bera, pamiętają Beatę Tyszkiewicz i Małgorzatę Braunek, a nawet afere, jaka wybuchła, gdy ogłoszono obsadzenie tej ostatniej. A do tego Paweł Maślona dla Netflixa zrealizuje serialową „Lalkę”. Jak się z tym czujesz?

– Nie myślę o tym w ogóle. Już się mierzyłam z rolą, która była grana przez kogoś innego, i przeszłam ten etap początkowych porównań. Przy okazji „Chłopów” wielokrotnie byłam pytana, czy grając Jagnę, inspirowałam się Emilią Krakowską [z filmu i serialu Jana Rybkowskiego z 1972 roku]. Za każdym razem odpowiadałam, że nie, bo żyjemy tu i teraz. Oczywiście, podziwiam jej kunszt aktorski, ale razem z twórcami filmu chcieliśmy tę historię opowiedzieć poprzez siebie. Tak samo jest w przypadku „Lalki”.

Zresztą w takiej Anglii powieść tak znacząca dla kultury kraju jak „Lalka” miałyby pewnie ekranizacji kilkanaście.

Tak jest choćby z Jane Austen. Nowa „Duma i uprzedzenie”, „Emma” czy „Rozważna i romantyczna” są ekranizowane co 15-20 lat, bo rosną kolejne pokolenia widzów, są nowe odczytania i interpretacje. I właśnie trwają prace nad dwoma kolejnymi filmami.

• **Jako Jagna Paczesiówna w filmie „Chłopi” (2023), z Robertem Gulaczykiem, w roli Antka Boryny**

FOT. NEXT FILM

– Rozumiem, że w Polsce ludzie wiążą się emocjonalnie z filmami czy serialami z czasów, kiedy było ich niewiele, więc to, co było, oglądało się w kółko. I tak w ludziach zapisały się skojarzenia, także z ich własnym życiem. Niektórym widzom trudniej się od tego odbić, odbierają to personalnie.

Przynajmniej takie wrażenie odniosłam, rozmawiając z ludźmi przy okazji „Chłopów”, próbując zrozumieć, dlaczego to dla nich takie ważne, dlaczego cały czas próbują mnie sprawdzić, dowiedzieć się, co myślę. Może chcą wiedzieć, czy trzydziestolatki mają szacunek do starszych (*śmiech*). A może to dowód na to, jak ważne są dla nas ulubione filmy i historie oraz jaką siłę ma kino?

Masz taki ważny film?

– „Ewa chce spać” z Barbarą Kwiatkowską-Lass. Uwielbiam go, to mój numer jeden wśród polskich filmów.

„Cegła tańsza od kapoty – kup pan cegłę od sieroty”? Zaskoczyłaś mnie. Film Tadeusza Chmielewskiego miał premierę w 1957 roku.

– Tak! Zawsze, kiedy było mi źle albo kiedy wchodziłam w jakiś nowy życiowy etap, oglądałam go i zawsze wywoływał u mnie uśmiech. Kiedy ktoś mnie zawiedzie, ten film i rozbijająca naiwność jego bohaterki przypominają mi, że nie cały świat tak wygląda.

Kiedy obejrzałaś „Ewę” pierwszy raz?

– Chyba w gimnazjum, kiedy weszły pierwsze platformy, z których można było pobierać filmy nielegalnie – zastrzegam, że już tego nie robię (*śmiech*).

I zamiast „Matrixa” pobierałaś z torrentów polską klasykę?

– W pierwszej chwili oczarowała mnie sama odtwórczyni głównej roli. Włączyłam i... zakochałam się. I w niej, i w postaci, którą stworzyła na ekranie. I w filmie, tym bardziej że wcześniej zbyt wielu ich nie oglądałam.

To co robiłaś, jak byłaś dziewczynką?

– Pisałam opowiadania, najczęściej o ludziach z mojej wioski, i o różnych magicznych wydarzeniach. Nie wiedząc, że jest książka i film „Tajemniczy ogród”, napisałam opowiadanie o tym, jak uciekam z domu i wchodzę do tajemniczego ogrodu. Bawiłam się w ganianego czy w podchody. Jeździłam do dziadków pomagać w gospodarstwie. Tak spędzałam lato. A jesienią jechałam na zbieranie ziemniaków. Lubiałam opiekować się kurami.

Pamiętam z dzieciństwa, jak w niedzielę po mszy, na której byłam ministrantką, biegłyśmy na festyn we wsi, licząc na to, że uda nam się wygrać kurę. Bardzo chciałam mieć swoją. Dziś u babci w gospodarstwie zostały właśnie tylko kury. Niesamowite, że

człowiek się do nich przywiązuje i cierpi, kiedy je traci – babci wiele zabrała ubiegłoroczna powódź.

Może kiedyś sama będę mieć kury? Kupiłam działkę w lesie, bo tęsknię za naturą, ale myślę, że trudno by mi już teraz było wyjechać z Warszawy na dłuższy czas. Cała praca tutaj jest i wszyscy moi przyjaciele też przeprowadzili się do Warszawy.

Karłowice Wielkie nie były wielkie?

– Były, ale nie w sensie powierzchniowym. Dziś mieszka tam może z 500 osób. Część tych, z którymi się wychowywałam, wyjechała, na przykład moja najbliższa przyjaciółka, która przeprowadziła się do Niemiec.

Zresztą z naszej wsi wiele osób w latach 90. i na początku dwutysięcznych wyjeżdżało do pracy do Niemiec. Są całe pokolenia takich dzieciaków jak ja wychowanych bez jednego rodzica na stałe albo czasowo. Teraz mam czas i przestrzeń na to, żeby się dowiedzieć, co te wszystkie wydarzenia we mnie wywołały.

I czego się dowiedziałaś?

– Na przykład tego, jakie lęki wytwarzają się w relacjach z ludźmi, kiedy się boisz, że ktoś cię opuści, bo wychowałaś się bez ojca i masz jakąś lukę. Że pewne twoje zachowania mogą nie być tak naprawdę twoje, tylko są wyuczone. I jak to naprawić albo nauczyć się z tym żyć, wiedząc, że wewnętrzne dziecko, które te mechanizmy uruchamia, jest już bezpieczne. Akceptacja tego i wyciągnięcie wniosków dla siebie jest ważnym etapem dorastania.

Choć wciąż tak mam, że gdy mam sobie kupić buty – one są dla mnie symbolem, bo wcześniej rzadko mnie było stać, żeby je kupić tak po prostu, i zawsze się zastanawiałam, że za drogie, że nie będę w nich chodzić, że się zepsują – to mam kłopot. I muszę sobie przypominać: „Kama, ty nie musisz już tak myśleć”. Ale nie wiem, czy kiedykolwiek wyzwolę się z mechanizmów, których nauczyła mnie bieda.

Skąd wzięłaś pomysł na aktorstwo?

– To był przypadek.

Nie odgrywałaś historii, które pisałaś?

– Nie miałam takiej potrzeby. Za to zamykałam się w pokoju, puszczałam muzykę i tańczyłam. Uwielbiałam to. W Nysie, do której dojeżdżałam do gimnazjum, zapisałam się do grupy tanecznej. Kiedyś na warsztaty przyjechała aktorka Agnieszka Jaśkowska ze szkoły teatralnej w Bytomiu. Miała pięknie postawiony głos, była pewna siebie. Bardzo mi zaimponowała, bo byłam totalnie nieśmiała. Ale nie myślałam o aktorstwie do momentu, kiedy w liceum znajomy zapytał, co chcę robić w życiu. Nie wiedziałam, a on na to: „Zdawaj do szkoły teatralnej”. Pomyślałam: „Czemu nie?”. Znalazłam krakowskie Lart Studio, które pomaga w przygotowaniach do egzaminów.

Dopiero w Krakowie zaczęłam chodzić do teatru. Pierwszy spektakl to był „Paw królowej” według Doroty Masłowskiej; aktorzy mówili wprost do publiczności, a ja siedziałam zauroczona w pierwszym rzędzie. Przez rok chodziłam na wszystkie możliwe spektakle, kupowałam wejściówki za 10 złotych.

A jednak kiedy sama wychodziłam na scenę na zajęciach, nie mogłam z siebie słowa wydusić. Nie dostałam się do żadnej ze szkół, ale postanowiłam zostać na kolejny rok. Przeszłam długą drogę, by pokonać nieśmiałość, i po kolejnych egzaminach dostałam się do Wrocławia i do Bytomia.

Cały czas spotykałam ludzi, którzy mi wskazywali drogę. Szłam wspomagana doświadczeniami.

Czyli świat się tobą zaopiekował, trochę tak jak filmową Ewą. A z czego żyłaś?

– Jeszcze w liceum wyjeżdżałam do Holandii do pracy w chłodniach przygotowujących jedzenie do sklepów. Zarabiałam tylko część normalnej stawki, więc brałam



• Nowy film „Lalka” reżyseruje Maciej Kawalski. I obsadę dobrał sobie zacną: Kamila Urzędowska (Łęcka), Marcin Dorociński (Wokulski) i Marek Kondrat (Rzecki)

FOT. WERONIKA KOSIŃSKA/GIGANTFILMS

nocki, żeby to zniwelować. Pierwsza wypłata, 400 euro, to była dla mnie kupa pieniędzy. Pracowałam całe wakacje, raz nawet na święta pojechałam, odkładałam. Poza tym łapałam dorywcze prace, przez jakiś czas pomagała mi też mama.

Potem, już w szkole teatralnej we Wrocławiu, finansowo ratował nas, studentów, człowiek, który miał firmę prowadzącą gry miejskie. Jeździliśmy z nim po Wrocławiu, ale też po Polsce, przebieraliśmy się i odgrywaliśmy różne postaci, z którymi konfrontowali się gracze terenowi. Kiedyś w luksusowym hotelu podczas integracji pewnej firmy byłam niebieskim Power Rangerem. Niedawno dostałam wiadomość od chłopaka, który pracował w tej firmie i brał udział w grze: „niebieski Power Ranger zagra Łęcką” (*śmiech*).

Kwintesencja aktorstwa: raz Power Ranger, raz Łęcka.

– Teraz mam to szczęście, że nie muszę pracować dodatkowo. Ale były takie momenty, choćby po „Chłopach”, kiedy szukałam zajęć. Ludzie widzą czerwone dywany, piękne sukienki i myślą, że aktorzy mają mnóstwo pieniędzy, tymczasem większość żyje od pierwszego do pierwszego. Moi przyjaciele pracują w teatrach i mó-

wią, że trudno jest związać koniec z końcem.

W „Chłopach” byłaś dla mnie wciele niem słowiańskiej urody.

– Grając Jagnę, w ogóle nie myślałam o urodzie bohaterki. Dla mnie jej piękno polegało na tym, że potrafiła zauważyć małego żuka i się nim zachwycić. I być sobą. Mówiła, że nie chce żyć jak reszta kobiet, których mężowie piją i biją, a one z nimi chodzą do łóżka i udają, że nic się nie dzieje. Krytykowano ją za to z każdej strony.

Miała też jednak ciemną stronę; była kobietą, przez którą inna kobieta cierpiała. I to było dla mnie trudne.

A o swojej urodzie myślisz?

– Nie. Ludzie czasem mówią, że jestem ładna, ale ja sobie tego nie wybrałam ani nie wypracowałam. Nie mam na to wpływu, tak jak nie mam wpływu na to, że mam 173 centymetry wzrostu.

Denerwowało mnie wręcz, gdy po „Chłopach” ludzie pisali: „Jaka piękna Jagna”. Jakbym nie była człowiekiem, ale postacją. W jednym z serwisów internetowych widziałam też głosowanie dla czytelników „Czy Kamila Urzędowska jest najładniejszą aktorką?”. Pomyślałam, że zrobię

na Instagramie ranking na najładniejszego dziennikarza. Ciekawe, jak by na to zareagowali.

W pracy to przeszkadza?

– Nie, tym bardziej że mam bardzo plastyczną twarz. Ale wzięłam sobie do serca, żeby w kolejnych filmach wyglądać tak, jak wyglądałam albo wręcz najbrzydziej, jak się da. Mieć zmarszczki, pory, pryszcze, po prostu zwyczajne niedoskonałości, które każdy z nas ma. I bardzo lubię się zmieniać.

Czyli kiedy w filmie „Przepiękne!” ścinałaś włosy na jeża, robiłaś to z satysfakcją?

– To było stresujące, bo kręciliśmy w jednym ujęciu i nie było szans na poprawkę. Ale całe życie chciałam ściąć włosy na zero. Marzyłam, żeby czuć tę wolność. Gdy popatrzyłam w lustrze na siebie bez włosów, miałam wrażenie, jakbym patrzyła na siebie pierwszy raz. Jakbym zrzuciła jakiś rytualny ciężar.

Mam wrażenie, że dzisiaj kwestie wyglądu są bardzo skomplikowanie, popularna jest medycyna estetyczna, bardziej dostępne operacje plastyczne. Oczywiście, jeśli ludzie tego chcą, to ich święte prawo, żeby z tego korzystać, trzeba jednak zadać pytanie, skąd w nich ta potrzeba.

Moja mama mówiła: „Jesteś śliczna, kocham cię, ale musisz się uczyć, musisz być mądra, a ze wszystkim sobie poradzisz”. I dla mnie jest to proste.

Wchodzisz na plan „Lalki” po bardzo intensywnym czasie – w tym roku miały już premierę dwa seriale i dwa filmy z twoim udziałem, a jesienią będą jeszcze „Ministranci”, w których grasz matkę jedenastolatka.

– To była trudna rola. Moja bohaterka w „Ministrantach” urodziła dziecko, będąc nastolatką, nikt jej nie pomógł. Już samo macierzyństwo jest dla mnie czynem bohaterskim, a ona mierzy się jeszcze z depresją i samotnością. Wchodzenie w taki mrok było pouczające. Do tego grałam z 14-letnim Tobiaszem i to był niesamowity proces odzierający z wyuczonych schematów, z aktorskich sztuczek, którymi się obrasta. Cieszę się z tej roli, bo nie wiadomo, co będzie po „Lalce”.

Dlaczego?

– „Ministranci” to kino bardziej autorskie, festiwalowe. A po tak dużej roli jak „Lalka” ta droga może zostać przede mną zamknięta. Choć mam nadzieję, że nie wyłączę w szufladzie. Po „Chłopach” udało się tego uniknąć.

W „Ministrantach” gra też Tomasz Schuchardt, który – jak się okazało – będzie Wokulskim w drugiej, serialowej „Lalce”.

– Strasznie się z Tomkiem ubawiliśmy podczas naszego ostatniego spotkania, bo zastanawialiśmy się, co by było, gdyby ktoś zrobił nam wspólne zdjęcia. ●

*Kamila Urzędowska

• (ur. 1994 r. w Nysie) – aktorka, absolwentka Wydziału Aktorskiego wrocławskiej filii Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie. Pierwszą dużą rolę zagrała w serialu „Żmijowisko” (2019), wystąpiła także w serialach „Morderczynie”, „Kiedy ślub?”, „Przesmyk” i „Wzgórze psów”.

• Przełomem w jej karierze była rola Jagny w animowanych filmowych „Chłopach” (2023) w reżyserii DK i Hugh Welchmanów, za którą dostała m.in. dwie nominacje do Orłów. W 2024 roku wybrana na jedną z „Shooting Stars”, najbardziej obiecujących młodych europejskich aktorek i aktorów. W tym roku mogliśmy ją oglądać w filmach „Przepiękne!” i „Wujek Foliarz”, jesienią zobaczymy ją w „Ministrantach”.

Ludzie widzą czerwone dywany, piękne sukienki i myślą, że aktorzy mają mnóstwo pieniędzy, tymczasem większość żyje od pierwszego do pierwszego

ZROBILI TAKIE COŚ W POLSCE

30 lat temu Jurek Owsiak wymyślił sobie, że przeniesie kawaleczek Ameryki do Polski.
Zza oceanu przywiózł ideę, która zmieniła się w Przystanek Woodstock.



Andrzej Kulasek

W roku 1994 Michael Lang, amerykański producent, promotor i menedżer umyślił sobie, że po ćwierćwieczu reaktywuje pewną muzyczną legendę. Chodzi o festiwal, który w 1969 roku odbył się w Bethel w stanie Nowy Jork, na farmie hodowcy bydła Maxa Yasgura. Woodstock się nazywał, choć miasteczko Woodstock dzieliło od farmy jakieś sto kilometrów (trochę niesprawiedliwe, prawda?).

Traf chciał, że na ten odrestaurowany festiwal wybrał się niejaki Jerzy Owsiak, by kręcić o wydarzeniu film dokumentalny. Owsiak był fanem Woodstocku, trzyplatowego albumu z tej pierwszej, legendarnej edycji słuchał na okrągło. Kiedy padł pomysł, żeby wyjechać do Stanów i zrobić reportaż, zapalił się momentalnie. Było mu łatwiej załatwić wszystkie formalności, bo od 1993 r. grała już Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, ale i tak trzeba było się kombinować, a by kupić bilety, Owsiak spieniężył swojego forda sierrę. Wygląda na to, że na festiwalu mu się spodobało, bo w drodze powrotnej do Polski, jeszcze w samolocie rzucił do ekipy: „a zrobmy takie coś w Polsce”. Odpowiedziały mu głosy wyrażające co najmniej powątpiewanie, a na pewno podważające stan władz umysłowych

• **25. spotkanie w Kostrzynie nad Odrą. drugi raz pod nową nazwą Pol'and'Rock Festival (2.08. 2019). Według organizatorów wzięło w nim udział 750 tys. ludzi**
FOT. WŁADYSŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL
interlokutora. Tymczasem już rok później twórca WOŚP w magazynie „Burm” w 3 Programie PR ogłosił ideę „Przystanku Woodstock”. Dlaczego Woodstock? – wiadomo. A przystanek wziął się z nie mniej legendarnego niż tamten festiwal przedsięwzięcia rozrywkowego, czyli serialu „Przystanek Alaska”. Bo był ciepły, przyjazny, tkliwy, wesoły. I bardzo, bardzo pozytywny. 15 lipca w 1995 r. do Czymanowa koło Wejherowa zjechało 30 tysięcy ludzi i kilkudziesięciu artystów, m.in. Myslovitz, IRA, Hurt, Urszula, czy Nocna Zmia-

na Bluesa. I niezrównany Pan Witek, gość z Atlantydy. Wybór miejsca nie był przypadkowy, tam odbyły się wcześniej dwie edycje festiwalu Energia Sztuki. Także darmowego. Bo choć Przystanek Woodstock zmienił miejscówki: Szczecin–Dąbie, Żary, Kostrzyn nad Odrą, Lotnisko Makowice-Ploty i Lotnisko Broczyno-Czaplinek, a nawet nazwę – Pol'and'Rock Festival (od 2018 roku), ze względów prawnych, zastąpił oryginalne określenie, to wciąż pozostał świętem przyjaźni i muzyki, którą festiwalowicze mogą rozkoszować się za darmo. W tym roku festiwal odbędzie się już po raz 31. (od 31 lipca do 1 sierpnia na Lotnisko Broczyno-Czaplinek). A jak tam drzewiej bywało? Zapraszamy na sprint przez 30-lecie Woodstocku – może znajdziecie na zdjęciach także siebie? ●

► **30. Festival Pol'and'Rock (3.08.2024)**
Lotnisko Czaplinek - Broczyno, zdjęcie zrobione z drona. Pierwszego dnia gościem wydarzenia była minister edukacji Barbara Nowacka

FOT. CEZARY ASZKIE-
ŁOWICZ / AGENCJA
WYBORCZA.PL

▼ **29. Festival Pol'and'Rock (3.08.2023).** Lotnisko Czaplinek - Broczyno. Przed koncertem Lady Pank przeszła burza, a tuż po nim nad Dużą Sceną pojawiła się tęcza

FOT. CEZARY ASZKIE-
ŁOWICZ / AGENCJA
WYBORCZA.PL



► **16. Przystanek Woodstock (1.08.2010)**
Kostrzyn nad Odrą. Tańce w błocie po deszczu (a czasem i bez deszczu) Uświęcona wieloletnią tradycją ulubiona zabawa festiwalowych gości

FOT. SEBASTIAN
RZEPIEL / AGENCJA
WYBORCZA.PL



► **12. Przystanek Woodstock (27.07.2006).** Kostrzyn nad Odrą. Adam Wajrak zachęca do wsparcia akcji ratowania Doliny Rospudy

FOT. MARCIN OLEJ-
NICZAK / AGENCJA
WYBORCZA.PL



◄ **19. Przystanek Woodstock (2.08.2013)**
Kostrzyn nad Odrą. Namiot Akademii Sztuk Pięknych. Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim

FOT. DANIEL ADAMSKI
/ AGENCJA WYBOR-
CZA.PL



1 RP



► **24. Festival Pol'and'Rock (4.08.2018).** Kostrzyn nad Odrą. Jerzy Owsiak robi sobie zdjęcia z rodzinami, które licznie przyjechały tu z dziećmi, żeby pokazać, że Festival to miejsce dla wszystkich przyjazne i bezpieczne.

FOT. ALBERT ZAWADA
/ AGENCJA WYBORCZA.PL



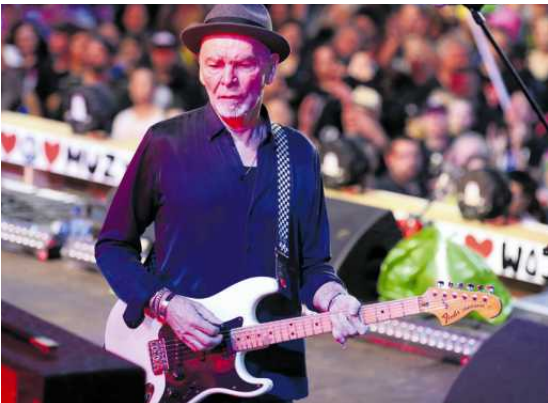
► **4. Przystanek Woodstock (2.08.1998)** Żary. Hasło imprezy: „Stop narkotykom i przemocy”. Zdjęcie pochodzi z albumu „Fotografie, które nie zmieniły świata”

FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL



▼ **13. Przystanek Woodstock (2.08.2007)** Kostrzyn nad Odrą. Zakonnica z Przystanku Jezus – katolickiej akcji ewangelizacyjnej skierowanej do uczestników festiwalu.

FOT. AGNIESZKA KOSIEC / AGENCJA WYBORCZA.PL



◄ **28. Festival Pol'and'Rock (5.08.2022)** Lotnisko Czaplinek-Broczyno. Koncert Wojciecha Waglewskiego i zespołu Voo Voo

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

▲ **14. Przystanek Woodstock (31.07.2008)** Kostrzyn nad Odrą. Oblucje w miasteczku namiotowym. Mieszkało tu i bawiło się ok. 300 tys. ludzi

FOT. PRZEMEK JENDROSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

▼ **30. Festival Pol'and'Rock (3.08.2024)** Lotnisko Czaplinek-Broczyno. W festiwalowym pałacu ślubów pobrało się 11 par

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Z PISARZEM **WOJCIECHEM CHMIELARZEM**
ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

Myslałam, że to ja się spóźnię. Zaczęłam się w pana „Rytuale”. Pan też się zaczął?

– Autobus stał w korku. Swoich opublikowanych książek raczej nie czytam.

Autobus? Autor, który sprzedał ponad milion egzemplarzy swoich książek, podróżuje komunikacją miejską zamiast wypasioną furą?

– Nie jeżdżę wypasioną furą. Mam kilkuletnią skodę octavię, co prawda wypasioną, ale używaną. Sęk w tym, że w mieście trudno o wypasione miejsce do parkowania. Poza tym wolę ograniczać swój ślad węglowy. Komunikacją miejską jeżdżę dlatego, że jest dobrym narzędziem poznawania miasta.

Pan przecież od dawna mieszka w Warszawie.

– Ponad 20 lat! Miasto znam, to prawda, ale zawsze można zobaczyć coś nowego, spotkać kogoś nowego, porozmawiać, zerknąć, co się na mieście dzieje. Odruchowo czytam ulotki na słupie ogłoszeniowym, skanuję wzrokiem. Nie przyda mi się to w pracy na 95 procent. Ale gdy się pisze kryminały, trzeba trzymać rękę na pulsie.

Można się utrzymać z pisania książek, jeśli osiąga się wysokie nakłady?

– To skomplikowana kwestia. Wysokonakładowi pisarze są w dobrej sytuacji, ale niektórzy są zdania, że może być lepiej.

Mamy w pamięci sprawę Joanny Kuciel-Frydryszak, autorki „Chlopek”, która uznała, że nie zarobiła tyle, ile by mogła, a to jej zdaniem ze względu na niekorzystne dla niej zapisy w umowie z wydawnictwem Marginesy.

– Jestem w niezręcznej sytuacji, ponieważ oboje z Joanną mamy tego samego wydawcę, z którym ja – w przeciwieństwie do niej – mam dobre doświadczenia.

Nie zmienia to faktu, że rynek książki jest zły. Są wydawnictwa, które zawierają z autorami złodziejskie umowy, nie płacą i mają poczucie bezkarności.

A jak powinno być?

– Załóżmy, że książka sprzedaje się w 10 tysiącach egzemplarzy. Na tym poziomie wydawca rekompensuje sobie koszty jej wydania. Dla autora 20 procent od ceny sprzedaży tej puli egzemplarzy to korzystny zapis w umowie.

Powyżej 10 tysięcy, gdy sprzedaż wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie, wydawca ma już z tego czysty zysk, więc procent dla autora powinien być odpowiednio wyższy. Tym bardziej że wydawcy nie rozliczają się z autorem na podstawie ceny okładowej, tylko ceny sprzedaży, a więc kwoty, za którą sprzedają dystrybutorowi dany egzemplarz. A wiemy, że te ceny są często zaniżane poprzez różne rabaty, zniżki, nietransparentne działania.

A zatem, aby żyć z pisania książek, trzeba sprzedawać kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy rocznie.

Kiedy zaczęła się pańska koniunktura?

– W 2018 roku wyszły „Cienie” i „Żmijowisko”, które sprzedawało się w stu tysiącach egzemplarzy. To był przełom. Od tego czasu żyję z pisania książek. I żyję bardzo dobrze, żeby była jasność.

A wcześniej czym się pan zajmował?

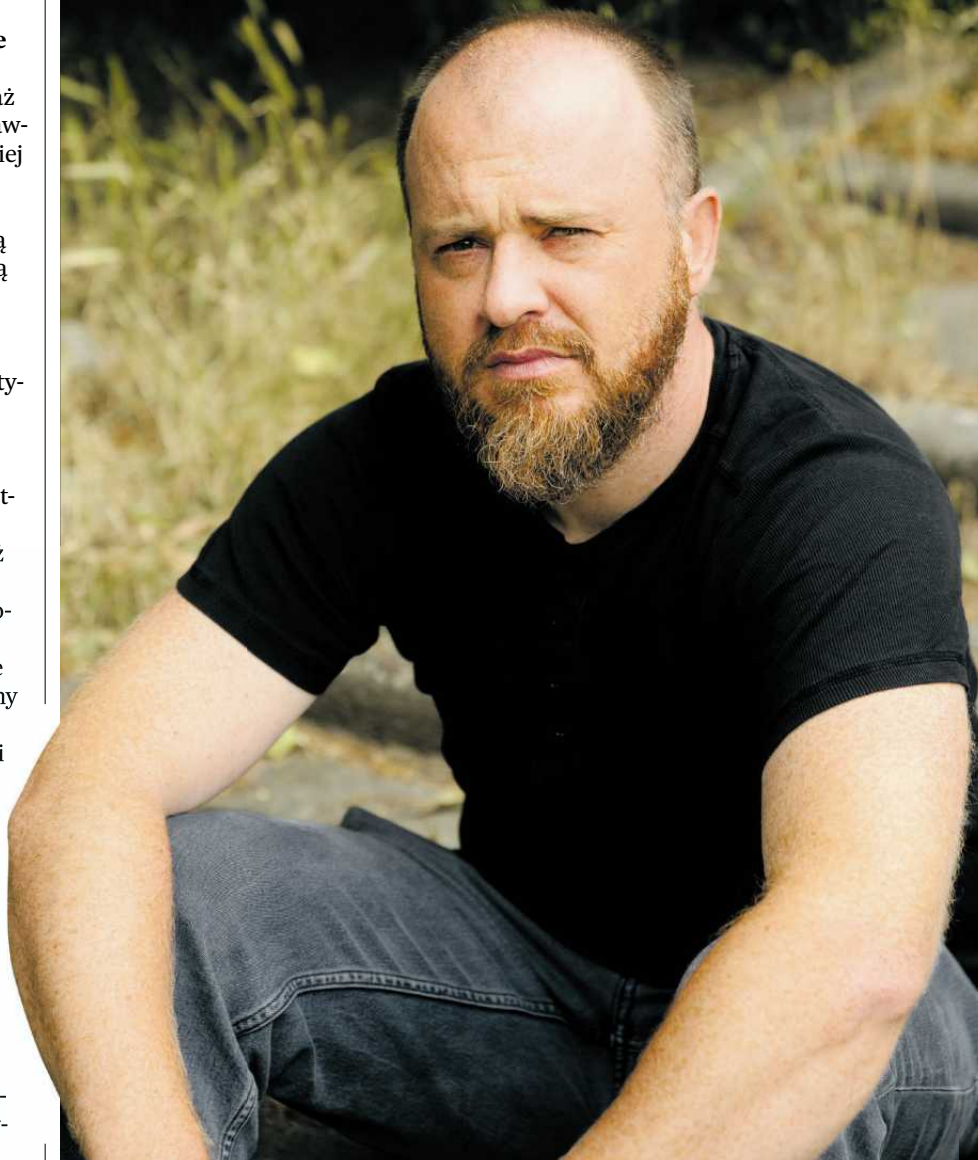
– Byłem analitykiem gospodarczym, zajmowałem się tak zwanym białym wywiadem i badaniem reputacji biznesowej różnych podmiotów i osób. Sprawdzaliśmy, z kim warto robić interesy i czy kontrahent jest potencjalnie uczciwy.

Kiedy więc pewne afery wychodziły na światło dzienne i trafiały do opinii publicznej, nie byłem zdziwiony. A czasem od-

KOBIETY NADAL CHCĄ

SILNYCH FACETÓW

– **Porażka Rafała Trzaskowskiego
jest jego gigantyczną szansą
– twierdzi autor bestsellerowych kryminalów**



Wojciech Chmielarz

• Rocznik 1984. Pochodzi z Gliwic, ale od lat mieszka w Warszawie. Dziennikarz i pisarz popularnych kryminałów m.in. powieściowych cykli o Bezimiennym i komisarzu Jakubie Mortce. Laureat Nagrody Wielkiego Kalibru (za powieść „Przejęcie”) i Wielkiego Kalibru Czytelników (za „Żmijowisko”), wielokrotnie nominowany do tej nagrody. W 2022 r. dostał nagrodę Grand Prix Festiwalu Kryminalna Warszawa za powieść „Dług honorowy”. Napisał ponad 20 książek. „Żmijowisko”, „Wyrwa” i „Prosta sprawa” zostały zekranizowane. Najnowsza powieść to „Rytuał”.

wrotnie – aż przecierałem oczy ze zdumienia. Na przykład wtedy, gdy pan Janusz Cieszyński, wiceminister zdrowia w rządzie PiS, mówił w pandemii, że oni sprawdzili tego handlarza bronią, od którego Polska kupiła respiratory za 22 miliony złotych. A potem zobaczyłem zdjęcia siedziby tej spółki. To była melina, więc się chwyciłem za głowę, bo to było jedno z podstawowych sprawdzeń, które my robiliśmy w naszej firmie – jeśli z kimś robisz duży interes, a on ma siedzibę w slumsie, to znaczy, że nie jest to wiarygodny podmiot.

Fascynuje pana opowiadanie historii?

– Z tego powodu jestem pisarzem.

Zawsze potrzebowałem coś wymyślać i opowiadać. Pierwszą książkę napisałem w wieku siedmiu lat. To był kryminał, taki z trupami i zaginionym testamentem. I z ilustracjami, które sam narysowałem.

Mimo to początki nie były łatwe. Zanim debiutowałem „Podpalaczem” w wieku 26 lat, napisałem „Blizny”. Oj, nie była to dobra książka, chociaż w trakcie pisania byłem przekonany, że jest bardzo głęboka. Rozesłałem ją do wielu wydawnictw, większość do dziś nie odpowiedziała. Może to jeszcze rozważają?

Kiedy się dowiedziałem, że pani Monika Sznajderman i Wydawnictwo Czarne chcą wydać „Podpalacza”, pierwszą książkę z serii o komisarzu Jakubie Mortce, aż podskoczyłem z radości. A potem znów był zimny prysznic, gdy od mojego redaktora Tomasza Zająca dostałem pokreślony maszynopis. Ile tam było uwag, poprawek, sugestii! Tomek nauczył mnie, jak mam pisać.

Dialogi też?

– Nie, dialogi od początku były moją mocną stroną. Od Tomka dowiedziałem się, w czym jestem dobry, w czym słaby, co potrafię zrobić, a czego muszę się nauczyć. Chyba byłem pojętnym uczniem, bo gdy pracowaliśmy później nad „Farmą lalek”, „Przejęciem” i „Wampirem”, już tak mocno nie ingerował. To pokazuje, jak ważny jest w procesie wydawniczym dobry redaktor.

Jak wygląda szukanie pomysłów na kryminał?

– Zaczyna się od czegoś drobnego. Gdzieś jestem, coś widzę, coś sobie wyobrażę i chcę to zbadać, zobaczyć, co się wydarzy i dokąd mnie ta historia zaprowadzi. W przypadku „Rytuału” pomysł powstał w momencie, gdy oglądałem tajemnicze kamienne wały w Kopańcu w Górach Izerskich. Nie wiadomo, skąd się wzięły, kto je zbudował. Robią ogromne wrażenie. W takim miejscu mogłaby się wydarzyć ciekawa historia kryminalna, mógłby się pojawić trup. Podchwyciłem ten trop.

Gdy już taki pomysł mam, przechodzę do pracy, którą nazwałbym rzemieślniczą. Siedzę nad kartką i rozważam różne warianty tej historii, szukam motywów. Zastanawiałem się, który z moich bohaterów pasowałby do tej historii. Od razu pomyślałem o Mortce, o którym dawno nie pisałem. I zaczęło się wymyślanie, skąd on się wziął na tych wałach, dlaczego tam trafił i czemu akurat w to miejsce, gdzie porzucono zwłoki. Jedno pytanie prowokuje następne.

Wiedziałem, że będzie potrzebował pomocy innego policjanta, bo na obcym terenie nie będzie mógł oficjalnie prowadzić śledztwa. Nie musiałem wymyślać nikogo nowego. W ubiegłym roku napisałem „Zbędnych”. Tam pojawiła się aspirantka Maria Szulej z komendy rejonowej policji w Kowarach. Swoją zawziętością w prowadzeniu śledztwa bardzo przypomina Mortkę. Okazało się, że świetnie do siebie pasują.

Myslałam, że komisarz Mortka pojawia się po dłuższym czasie w pana głowie i dręczy: „Hej, napisz coś znów o mnie. Dawno mnie nie było”.

– To też jest to. Co pewien czas mam ochotę napisać o tym bohaterze. Chcę zobaczyć, co się u niego dzieje, jak on się zmie-

nił, co się wydarzyło w jego życiu. Walę go czasem kijem po plecach, żeby upadał, rzucam mu kłody pod nogi, ale go lubię.

Mortka wydaje się taki niezniszczalny. – Takie jest założenie. Są bohaterowie kryminałów, o których można pisać latami. I Mortka taki jest. Tak długo, jak będę miał dobre pomysły na kryminały z jego udziałem, będę o nim pisał. Bohaterowie innych moich książek, na przykład Dawid Wolski, nie mają takiego potencjału – maksymalnie trzy książki udało się wyciągnąć z tej postaci.

Mówi panu coś takie określenie „kryzys męskości”? – Nie ma kryzysu męskości, jest co najwyżej kryzys mężczyzny.

Na czym polega różnica? – Jestem przekonany, że kobiety nadal chcą mężczyzn silnych, sprawnych, zaradnych, którzy przytrzymają im drzwi, odwieżą do domu, подарują kwiaty, naprawią samochód. Tradycyjny model męskości się nie wyczerpał. Problem polega na tym, że mężczyznom wydaje się, że tacy są, a tak nie jest, bo zostaliśmy wychowani na leniuszków.

Rozmawiałem kiedyś z pewną czytelniczką. Powiedziała, że nie chce mieć dzieci, bo już jedno ma w domu i nie nadąża. Miała na myśli swojego męża.

Wstyd. – Lata temu pisałem felietony do miesięcznika „Claudia”. Z jednego tekstu jestem bardzo dumny: „Drogie panie, jeśli chcecie się doczekać wnuków, nauczcie swoich synów sprzątać”.

Fajnie by było, gdyby facet od czasu do czasu wyczyścił w domu kibel. To jest tak dużo? To jakoś uwłacza? Kobiety pragną silnych mężczyzn, ale chcą też, aby odciążyli je trochę w obowiązkach domowych. Odważę się powiedzieć, że wiele kobiet nawet nie oczekuje podziału obowiązków na pół. Wystarczy im trzydzieści procent.

Pan jest partnerem dla swojej żony? – Łatwo się chwalić, więc lepiej byłoby ją zapytać. Na pewno mógłbym robić w domu więcej, ale nie unikam obowiązków domowych.

Mortka też ulega kryzysowi mężczyzny? – Tak bym wprost tego nie nazwał, tym bardziej że on ewoluuje w kolejnych częściach serii. Ale był w dolku przez dłuższy czas.

Mojego „Podpalacza” otwiera cytat ze wspaniałej powieści Dennisa Lehane’a „Rzeka tajemnic”: „Właściwie to jestem okropnie nudny. Odebrać mi mój zawód i mnie nie ma”. To mówi jeden z bohaterów tej powieści, który jest policjantem. Ja też takiego chciałem i stąd wziął się Mortka. Jeśli zabierzemy mu to, że jest policjantem, to właściwie nie wiemy, co możemy o nim powiedzieć.

I on sam też nie wie. – Dużo osób rozpoznawało siebie w tej postaci, bo to był facet, który czuł, że przegrywa swoje życie i nie rozumie dlaczego.

Jego największa klęska życiowa polegała na tym, że był dobry w zawodzie, którego nie chciał wykonywać. Widział siebie gdzieś wyżej. A w tych ostatnich dwóch książkach – w „Długiej nocy” i „Rytuale” – on chyba zaakceptował to, kim jest. I poczuł swoją wartość. Co też może pokazuje, jak się nam Polska zmieniła przez te wszystkie lata.

„Podpalacza” pisałem w 2010 roku, w okresie dużo większego zamętu gospodarczego niż teraz. Piętnaście lat temu Polska była krajem rosnącego bezrobocia, rok później doszliśmy do 12,5 procent. To były dwa miliony bezrobotnych. Ludzie nie wiedzieli, co będzie dalej. I tę niepewność czuć w „Podpalaczu”. I nagle jesteśmy w 2025 roku, gdzie mówi się, że w Polsce właściwie nie ma bezrobocia.

Co nie oznacza, że nie istnieją problemy społeczne. – Pokazuję w „Rytuale” wykluczenie komunikacyjne, które sprawia, że gdy jednej z moich bohaterek psuje się samochód, nie ma jak dojechać do pracy i musi pokonać wiele kilometrów na piechotę. Mimo wszystko uważam, że teraz jesteśmy społeczeństwem dużo bardziej sytym niż wtedy. I tak samo Mortka – awansował w strukturach europejskich, nauczył się kilku języków, a wcześniej był facetem, który po pracy siedział na kanapie i się frustrował.

„Rytuał” jest dla mnie czymś więcej niż kryminałem. Daje niewesoły obraz polskiej wsi, gdzie jedyną rozrywką młodzieży jest przesiadywanie

Są bohaterowie, o których można pisać latami. I komisarz Mortka taki jest. Tak długo, jak będę miał dobre pomysły na kryminały z jego udziałem, będę o nim pisał

na przystanku autobusowym lub picie i palenie w towarzystwie handlarza metamfetaminą.

– To jest ta Polska zapomniana. Opisuję przestrzeń położoną pomiędzy Jelenią Górą a Świeradowem-Zdrojem, Kotlinę Jeleniogorską z jej miastami, miasteczkami i wsiami, które są niemal zupełnie wyludnione. Dwóch czytelników, którzy już znają „Rytuał”, mówiło mi, że część mieszkańców już zmarła, a część się zapila. Albo że zawsze były tam dwie drogi: iść do lasu, żeby pracować jako drwal albo żeby pić jabol. A na koniec pewnie się powiesić.

Tam faktycznie jedynym miejscem, gdzie można się spotkać wspólnie, jest przystanek autobusowy i sklep spożywczy.

Dlaczego pan tam jeździ? – Jestem tam często, bo moja żona jest z Kowar. To miasto i Kotlina Jeleniogorska rzeczywiście pojawiły się ostatnio w moich nowych książkach – w „Zbędnych” i „Rytuale”, a wcześniej w „Farmie lalek” i „Prostej sprawie”.

Kowary miały taki problem, że one strasznie oberwały w czasie transformacji. To było miasto przemysłowe z fabrykami filcu i dywanów, które zamknęło po upadku komunii.

Gdy tam zacząłem jeździć, panowała słynna – używając chyba określenia Łukasza Orbitowskiego – trójpółowka: lombard, monopolowy i lumpeks.

Teraz to się zmieniło, miasto wygląda lepiej i jest całkiem spore jak na tamtejsze warunki – ma 10 tysięcy mieszkańców. Są szkoły, dom kultury, a niedługo Koleje Dołnośląskie odbudują stare połączenia kole-

jowe. Gdy rozmawiam tam z ludźmi, lepiej poznaję Polskę, niż siedząc stale w Warszawie. Sporo jeżdżę po kraju przy okazji spotkań autorskich, to się napatrzę i nasłucham.

Doświadczone przez historię, a do tego malownicze rejony kraju, jak Dolny Śląsk, to dobry materiał na miejsce akcji, w którym wydarza się zbrodnia? – Żyzna gleba dla różnych mrocznych opowieści. Ostatnio ciągnie mnie na Podkarpacie. Wyczuwam potencjał literacki. To jest ta część Polski, której wcześniej nie znałem. Tam też jest tajemnicza energia, czają się różne opowieści, legendy, strachy. Ponieważ tam jeżdżę, wcale mnie nie zaskoczyło wysokie poparcie dla skrajnej

Są bohaterowie, o których można pisać latami. I komisarz Mortka taki jest. Tak długo, jak będę miał dobre pomysły na kryminały z jego udziałem, będę o nim pisał

prawicy, a zwłaszcza dla Grzegorza Brauna. Tam to widać na płotach.

Nawiasem mówiąc, anegdota: niedawno w Sanoku było spotkanie autorskie ze mną. Przechodziłem ulicą, a tam taki widok – na słupie wiszą trzy plakaty: z panem Nawrockim, ze mną i panem Braunem.

Gratuluję. – Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie z tamtych stron tyle mówią o rzezi wołyńskiej. O co w tym chodzi? Oczywiście, wiedziałem, co się tam wydarzyło, wiem, ile osób zginęło, ale nie mogłem pojąć, dlaczego to wciąż nie daje spokoju mieszkańcom Podkarpacia. Byłem wychowywany na opowieściach mojej babci spod Ciechanowa, która się bała Niemców. Dlaczego tam tak bardzo boją się Ukraińców?

Zrozumiałem, gdy wybrałem się na cmentarz i w Cieszanowie zobaczyłem pomnik ofiar II wojny światowej. Garść nazwisk osób zabitych przez Niemców, trochę więcej przez Rosjan i setki zabitych przez Ukraińców.

W czasie kampanii wyborczej wyraził pan na Facebooku jednoznaczne poparcie dla Rafała Trzaskowskiego, pisząc, że jest to w stu procentach pana kandydat. Rozwinęła się dyskusja pod tym wpisem, a to było dwa tygodnie przed premierą pana nowej książki. Nie obawia się pan utraty części czytelników?

– Oczywiście, że się obawiam. Natomiast ja pod tym postem odbyłem parę spokojnych rozmów z osobami, które deklarowały, że będą głosować na Karola Nawrockiego. Doskonale rozumiem, dlaczego są ludzie, którzy głosują na niego. Inne rzeczy są ważniejsze dla nich niż dla mnie. Ja to rozumiem i akceptuję.

Ja Trzaskowskiego popierałem, bo jestem patriotą. Uwielbiam Polskę, uważam, że jest to bardzo fajny kraj do życia i powinniśmy się wszyscy starać, żeby ta Polska była jak najlepsza pod tym względem, silna i bezpieczna. Różnimy się tylko w poglądach, jak do tego doprowadzić.

Natomiast zdaję sobie sprawę z tego, że mam przywilej zwracania się do kilkudziesięciu tysięcy osób, które mnie obserwują w social mediach. W związku z tym wydaje mi się, że moim obowiązkiem jest od czasu do czasu zająć stanowisko w sprawach politycznych. Polityka wpływa na to, czy Polska będzie bezpiecznym krajem, czy nie.

Co pana zdaniem wydarzyło się w czasie wyborów? – Nie podejmuję się tłumaczyć ludziom świata. Mogę mówić tylko z mojej perspektywy. W pierwszej turze głosowałem na panią Magdalenę Biejat, bo głęboko wierzę, że droga wyznaczana z ideami lewicy, tak w kwestiach ekonomicznych, jak i oby-

jowych jest dobra dla Polski. Po drugiej turze było mi przykro, że prezydentem został polityk, którego uważałem za gorszego kandydata na prezydenta kraju. Co więcej, przez 15 lat prezydentem będzie przedstawiciel jednej opcji politycznej – to nie poprawia humoru.

Natomiast ewidentnie coś poszło nie tak. Jeśli mamy rząd, który składał pewne obietnice wyborcom, również takim jak ja, i przez prawie dwa lata ich nie dotrzymał, i prawie nic w tym kierunku nie zrobił, to dlaczego premier tego rządu się spodziewał, że ludzie będą głosować na kandydata związanego z koalicją rządzącą?

W styczniu przy okazji corocznego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy miałem okazję rozmawiać z jednym z posłów Koalicji Obywatelskiej. Zapytałem go, dlaczego nie uchwalili ustawy o związkach partnerskich. Odpowiedział, że nie warto było procedować, bo prezydent Duda i tak by nie podpisał. Tak na niego popatrzyłem, autentycznie nie rozumiejąc – przecież właśnie o to chodzi, żeby on nie podpisał. Bo dla mnie w tej chwili nie jest problemem Duda w pałacu, tylko Kosiniak-Kamysz w rządzie.

Jakiś czas temu wyskoczył z obroną krzyża, tak jakby ten krzyż był w Polsce zagrożony. – Głosujesz więc na Trzaskowskiego, a masz Kosiniaka-Kamysza, od którego zależy przyszłość koalicji. Oczywiście, zaciśnąłem zęby, poszedłem na wybory, ale mnóstwo osób miało tego dosyć i stwierdziło, że nie warto.

Kolejną rzeczą jest polityka informacyjna tego rządu. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego dopiero teraz rząd ma rzecznika. To przecież wciąż podstawowe narzędzie do komunikacji ze społeczeństwem, PiS to doskonale rozumiał. Ten rząd ma parę sukcesów, którymi mógłby się pochwalić – z „babciowym” i programem zapłodnienia in vitro. To powinno być na billboardach.

Musimy z tą porażką żyć, po prostu. – Uważam, że to, co się stało, jest gigantyczną szansą dla Rafała Trzaskowskiego. Wiem, że niektórzy wieszczą koniec jego kariery politycznej, bo dwukrotnie przegrał wybory prezydenckie. Ale szansa polega na tym, że teraz on w końcu może być sobą, być takim politykiem, jakim chce być, nie martwiąc się już o przyszłe wybory prezydenckie.

I życzę mu, żeby śmiało głosił swoją opowieść.

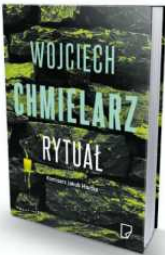
Może powinien pan być jego doradcą jako doświadczony specjalista od opowieści?

– Z Zygmuntem Miłoszewskim byliśmy dwa razy na Campusie Polska Trzaskowskiego i opowiadaliśmy o sile opowieści w polityce. Na części naszego spotkania był Rafał Trzaskowski. Ma do nas numer. Mógł zadzwonić.

Tymczasem tak się stało, że w Końskich urósł Nawrocki, bo jego opowieść brzmiała: „Oto bohater wchodzi do jaskini smoka”. A do tego dochodziła narracja o chłopaku z rodziny robotniczej, który wybił się na szczyty.

Trzaskowski nie miał takiej opowieści, ale być może teraz ma. To opowieść o uprzywilejowanym człowieku, który upadł na dno i musi się podnieść, żeby jeszcze raz próbować zdobyć pas mistrzowski. I to jest opowieść, z którą mnóstwo ludzi może się utożsamić. ●

Wojciech Chmielarz, „Rytuał”, wyd. Marginesy, Warszawa 2025



Błysk fotoradaru na powitanie w Szwajcarii nas nie zaskoczył, ale Podhale w Alpach już tak

**Radosław Leniarski
Dariusz Wołowski**

Nie będzie o rolach, bankach, se-rach i czekoladzie. Nie będzie o nar-tach i rowerach. Będzie ciut o Al-pach, ale głównie o zaskoczeniu.

Byliśmy zasko-czeni, siedząc na ławeczce nad De-gersheim, niepo-zornym miastecz-kiem 15 minut au-tem lub kolejką od Sankt Gallen.

Pod nami szwajcarskie Podha-le. Owszem, alejki z dna doliny do knajpy Volkensheim na grzbiecie góry à la Gubałówka są cudow-nie wypieszczone, a trawa wokół ścięta na krótko hektarami, gdzie-niegdzie kępy drzew jak wyrzeź-bionych przez ogrodnika-archi-tekta. Ale z góry widać kościelne wieże i domy zupełnie jak w pol-skich miastach. Może jest czyściej niż w Polsce, z pewnością puszcją, bo ludzi brak, może nieco więcej autobusów lokalnej komunika-cji dowozi mieszkańców na stację kolejową. I może mniej kolorów, pstrokaczny i pastelowy, bo mu-ry są głównie szare. Ale elewacje z laski, znak firmowy okolicy, nie-co się sypią. Jak w domu.

To było drugie ze szwajcar-skich zaskoczeń. A co było pierw-szym?

Na pewno nie błysk radaru po oczach na przejściu granicznym z Francją, kiedy nie zdążyliśmy wyhamować przed znakiem ogra-niczenia do 50 kilometrów na go-dzinę (damy sobie głowy uciąć, że samochód jechał 51-52 i w razie potrzeby dostarczymy dowód za-interesowanym).

Zgoda, byliśmy zaskoczeni, ale to było zaskoczenie technicz-ne, sytuacyjne, nie zaskoczenie ta-kie prawdziwe, nazwijmy to, sys-temowe. Przecież szwajcarski ko-deks drogowy słynie na całą Eu-rope, co roku przed sezonem wy-padów narciarskich i przed wa-kacjami popularne portale rozpi-sują się o drakońskich sankcjach, włącznie z zawieszeniem prawa jazdy i więzieniem, za przekro-czenie prędkości powyżej 30 ki-lometrów. A praktycznie każdy tekst o bezpieczeństwie na dro-gach czy o kształceniu kierowców wspomina rekordowe 290 tysięcy dolarów, jakie zapłacił kierowca ferrari, który w Szwajcarii rozpę-dził się do 85 kilometrów na go-dzinę w terenie zabudowanym.

Pierwszym zaskoczeniem było to, co wyczytaliśmy w materiałach prasowych: że za tą zwykłą, szarą normalnością, za codziennym po-rządkiem i kalwińską surowością kryje się królestwo innowacji.

W prowadzonym od 2007 ro-ku światowym rankingu Glo-bal Innovation Index przez więk-szość czasu na szczycie była... nie,



▼ Landwasser.
Słynny szwajcar-ski wiadukt
kolejowy.
65 m wysokości,
136 m długości.
Zbudowany w
latach 1901-02.
Dziennie
przejeżdża nim
60 pociągów

FOT. SHUTTERSTOCK

ISTNIEJĄ GÓRY BEZ TOI-TOIÓW

nie Ameryka z jej Doliną Krzemo-wą i NASA, nie Korea Południo-wa, nie Japonia. Tylko Szwajcaria. W najnowszym, zeszłorocznym zastawieniu 130 państw zajmuje pierwsze miejsce tak jak w 14 po-przednich.

GII ma krytyków, którzy pod-noszą, że niektóre wskaźni-ki uwzględniane w rankingu nie mają związku z innowacyjnością – weźmy pozycje takie, jak „ła-twość płacenia podatków” czy „ochrona inwestycji mniejszości etnicznych” – no ale w ostatecz-nym rozrachunku liczy się na-pływ inwestorów i rezydentów, ja-ki zapewnia dobra opinia.

No i trzeba czym, jeśli nie in-nowacyjnością, jest – by pozostać przy naszej specjalności, czyli sporcie – taki Puchar Ameryki?

Szwajcaria, kraj gór, zamknię-ty lądem ze wszystkich stron, wy-stawił jacht na najważniejsze re-gaty wyścigowe na świecie, zdo-minowane przez nacje morskie i żeglarskie, czyli Nowozelandczy-ków, Anglików oraz Amerykanów z Kalifornii.

Innowacyjne były też pieniądze, jakie stały za tym pomy-słem. Jacht „Alinghi” wymarzył sobie Ernesto Bertarelli, właściciel firmy biotechnologicznej Se-rono, która zyskała sławę i zaro-biła miliardy dzięki odkryciu na-turalnego hormonu stosowanego w leczeniu niepłodności u kobiet, dzięki metodzie leczenia stward-nienia rozsianego i dzięki paten-

towi na uzupełnianie niedoboru hormonu wzrostu.

Bertarelli wymyślił sobie, że po 150 latach odbierze Puchar Ame-ryki dotychczasowym domina-torem. I w 2003 roku w zatoce Hauraki w Auckland szwajcarski jacht pokonał obrońców tytułu, Nowozelandczyków z Royal New Zealand Yacht Squadron, w każ-dym z pięciu wyścigów. A czte-ry lata później obronił legendarne trofeum w Walencji.

To być może przyczynkowa hi-storia, ale przyznacie: ktoś rzu-cił się motyką na Słońce i je strą-cił. Na marginesie, później pieniądze marzyciela krezusa wspomogły projekty takie jak Human Bra-in Project, czyli próbę odtworze-nia mózgu ludzkiego, i Blue Brain Project, czyli plan stworzenia wir-tualnego mózgu poprzez symula-cję komputerową działania każ-dego neuronu.

Inny Szwajcar też się rzucił z mo-tyką, tylko że tym razem na Le-onarda da Vinci. Miał innowacyj-ny pomysł, gdzie można go trzy-mać, zarabiając przy tym niezłe pieniądze. Wymyślił wolny port.

Niby idea wolnego portu jako miejsca niepodlegającemu cłu to pomysł niemłody, jego źródła le-żą we Włoszech, w Genui i Livor-no. Ale to w Wolnym Porcie w Ge-newie jest zmagazynowana sztuka warta w sumie 100 miliardów do-larów. Jednym z jego udziałowców

i wielkim promotorem samego pomysłu jest Yves Bouvier – a naj-słynniejszym lokatorem jego por-tu był „Salvator Mundi”, ostatni obraz mistrza renesansu znajdujący się w prywatnych rękach.

Bouvier – zajmujący się mię-dzy innymi kupowaniem obra-zów dla kolekcjonerów-inwesto-rów – kupił obraz za ponad 70 mi-lionów dolarów, a następnie za-proponował Leonarda Dmitrijo-wi Rybolowlewowi za milionów prawie 130. Rosjanin, który kla-sycznym oligarchą związanym z Kremlen – dorobił się na pro-dukcji nawozów – wystawił „Zba-wiciela Świata” na aukcji w No-wym Jorku. Leonardo poszedł za 450 milionów – wkrótce zo-stanie wystawiony w saudyjskiej franczyzie Luwru – co nie prze-szkodziło Rybolowlewowi zacho-

wać się klasyczny oligarcha, czy-li wytoczyć Bouvierowi szereg procesów. Bo choć zarobił parę-set milionów, uznał, że wcześniej Szwajcar przesadził z 50-miliono-wą prowizją.

Ale najbardziej innowacyjne – może nie w kategoriach abso-lutnych, ale na pewno na tle pol-skich realiów – wydało nam się podejście Szwajcarów do gór. Konkretnie – do masowej turysty-ki alpejskiej.

Na wysokościach – konkret-nie w Arosie, uzdrowisku w Al-pach Retyckich, u stóp Parpaner Rothorn, prawie trzytysięcznika, słynącym z wyścigów konnych na śniegu i lodzie – spędziliśmy rap-tem dobę. Turystyczna klasyka jak podczas familijnego wypadu

OGŁOSZENIE

Kraj/34384260

**KIBICUJ POLKOM
I ZAKOCHAJ SIĘ
W SZWAJCARII**

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

SPONSOR

swi^zerland

w Tatry – kolejką na ichniejszy Kasprowy, Weisshorn, 2654 metrów nad poziomem morza i dalej kawałek górkim deptakiem do schroniska Sattel, kawałek wysokogórkim szlakiem na przełęcz Carmenna. Ale wrażenia były odwrotne niż w Tatrach, gdzie na popularnych, zwłaszcza łatwiejszych szlakach tworzą się kolejki jak w upalny dzień do lodziarni.

Bierzemy poprawkę na to, że szwajcarskie góry są duże, naprawdę duże, wielokrotnie większe niż nasze, więc nawet tłum turystów bez problemu rozprasza się po ścieżkach, sprawiając wrażenie, że ludzi jest niewiele. Na geologię i geografę wpływu nie mamy. Ale na organizację turystyki, estetykę małej architektury, podejście do zarabiania na przy-

Za zwykłą, szarą szwajcarską normalnością, za codziennym porządkiem i kalwińską surowością kryje się królestwo innowacji

rodzie i pejzażu już tak. W Arosie nie ma tandety i cepellii Kru-pówek, jest spójna myśl o rozsądnym gospodarowaniu urokami górskich szlaków.

Czyste góry i szlaki z jak najmniejszą ingerencją człowieka – o to starają się gospodarze Gryzonii. Przykład pierwszy z brzegu: toalety nie są jaskrawymi plastikowymi toi toiami, w których za higienę odpowiada chemiczny koktajl. Tu w krajobraz wtapiają się drewniane domki z serduszkami na drzwiach, w których turysta zostawia za sobą porządek z pomocą pachnących trocin.

Szwajcarzy chcą oczywiście zarabiać na turystach, ale wystrzegają się podejścia „dla dobrobytu płynącego z turystyki godzimy się na wszystko”. Ba, niekiedy wręcz z niedostępności i ekskluzywności czynią atut.

Jak burmistrz miejscowości Bergun, znajdującej się na trasie wpisanej na listę UNESCO linii kolejowej Albula. Słynny wiadukt Landwasser – 65 metrów wysokości, 136 metrów długości, monumentalnie prezentujący się w górkim pejzażu bohater klasycznych pocztówkowych zdjęć (moi towarzysze podróży robili mu zdjęcia nawet z dronów) – jest właśnie jej częścią. Więc świadom tego wszystkiego burmistrz nakazał pousuwać zdjęcia z profili społecznościowych, argumentując, że fotografujący działają na niekorzyść jego wiaduktu, miasteczka i całej okolicy, bo zdjęcia nie są w stanie oddać tutejszego piękna. Kto chce, musi przyjechać i zobaczyć widoki na własne oczy.

Chwyt marketingowy zadziałał. Wszyscy zapragnęli sprawdzić, co też burmistrz ukrywa przed światem.

W innowację Szwajcarzy potrafią przekuć nawet tragedię i katastrofę naturalną.

Raptem przed miesiącem Szwajcarią wstrząsnął dramat alpejskiej miejscowości w kantonie Valais. Blatten w 40 sekund zniknęło z powierzchni ziemi, gdy 3 miliony metrów sześciennych lodu i skał z topniejącego lodowca zwały się na wioskę istniejącą tam od ponad 600 lat. Na szczęście 300 mieszkańców ewakuowano jeszcze w maju, gdy tylko geolodzy zidentyfikowali ryzyko lawinowe. Zginęła jedna osoba – odmówiła opuszczenia domu.

A że wskutek postępującego ocieplenia klimatu jest pewne, że podobne katastrofy będą się powtarzać, rozgorzała poważna naukowo-społeczna debata z udziałem klimatologów, geologów, ekologów, socjologów i mnóstwa innych ekspertów, jak reagować. Niewykluczone, że jeśli ktoś wymyśli, jak jednocześnie ratować lodowce i lokalne społeczności, jak pogodzić bezpieczeństwo, przetrwanie lokalnych tradycji, społeczność z ich stylem życia, turystykę i ochronę krajobrazu, to właśnie Szwajcarzy.

Gdy 4 lipca, w dniu meczu Polska z Niemcami na Euro 2025, punktualny niemal – dosłownie – co do sekundy pociąg zwiózł nas z prawie-jak-Zakopane Deggshheim do Sankt Gallen, wciąż nie mogliśmy się uciec od polskich skojarzeń.

Na trawniku pod katedrą czekaliśmy na sześciokrotną mistrzynię świata w freestyle footballu Agnieszkę Mních „Aguśkę” i specjalistę tej samej dyscypliny Niemca Patricka Baurera. Szykowali dla nas pokaz swoich niezwykłych tricków z piłką.

W pewnej chwili pojawił się samotny piesek. Zalałwał się w trzech miejscach, kiedy napatoczył się patrol policyjny. Troje policjantów zaczęło rozglądać się za właścicielem. Wesoły piesek ruszył powoli ulicą w dół miasta, w ślad za nim policjant. Kilka minut później wrócił, gawędząc z właścicielką i wkrótce trawnik znów był sterylny.

To już ten etap, na którym nie potrzeba rysunków satyrycznych z psią kupą uhonorowaną flagą narodową ani nawet groźby mandatu. ●

Kibicuj Polkom i zakochaj się w Szwajcarii

W Mistrzostwach Europy Kobiet 2025 grają nasze Polki. Od 2 lipca 2025 roku można im kibicować w pięknych, atrakcyjnych turystycznie miejscowościach Szwajcarii. Na łamach „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej” przedstawiamy piłkarki, które zagrają w tych mistrzostwach oraz miejsca, gdzie po meczach będzie można spędzić niezapomniane chwile z przyjaciółmi i bliskimi.

Wyjazd do Szwajcarii zorganizowany przez Szwajcarską Organizację Turystyki MojaSzwajcaria.pl.

Z cyklu: Za pięć trzynasta

Rzym: Caravaggio i barok globalny

W Rzymie zatrzymujemy się na trzy dni, żeby w nim pobycć, ale też – żeby przypomnieć sobie jaką rangę mają dla nas miejscowe wystawy.

Jarosław Mikołajewski

Bezradny wobec rodzimych wydarzeń i postaci, które mnie przyprawiają o torsję, wobec doniesień o tajemnicach kuriozalne nocy u faceta, który myślałem, że od dawna już siedzi w więzieniu, lecę do Włoch, na coroczne wakacje. Samolotem do Rzymu, potem pociągiem do nadmorskiej Toskanii. Do Maremmy.

W Rzymie zatrzymujemy się, żeby zobaczyć dwie wspaniałe wystawy:

1. Caravaggio w Palazzo Barberini

Caravaggia widzieliśmy wielokrotnie w różnych konfiguracjach i wyborach, także na wielkich ekspozycjach rocznicowych w 2010 roku (dla przypomnienia: Caravaggio zmarł w 1610).

„Idźcie koniecznie”, mówi tym razem profesor Francesca Cappelletti, przyjaciółka, historyczka sztuki, dyrektorka Gallerii Borghese. Francesca jest też współkuratorką i współautorką katalogów do obu wystaw, ale jej ludzka i naukowa klasa wyklucza stronniczość.

Czego nowego spodziewać się możemy po Caravaggiu – nie mamy pojęcia i nie chcemy uprzedzać chwili, kiedy będziemy do Pałacu Barberinich z elipsoidalnymi schodami Borrominiego po jednej, i kancjastymi Berniniego po drugiej stronie. Aż jesteśmy, i czujemy – ale w kwestii odczuć przechodzę na liczbę pojedynczą, a skoro tak, to czuję, że jest to jednak wystawa wyjątkowa.

Po pierwsze – jest na niej tylko Caravaggio. Żadnych kontekstualizacji, odniesień do twórców z przeszłości czy przyszłości malarza. Żadnego rozrzedzania.

Zostaję sam na sam ze świętymi Janami w sylwetkach wzdargliwych chłopców, z Mariami o twarzach prostytutek i sąsiadów z dzielnicy. Efekt jest porażający – trwanie przez dwie godziny (dłużej nie dają rady) w prawdzie o imieniu Caravaggio. Nieuchronnej, pomnożonej, przesywającej bez półtwarzy, półusmiechów, ćwierćspojrzeń, uników poprzez mimikę i gesty.

Bo Caravaggio jest prawdą. O człowieku, o spotkaniu z czymś większym niż człowiek, i o wykluczeniu z tego, co go przerasta, a do czego mimo wszystko, choćby siła kultury, aspiruje. O brudzie świętości i o czystości tego co powszednie, nieubłoczone przez kontakt z Bogiem.



• „Ecce Homo”, (namalowany około 1608-1610 roku); jedna z atrakcji wystawy obrazów Caravaggia w Rzymie

FOT. PRADO MUSEUM

Innym wymiarem, który tę wystawę czyni wyjątkową, jest obecność dzieł znanych tylko z fotografii, zazdrośnie strzeżonych, dalekich, użyczonych prawem wyjątku na potrzeby wystawy w Palazzo Barberini.

I – rzecz absolutnie ponad inne rzeczy – pierwszy pokaz obrazu Caravaggia jako obrazu Caravaggia właśnie, zaledwie cztery lata po tym, jak pojawił się na rynku antykwarycznym pod szyldem kręgu Jusepe de Ribery. Ecce Homo.

Oto człowiek rozmiarów 111 na 86 centymetrów. Po lewej Pilat, który wpełznął się na pierwszy plan pomiędzy Jezusa a barierę balkonu. Pośrodku – główny bohater o przejmująco pogodzonej twarzy, ze śladami biczowania i krwią, która ścieka z obojczyka i włosów, spod korony cierniowej. W końcu wynurzający się spoza pleców Jezusa oprawca, młodzieniec z rozchylonymi ustami, który nie wiadomo czy okrywa Otocłowieka purpurową szatą, czy z niej go odziera.

2. Barocco Globale na Kwirynale

Druga wystawa, jako się rzekło, jest na Kwirynale, na dwóch piętrach tej niezwykle przestrzemi wystawienniczej, jaką tworzą dziś Stajnie (Scuderie). Jej idea jest pokazać Rzym papieski, który nie tylko inspiruje tym, co od dawna posiada i co już zdążył pokazać, lecz Rzym, który poprzez złożone i imponująco rozwinięte siatki dyplomatyczne i misyjne dociera do kultur Azji, Afryki, Ameryki Południowej, eksploruje i sprowadza, pokazuje miejscowym (choć przecież kosmopolitycznym) artystom i funkcjonariuszom.

Różne są świadectwa wymiany doświadczeń pomiędzy Rzymem europejskim a globalnym, od scen przedstawiających Han-

nibala przekraczającego Alpy na słoniu (obraz Nicolasa Pousin'a) poprzez epizody eksploatacji raf koralowych, przedstawienia malarskie, graficzne, albumowe, totemiczne, po tę, która dla mnie jest złotą nitką całej wystawy, czyli uważność na osobiste spotkania i relacje pomiędzy przedstawicielami różnych kultur, jak portrety ambasadora Persii Roberta Shirleya i jego azjatyckiej żony, malowane przez Antoon van Dyck, czy – i to mój ukochany fragment wystawy – przenikliwy, naznaczony szacunkiem i ciekawością portret ambasadora perskiego w oryginalnym stroju, namalowany przez wspaniałą Lavinie Fontane.

Trzeźwe mądrości ekspozycyjnej zawdzięczamy swobodę i poczucie ładu, z jakimi przechadzamy się wśród różnorodnych motywów przedstawionych malarsko, haftem, płasko-rzeźbą, filigranem...

Gdyby nie dzisiejsza podejrzliwość, która każe domyślać się wysokiej ceny jaką trzeba było płacić za wizerunek wzajemnej poprawności, oglądałbym wystawę w uspokojeniu idealnym obrazem wzajemnej ciekawości światów.

I żeby w nim się zanurzyć, chwytam się wzruszających opowieści jak tej o rzymskim arystokracie, który podczas afrykańskiej podróży pokochał i poślubił piękną Syryjkę, a kiedy umarła, przewiózł jej ciało do Miasta które jest światem, i kazał pochować w kościele Aracoeli, na Kapitolu.

Niech tak będzie. Jeżeli ten idealny obraz zobowiąże nasz świat do respektu, a zainspiruje do podziwu i miłości, to nie będę dociekał co pod nim się kryje.

Widziałem dwie wstrząsające piękne wystawy i ogłaszam: istnieje świat poza bagnem i Polską. ●



• Marcelina Miszewska w stroju czarodziejki Triss Merigold z powieści Andrzeja Sapkowskiego. - Postaci z „Wiedźmina” czy z „Gry o tron” bardzo pobudzą moją kreatywność – mówi

Cosplay:

SZTUKA WCIELANIA SIĘ

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Komentowali jej dekold, więc strój sprzedawała.

– Ludzie widzą swoją ulubioną postać i myślą, że mogą sobie na to pozwolić, nie zwracając uwagi na uczucia danej osoby. Nie odróżniają fikcji od rzeczywistości – opowiada cosplayerka.

Marta Danielewicz

Najlepsze stroje zawsze powstają dzień przed Pyrkonem – jest czwartkowe przedpołudnie. Do największego wydarzenia w świecie fantastyki pozostało kilkanaście godzin. Marcelina Miszewska, mieszkanka Trójmiasta, pakuje do walizki strój Rhaenys Velaryon z serialu HBO „Ród smoka” i pomaga wykończyć przebranie kolegi. Korzysta z 45-letniego lucznika – maszyny do szycia po dziadku. Następnego dnia rano ma pociąg do Poznania.

– Mam szczęście, że mój tegoroczny strój nie zajmuje dużo miejsca i ze spokojem mogę go zabrać. Tylko peruka jest osobno w siatce. Stylizowałam ją prawie pięć godzin, by wyglądała idealnie, więc nie może się zniszczyć – opowiada Marcelina.

Już nie może się doczekać, aż spotka przyjaciół, a przede wszystkim zoba-

czy stroje innych cosplayerów. – Przebiegam się wcześniej, by nie tracić na to czasu już na samym konwencie, potem tylko czeka mnie walk of shame, bo w stroju będę paradować przez miasto. Kiedyś jeszcze ludzie rzucali mi obraźliwe uwagi, że jestem pokemonem, albo mówili inne rzeczy, wytykali palcami, dziś nawet bezdomny na dworcu wie, że w Poznaniu jest Pyrkon, i wskazuje drogę – mówi.

MÓJ PIERWSZY COSPLAY

Pyrkon, czyli Fantastyczne Miejsce Spotkań, to największe wydarzenie tego typu w Polsce i jedno z większych w Europie. Już chyba tylko najstarsi wielbicieli tego konwentu pamiętają, jak Pyrkon odbywał się najpierw w osiedlowym klubie Słońce, potem w szkolnych salach, by przenieść się do największego w Poznaniu miejsca eventowego.

Poznańska impreza co roku w połowie czerwca przyciąga setki tysięcy fanów świata anime, fantastyki, gier, książek, seriali i mnóstwa uniwersów. Hale Między-

narodowych Targów Poznańskich i ulice miasta wypełniają barwnie przebrani ludzie. W większości to cosplayerzy. Osoby, które wcielają się w swoje ulubione postaci z gier, filmów, książek seriali lub te najbardziej efektowne.

Wśród nich jest Amanda Lewandowska-Dobosz, 29-letnia mieszkanka Poznania, która na co dzień uczy matematyki w jednej z tamtejszych szkół. – Czasami uczniowie pytają mnie na przerwach, czy mam jakiś nowy strój już przygotowany – śmieje się.

Teraz wcieli się w jedną ze swoich ulubionych postaci, czarodziejkę Yennefer – bohaterkę cyklu Andrzeja Sapkowskiego o wiedźminie. Strój wisi na specjalnym manekinie. To jedna z kilku sukienek Yennefer w garderobie Amandy, ale ta jest wyjątkowa, bo do jej przygotowania posłużył opis z książki. Amanda sama ją uszyła. To misterna robota. Widać haftowane zdobienia, tłoczenia na suknie, są także skórzane elementy na klatce piersiowej i kryształowe ozdoby, które dopełniają całości.

Amanda nie zapomniała także o dodatkach w postaci butów czy biżuterii. Poprawia fryzurę starannie układaną na peruce. Nad całością stylizacji pracowała ostatnie pół roku.

Przygoda 29-letniej nauczycielki z cosplayem zaczęła się jeszcze podczas studiów, w 2018 roku. Wtedy po raz pierwszy zdecydowała się przebrać na konwent. – Wcześniej śledziłam twórczość innych cosplayerów w internecie i widywałam

podczas Pyrkonu. Myślałam, że fajnie byłoby kiedyś spróbować, ale nie miałam umiejętności krawieckich. Wiedziałam, że stroje, które bym chciała odtworzyć, nie będą takie, jak powinny. A jestem perfekcjonistką – opowiada.

Wreszcie się zdecydowała. Zamówiła w internecie jasnowłosą perukę, korzystając z tutoriali z YouTube’a zrobiła na niej charakterystyczne warkoczki, kupiła w lumpeksie płaszcz i przerobiła go na strój Matki Smoków, czyli Daenerys Targaryen z „Gry o tron”.

– Moja mama jest krawcową, więc maszyna do szycia była w domu, a ona sama służyła dobrymi radami. Strój nie był imponujący, ale zostałam bardzo dobrze przyjęta przez innych cosplayerów. Zmotywowali mnie i kilka miesięcy później miałam już dużo lepszy strój Yennefer na kolejny październikowy konwent – opowiada.

STRÓJ ZA TYSIĄC ZŁOTYCH I SETKI GODZIN PRZY MASZYNIE

– Ten pierwszy strój Yennefer przygotowywałam przez całe wakacje, specjalnie na Poznań Game Arena [październikowe targi gier komputerowych], gdzie także pojawiają się cosplayerzy. To było wyzwanie, bo musiałam od zera uszyć skórzany gorset. Ręcznie. Byłam z niego bardzo zadowolona – mówi.

Na portalach społecznościowych Amandy można znaleźć wiele zdjęć, gdy wcie-



• **Amanda Lewandowska - Dobosz i strój na tegoroczny Pyrkon: suknia czarodziejki Yennefer, uszyta według opisu z książki Andrzeja Sapkowskiego**



• **Amanda ma w szafie kilka strojów Yennefer, bo w Pyrkonie i podobnych imprezach bierze udział od kilku lat. Yennefer to jedna z jej ulubionych postaci**

Na konwentach, by czuć się bezpiecznie, chodzę raczej zakryta, nie odsłaniam się. W sieci zdarzają się komentarze, czy mogę za pieniądze przesłać im jakieś erotyczne zdjęcia postaci, którą odtwarzałam. Nigdy się nie zgadzam

la się w różne postaci ze świata fantastyki, a nawet disneyowskich animacji. Samej tylko Daenerys Targaryen przygotowała przez lata pięć różnych strojów, w tym odtworzyła zimowy płaszcz Matki Smoków. Materiały zamawia przede wszystkim przez internet, czasem dodatki kupuje na platformie zakupowej Vinted i niektóre przerabia.

– Nawet z zasłon szyję suknie. Staram się zaglądać na rynek wtórny, bo ceny materiałów w hurtowniach są kosmiczne. Taki zakup na jeden strój to koszt ok. 400-500 złotych. Nie wspominając o dodatkach, niciach. Same lamówki do tegorocznego stroju Yennefer kosztowały mnie ok. 300 złotych – mówi.

Okazuje się, że jeden strój może kosztować grubo ponad tysiąc złotych. Do tego dochodzą zakupy peruk – kilkaset złotych, a także kosmetyków do zrobienia makijażu. I wreszcie czas poświęcony na przygotowanie, ale także uczenie się nowych technik szycia, poznawanie rozwiązań. Po te sięga głównie z zagranicznych stron. Robi to wszystko popołudniami i wieczorami, a w pasji wspiera ją mąż.

W oczekiwaniu na kolejne konwenty i spotkania z cosplayerami Amanda bierze udział w sesjach zdjęciowych. – To najcudowniejszy moment bycia cosplayerką. Podczas sesji w pełni wcielam się w daną postać, staram się oddać jej charakter. Wybieramy też lokalizacje, które przypominają miejsce danej akcji. Jeszcze ciekawiej jest, gdy ma się wokół siebie postaci z tego samego uniwersum, które występowały w danej scenie w książce, filmie czy grze.

OD ANIME PO FANTASTYKĘ

Marcelina Miszewska, 22-letnia studentka, do świata cosplayerów dołączyła sześć lat temu. Wraz z przyjaciółką były fankami anime i właśnie te postaci zaczęły wspólnie odtwarzać.

– Pierwszą inspiracją była Natsu Dragneel z anime „Fairy Tail”, którą zobaczyłam na Tik-Toku. Postaci anime były łatwiejsze do zrobienia. Na początku głównie kupowałam gotowe stroje, a potem weszłam w świat „Gry o tron”, „Wiedźmina” i przepadłam. Te postaci bardzo pobudzają moją kreatywność. Czasami odtwarzam je 1:1, a czasami dodaję coś od siebie. Każdy z nas ma różną wizję swoich ulubionych bohaterów i to jest fajne – opowiada.

Wciąż także kupuje kostiumy w internecie.

– Czasami coś przerobię. Mam jeden, który praktycznie zrobiłam od zera. Lubię je udoskonalać. Chodzę po Castoramie, szukam odpowiednich elementów, by zrobić np. stelaż do skrzydeł, by one się otwierały i zamykały. Teraz pracuję nad takim strojem, gdzie konieczne jest wydrukowanie tysięcy piór w drukarce 3D. Planuję z użyciem żywicy zrobić takie ogromne skrzydła. Na ten moment wydałam już 800 złotych. Planuję się w tym stroju pokazać na przyszłorocznym Pyrkonie. Mam w planie zrobić jeszcze jedną postać z „Rodu smoka” – opowiada.

Ale jej ulubionym strojem jest Triss Merigold z „Wiedźmina”.

Podobnie jak w przypadku Amandy, wiele jej strojów wykorzystywanych jest podczas sesji zdjęciowych. Dziś Marcelina wcieliła się w postaci z gier, anime, filmów i seriali fantastycznych. Pierwszą sesję zdjęciową miała przygotowaną w gronie innych cosplayerów, w specjalnie wynajętym studio u profesjonalnego fotografa. Teraz zdjęcia głównie robi jej znajoma fotografka, która służy jej opinią i radą. Dzięki rozbudowanym profilom społecznościowym Marcelina ma kontakt z cosplayerami z całego świata, z którymi wymienia się doświadczeniami.

DYSKRYMINACJA KOBIET W ŚRODOWISKU KONWENTOWYM

Ale cosplay to nie tylko fajna zabawa i nowe znajomości. To hobby, które ma także ciemne oblicze i wiąże się z dyskryminacją, a przede wszystkim z seksualizacją. Wie o tym dobrze Lena Sykut, 25-letnia nauczycielka pomagająca z Poznania, która sama zajmuje się cosplayem nie tylko hobby-stycznie, ale także naukowo.

– Dyskryminacja kobiet w środowisku konwentowym była tematem mojej pracy magisterskiej na studiach pedagogicznych – wyjaśnia.

Przeprowadziła wówczas wywiady w środowisku cosplayerów m.in. za pomocą anonimowych ankiet, pytając kobiety, czy doświadczyły przemocy, molestowania lub innych niepożądanych zjawisk.

– Niektóre odpowiedzi mnie przeraziły. Rozmawiałam z osobami dorosłymi, ale jedna z kobiet opowiedziała mi swoją historię sprzed kilku lat. Jako 14-latką brała udział w konwencie w przebraniu czarodziejki. Nie miała sukni do ziemi, ale też jej strój nie był przesadnie krótki. Jednak dużo starsi od niej mężczyźni podchodzili do niej, podnosili jej spódnicę i robili zdjęcia – opowiada Lena.

Wiele kobiet – o czym zaświadczały wyniki badań – usłyszało, że są za grube, by odgrywać jakąś postać. Lub za stare.

– Sama nie miałam wielu takich sytuacji. Czasem pojawiały się jakieś uwagi na temat dużego dekoltu albo gwizdy. Staram się do tego jednak nie dopuszczać, chociaż nie zawsze było łatwo – przyznaje.

Cosplayem zajmuje się od sześciu lat. W 2019 roku jako licealistka wraz z koleżanką zaczęły się przebierać za postaci z anime. Strojów szukały początkowo w lumpeksach, przerabiały stare ubrania. Na pierwszy konwent poszła w Poznaniu,



• Marcelina Miszewska w stroju Millie z animowanego serialu dla dorosłych „Helluva Boss”

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

ale w niepełnym stroju. Brakowało jej dodatków i peruki. Dopiero na studiach pojechała do Krakowa, w stroju jednej z postaci anime „My Hero Academia”. Wraz z innymi członkami konwentu stworzyła grupę i wzbudziła zainteresowanie widzów. – Wtedy poczułam, że to jest to, że chciałam to zrobić – opowiada.

Pomiędzy konwentami zaczęła brać udział w sesjach fotograficznych. Przyznaje, że przed obiektywem czuje się bardzo dobrze. – Lubię stroić miny, wcielać się w postać i ją odgrywać. W miesiącu mam średnio dwie sesje fotograficzne. To superzabawa – zapewnia.

Ale dobre samopoczucie psują jej komentarze internautów albo zachowania niektórych mężczyzn na konwentach. – Po trafieniu bez skrępowania patrzeć się bardzo długo w dekolt albo go komentować. Na konwentach, by czuć się bezpiecznie, chodzę raczej zakryta, nie odsłaniam się. W sieci zdarzają się komentarze, czy mogę za pieniądze przesłać im jakieś erotyczne zdjęcia postaci, którą odtwarzałam. Nigdy się nie zgadzam – opowiada.

STALKER I SPRAWA NA POLICJI

Amanda Lewandowska-Dobosz pamięta dobrze, co wypisywali jej mężczyźni, gdy na swój profil na Instagramie wrzuciła zdjęcia po sesji w stroju wiedźmińskiej czarodziejki Keiry Metz.

– Było mi bardzo przykro, bo strój mnie kosztował dużo pracy. Zrobiłam piękne zdobienia, hafty, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Zamiast tego mężczyźni komento-

wali mój duży dekolt. Sprzedałam ten strój, bo stwierdziłam, że się już w nim nie pokazę – opowiada.

Jednak prawdziwy koszmar spotkał ją wtedy, gdy podczas jednego z konwentów poznała swojego przyszłego fana. – Chłopak ubzdurał sobie, że jestem postacią, w którą się wcielałam. Wypisywał do mnie w internecie, znalazł mój adres domowy, na który wysyłał mi prezenty. Na Facebooku ogłosił, że jest w związku ze mną – opowiada.

Żadne prośby i błagania z jej strony, by dał jej spokój, nie skutkowały. Sytuacja stała się poważna, gdy Amanda zaczęła od nieznajomego otrzymywać pogróżki.

– Skończyło się tym, że z 50-stronnicową dokumentacją jego różnych prób, gróźb, wiadomości poszłam na policję i oskarżyłam tego mężczyznę o stalking. Sytuacja trwała już bardzo długo i nie mogłam sobie z tym sama poradzić. To rzutowało na moje życie prywatne, związek i w ogóle spokój ducha – tłumaczy.

Marceliny Miszewskiej stalker na szczęście nie prześladował, ale przyznaje, że podczas konwentów niektórzy są zbyt wylewni i często mylą fikcję z rzeczywistością. – Byłam kiedyś przebrana za Millie z animowanego serialu dla dorosłych „Helluva Boss”. Podszedł do mnie chłopak i zaczął mówić, że jestem jego ulubioną postacią. Pokazywał mi bardzo dziwne – jak by to ująć... – nieciekawe rysunki. Poczułam się mocno nieswojo. Nie mogłam się go pozbyć. Czulałam się wręcz napastowana.

Marcelina zwraca uwagę na jeszcze jedno – często seksualizowane są bardzo młode osoby. – Pamiętam, gdy jakaś 16-latką słuchała na swój temat komentarzy z bar-

Jedna z kobiet opowiadała, że jako 14-latką brała udział w konwencie w przebraniu czarodziejki. Nie miała sukni do ziemi, ale też strój nie była też zbyt krótka. Jednak starsi od niej mężczyźni podchodzili, podnosili jej spódnice i robili zdjęcia

dzo seksualnym podtekstem. Nikt nie zwracał uwagi, że to młoda dziewczyna. Ludzie widzą swoją ulubioną postać i myślą, że mogą sobie pozwolić na takie komentarze, nie zwracając uwagi na uczucia tej osoby. Nie odróżniają fikcji od rzeczywistości. Mówią do nas czasami, jakbyśmy naprawdę były tymi postaciami, a nie zwykłymi ludźmi. Uprzedmiotawiają nas – podkreśla.

PSYCHOŁOŻKA: TO MOLESTOWANIE

Lena Sykut walczy z takimi zjawiskami. Przed każdym konwentem pisze przypomnienie w swoich social mediach, że podobne zachowania, seksualne lub obraźliwe komentarze nie są w porządku. W szkole rozwiesza plakaty informujące, gdzie szukać pomocy, wyjaśniając, czym jest molestowanie, seksualizacja.

Katarzyna Porzuczek, psycholożka wspierająca kobiety doświadczające przemocy zgłaszające się do fundacji Czas Kobiet, zauważa, że problem seksualizacji postaci fikcyjnych przez fandom jest bardzo złożony, a sam świat cosplayu może być dla kobiet trudny.

– Proszę zauważyć, że w ogóle postaci kobiece w świecie fantastyki często tworzone są przez samych mężczyzn jako ich fantazje na temat kobiet i zwykle nie mają za wiele wspólnego z tym, jak naprawdę wyglądają kobiety, jak się poruszają, co mówią – podkreśla.

– Natomiast sam cosplay to rodzaj sztuki, odgrywanie ról, wcielanie się w swoich ulubionych bohaterów. Jeśli komuś myli się to z rzeczywistością, to pojawia się duży problem – dodaje.

Ekspertka podkreśla, że udział w cosplayu nie może być sygnałem, by ktośkolwiek mógł przekraczać nasze granice. – Strój, makijaż czy nawet teatralne zachowanie nie są żadnym przyzwoleniem na traktowanie osoby przebranej inaczej, niż gdyby nie była przebrana. To nie żadna zmiana konwencji, że oto można pozwolić sobie na więcej – mówi Porzuczek.

Porównuje to z każdą osobą doświadczającą molestowania seksualnego, kiedy działanie oprawców absolutnie niesłusznie tłumaczone jest zachowaniem czy wyglądem osoby skrzywdzonej.

– Pamiętajmy też, że postaci zarówno filmowe, jak i komputerowe mogą być dla kobiet archetypem jakiejś cechy lub przymiotu: siły, pewności, mocy czy nawet seksualności albo zmysłowości, odwagi. Wcielając się w jakąś postać, wzmacniają u siebie tę część, którą chcą rozwinąć. Dla wielu osób cosplay to pewnie głównie zabawa czy możliwość kreatywnego, artystycznego i manualnego rozwoju, ale widzę też w tym element wzmacniania siebie i swojej rezylencji. Dlatego, gdy w tym procesie ich granice są nieszanowane, to jest to tym bardziej krzywdzące – podkreśla Katarzyna Porzuczek.

Lena radzi młodym osobom, które nie są jeszcze dość doświadczone, by na konwenty nie przychodziły same. By zawsze ktoś im towarzyszył.

– Grupie trudniej powiedzieć coś obrzydliwego czy cokolwiek o podtekście seksualnym – zwraca uwagę.

Kiedy jednak już dojdzie do sytuacji, gdy czujemy się niekomfortowo lub nasze granice są przekraczane, Lena radzi, by od razu zareagować. – Wprost powiedzieć: „stop”. Jeśli to nie pomaga, a zachowanie się nasila, to warto poszukać helperów, wolontariuszy, którzy mają obowiązek zwrócić uwagę komuś, kto zachowuje się niestosownie, lub wezwać ochronę. Cieszę się, że od kilku lat organizatorzy Pyrkonu edukują w tym zakresie. Bo prośbienie o pomoc, stawianie granic jest OK. Nie możemy się zgadzać, by ktoś te nasze granice przekraczał – uważa cosplayerka. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34385539

WE WTOREK W „WYBORCZEJ”

Specjalny dodatek z krzyżówkami na lato

Wakacyjna, roztańczona, fotograficzna, o psich bohaterach i wiele innych



Komisarz Unii Europejskiej ds. obrony Kijów, 8 maja 2025

CHWAŁA UKRAINIE! I EUROPIE. OBY

Najlepszą inwestycją w bezpieczeństwo Europy
jest inwestycja w bezpieczeństwo Ukrainy

Andrius Kubilius*



• Mural „Święta z Javelinem” na ścianie bloku mieszkalnego w Kijowie. Madonna z amerykańską wyrzutnią rakiet przeciwpancernych „Javelin” to symbol Ukrainy walczącej z rosyjską inwazją, który narodził się, a potem rozpowszechnił w mediach społecznościowych
FOT. MAKSYM MARUSZENKO/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

Dziś mamy w Europie Dzień Zwycięstwa. Dziś wspominamy bezwarunkową kapitulację nazistowskich Niemiec 80 lat temu. Dla mnie ten dzień to także heroizm i cierpienie Ukrainy. Cierpienie, bo w XX wieku Ukraina była polem bitwy i miejscem kaźni dokonanej przez dwie totalitarne tyranie – nazistowskie Niemcy i stalinowską Rosję. Osiem do 10 mln Ukraińców zginęło podczas drugiej wojny światowej. Jedna czwarta populacji. Zaledwie dziesięć lat po tym, gdy miliony ludzi umarły w czasie wywołanego przez Stalina głodu, Hołodomoru.

Dzień Zwycięstwa to w Europie dzień bohaterstwa Ukrainy, bo miliony Ukraińców walczyły przeciwko nazistom. W sojusznicznych armiach. Jako żołnierze. Jako partyzanci. Pomogli zniszczyć reżim odpowiedzialny za terror, zabójstwa i ludobójstwo na skalę globalną. I ten heroizm widzimy do dziś na ulicach i polach bitew Ukrainy.

80 lat temu, po drugiej wojnie światowej, nastąpiła zimna wojna. Żelazna kurtyna opadła na cały kontynent. Na Zachodzie panowała wolność, ale stałe było zagrożenie militarne. Na Wschodzie sowiecka okupacja i komunistyczna dyktatura. Jedna totalitarna tyrania zastąpiła drugą.

Jak wiecie, pochodzę z Litwy. Dla mnie i dla was, w Ukrainie, wolność przyszła z opóźnieniem, dopiero po 45 latach. I wy, i my, Litwini, uzyskaliśmy wolność dopiero wtedy, gdy Litwa i Ukraina uzyskały niepodległość w 1990 i 1991 roku. Urodziłem się w 1956 roku. Wciąż mogę powiedzieć, że prawie połowę życia przeżyłem pod rosyjską okupacją. Wciąż pamiętam, jak to było: ucisk. A potem wyzwolenie. To moje osobiste doświadczenie.

Nie chcę tego dla moich dzieci ani wnuków! Ich przyszłość, przyszłość Europy zależy dziś od Ukrainy. Bo dziś, 80 lat po wojnie, wciąż słyszymy echa przeszłości. Tak wtedy, jak i teraz najeźdźca pojawił się jak bandyta w nocy. Tak wtedy, jak i teraz zaczęło się od bombardowania Kijowa. Po raz kolejny agresor chce zniewolić Ukrainę i zdominować Europę. Tym razem jest to Rosja Putina.

W ciągu pięciu lat Rosja może mieć wystarczającą liczbę broni, by przetestować artykuł piąty traktatu NATO i zaatakować jeden lub więcej krajów Unii Europejskiej. Takie są przewidywania europejskich służb wywiadowczych. Dlatego musimy pamiętać, że dziś w Ukrainie tworzy się historia: przyszłość Ukrainy, przyszłość Rosji, przyszłość Europy, przyszłość naszych dzieci i wnuków decyduje się na polach bitewnych Ukrainy.

Historia jest nie tylko po to, by ją wspominać. Ale także po to, by nie powtórzyć jej tragicznych błędów. Dziś istnieje niebezpieczeństwo, że możemy powtórzyć niektóre z najtragiczniejszych błędów europejskiej historii XX wieku. Chcę o nich otwarcie mówić, bo tylko w ten sposób możemy ich uniknąć.

Pierwszy błąd: Brak wsparcia wojskowego dla Ukrainy

W ciągu trzech lat wojny zarówno Unia, jak i USA udzielały Ukrainie wsparcia wojskowego w wysokości mniej więcej 40 mld euro rocznie: 20 mld po każdej stronie; ale też po każdej stronie wynosiło ono mniej niż 0,1 proc. PKB.

Unia wydaje dzisiaj na własną obronę średnio 2 proc. PKB, a USA – 3,4 proc. NATO zamierza uzgodnić wymóg 3,5 proc. [co nastąpiło na szczycie NATO 25 czerwca], czyli znacznie więcej, niż dajemy Ukrainie.

Skąd taka różnica? Dlaczego uważamy, że dziś ważniejsze jest dbanie o wła-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Julian Tuwim

Całujcie mnie wszyscy...

*Absztyfikanci grubej Berty
I katowickie węgłokopy
I boryslawskie naftowierzy
I lodzermensche, bycze chłopy,
Warszawskie bubki, żygolaki
Z szajką wytwornych pind na kupę,
Rębajły, franty, zabijaki, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Izraeliccy doktorkowie,
Widnia, żydowskiej Mekki, flance,
Co w Bochni, Stryju i Krakowie
Szerzycie kulturalną francę;
Którzy chlipiecie z „Naje Fraje”
Swą intelektualną zupe,
Mądrale, odcytane faje, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Item aryjskie rzeczoznawce,
Wypierdy germańskiego ducha
(Gdy swoją krew i waszą sprawdzą,
Wierzcie mi, jedna będzie jucha),
Karne pętaki i szturmowcy,
Zuchy z Makabi czy z Owupe,
I rekordziści, i sportowcy, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Socjały nudne i ponure,
Pedeki, neokatoliki,
Podskakiewiczze pod kulturę,
Czciciele radia i fizyki,
Uczone małpy, ścisłowiedzy,
Co oglądacie świat przez lupe
I wszystko wiecie: co, jak, kiedy, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Item ów belfer szkoły żeńskiej,
Co dużo chciałby, a nie może,
Item profesor Cy... wileński
(Pan wie już za co, profesorze!),
I ty za młodu niedorzęnięta
Megiero, co masz taki tupet,
Że szczujesz na mnie swe szczenięta, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*



Utwór Juliana Tuwima został wydany w 1937 r. w Poznaniu w dwóch edycjach w nakładzie 30 i pięciu egzemplarzy, pod tytułem „Wiersz, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w dupę pocałowali”. Tutaj tekst za: „Antologia prowekacji. Morsztyn oraz wiek XX. Warsztaty literaturoznawcze”, opieka nauk. Dariusz Pawelec, Katowice 2011.

FOT. NAC

sne zdolności obronne, a nie o wystarczające zdolności Ukrainy, skoro Ukraina broni nas przed tym samym wrogiem? Nie rozumiem tej wojskowej logiki. Może powinniśmy mieć bardziej zrównoważone podejście?

Nie możemy powtórzyć błędów z lat 30., kiedy demokratyczny Zachód nie zainwestował od razu, na czas w potrzebę powstrzymania Hitlera.

Drugi błąd: Niezdolność odróżnienia agresora od ofiary

Pamiętajmy o Ronaldzie Reaganie, który powiedział: „Nie bój się zobaczyć tego, co

*Item Syjontki palestyńskie,
Haluce, co lejecie tkliwie
Starozakonne lzy kretyńskie,
Że „szumią jodły w Tel-Awivie”,
I wszechsłowiańscy marzyciele,
Zebrani w malowniczą trupe
Z byle mistycznym kpem na czele, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*I ty fortuny skurwysynu,
Gówniarzu uperfumowany,
Co splendor oraz spleen Londynu
Nosisz na gębie zakazanej,
I ty, co mieszkasz dziś w pałacu,
A srać chodziłeś pod chałupę,
Ty, wypasiony na Ikacu, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Item gędziarze i bajdury,
Ciągający z nieba grubą rentę,
O, lapiduchy z Jasnej Góry,
Z Góry Kalwarii parchy święte,
I ty, księżuniu, co kutasa
Zawiązanego masz na supel,
Żeby ci czasem nie pohasał, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Item liryczni producenci
Proletariackich marksylianek,
Item studenci – ach! studenci,
Nie wyłączając koleżanek,
I wszelkie grupy poezjackie
(Tu włączam i „Skamandra” grupę)
I „Wiadomości Literackie”, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*I wy, o których zapomniałem,
Lub pominąłem was przez litość,
Albo dlatego, że się bałem,
Albo, że taka was obfitość,
I ty, cenzorze, co za wiersz ten
Zapewne skarzesz mnie na ciupę,
Iżem się stał świntuchów hersztem, –
Całujcie mnie wszyscy w dupę!*

widzisz!”. Nie bójmy się dostrzec, że Rosja jest agresorem, a Ukraina ofiarą. I odpowiedzieć na pytanie, po czyjej stronie stoimy.

Dla mnie, dla nas odpowiedź jest jasna. Wygląda jednak na to, że dla niektórych jeszcze nie.

Trzeci błąd: Obietnica dobrych stosunków z agresorem Putinem

Dużym błędem jest deklarowanie strategicznego interesu w przywróceniu dobrych stosunków z Putinem, kiedy nastanie pokój.

NATO uważa Rosję za największe zagrożenie dla europejskiego bezpieczeństwa

stwa i planuje radykalne zwiększenie gotowości do obrony i odstraszenia rosyjskiej agresji. Niemożliwe jest zakładanie przyjaźni z kimś, kto stanowi dla nas największe zagrożenie, i zarazem domaganie się większych wydatków na obronę w celu powstrzymania tego kogoś.

Spełnienie obietnic przyjaźni z Putinem ośmieli go do kontynuowania jego wewnętrznej i zewnętrznej agresywnej polityki, wprowadzi zamieszanie w całym zachodnim demokratycznym świecie i zachęci inne autorytarne reżimy do agresji.

Czwarty błąd: Uznanie okupacji Krymu

Historia daje jasne lekcje na temat przywództwa. W krytycznych momentach przywódcy mogą odgrywać rolę Chamberlaina, Churchilla, Roosevelta lub Reagana.

Chamberlain oczekiwał, że będzie mógł porozumieć się z Hitlerem w Monachium (1938) w sprawie pokoju i przyjaźni, i zażądał, aby Czechosłowacja oddała Hitlerowi część swojego terytorium (Sudety). To był pierwszy krok na drodze do II wojny światowej. Churchill, Roosevelt i Reagan walczyli o wolność i przeciwko „imperium zła”. I wygrali.

Wsparcie żądania, aby Ukraina oddała część swojego terytorium agresorowi, jest prostym i tragicznym powtórzeniem historycznego błędu Chamberlaina.

Piąty błąd: Poparcie dla formuły „NATO bez Ukrainy”

Rosja domaga się, by Ukrainy nie przyjmować do NATO, nie dlatego, że obawia się ofensywy NATO przeciw Rosji z wykorzystaniem terytorium Ukrainy. Obawia się, że NATO będzie bronić Ukrainy przed kolejną agresją Rosji. Poparcie dla formuły „NATO bez Ukrainy” ułatwia Rosji planowanie kolejnej takiej agresji.

Chciałbym powiedzieć kilka słów o Rosji. O jej tragedii i jej przyszłości.

Wojna Rosji przeciwko Ukrainie to globalna tragedia. Powoduje też ogromną liczbę tragedii dla Ukrainy. Wojna ponownie budzi wspomnienia o tragicznej historii kontynentu europejskiego w XX wieku: czy możemy uniknąć kolejnej tragicznej wojny ogólnoeuropejskiej, podobnej do pierwszej lub drugiej wojny światowej?

Paradoksalnie wojna prowadzona przez Putina jest również tragedią dla narodu rosyjskiego. Tą wojną Rosja wykluczyła się z globalnej społeczności normalnych, nieagresywnych krajów. Trajektoria rozwoju Rosji powoli zmierza w dół i będzie nadal podążać w tym kierunku, jeśli nie będzie wewnętrznej woli politycznej, by dokonać przełomowej zmiany i wrócić do normalności. Oczywiście jest, że nie stanie się to, jeśli u władzy będzie Putin.

Dzieje ludzkości pełne są przykładów tego, jak narody, słynne cywilizacje nie były w stanie zmienić spadkowej trajektorii swojego rozwoju i po prostu zniknęły z historii.

Historyczne korzenie tragedii Rosji są oczywiste: podczas drugiej wojny światowej Rosjanie wraz z Ukraińcami, Białorusinami, Amerykanami, Brytyjczykami i wieloma innymi narodami wspólnie zdołali pokonać faszystowską III Rzeszę. Ale później ci sami Rosjanie przegrali bitwę z własnym wewnętrznym, narodowym rodzajem faszyzmu – mieszkanką nostalgicznego rosyjskiego imperializmu i autokratycznego bolszewizmu.

W XXI wieku na kontynencie europejskim każdy chce mieć dobre stosunki z sąsiadami, także z Rosją. Kraje bałtyckie mają w tym największy interes ze względu na swoje historyczne doświadczenia. Ale dobre stosunki zależą tylko od jednego warunku: czy Rosja jest w stanie stać się normalnym krajem. Nie moż-

na mieć dobrych stosunków z agresorem, zwłaszcza jeśli mieszka się w jego sąsiedztwie lub na kontynencie europejskim, który nie jest oddzielony od agresywnej Rosji Atlantykiem.

Dlatego wszyscy w demokratycznej Europie muszą podjąć jasną decyzję: czy chcą dobrych stosunków z Putinem, wiedząc, że to tylko przedłuży tragedię Rosji i zagrożenie dla Europy, czy z normalną Rosją. Rosją przyszłości, która być może stanie się ciałem, jeśli pomożemy narodowi rosyjskiemu zrozumieć alternatywne kierunki przyszłego rozwoju jego kraju: czy będzie to globalna izolacja i imperialna agresja wspierana przez autokratyczny bolszewizm Putina czy normalna Rosja, wolna od agresji i autokracji, utrzymująca z innymi, w tym z Unią Europejską, normalne relacje.

Jeśli zgodzimy się, że agresywna Rosja była, jest i pozostanie największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa europejskiego (które nie zniknie nawet po nastaniu pokoju), demokratyczny Zachód musi mieć strategię, co zrobić z takim stałym zagrożeniem. Nie wystarczy wzmocnić zdolności obronnych Ukrainy lub Unii przeciwko agresywnej Rosji. Niezwykle ważne jest, aby Unia miała długoterminową strategię, jak pomóc Rosji stać się jej nieagresywnym, normalnym sąsiadem. W ten sposób znikną stałe zagrożenia dla Europy.

Nasze wsparcie dla Ukrainy jest najważniejszym narzędziem strategicznym w naszej polityce wobec Rosji, bo sukces Ukrainy może zainspirować Rosjan do pójsicia za tym przykładem. Putin boi się takiej inspiracji i marzeń Rosjan o normalnym życiu. Putin to tragedia dla przyszłości Rosji, ale jego reżim nie jest tak trwały, jak się dziś wydaje. Unia musi mieć strategię, która mogłaby dać narodowi rosyjskiemu szansę na inną, nie tak tragiczną przyszłość. Byłaby to również największa korzyść dla bezpieczeństwa Europy.

Musimy rozmawiać nie tylko o pilnych potrzebach obronnych dnia dzisiejszego, ale także o długoterminowej przyszłości Europy.

Mamy do czynienia z dwiema różnymi ramami czasowymi i różnymi wyzwaniami w sferze bezpieczeństwa:

1) Pierwsze wyzwanie, najpilniejsze: agresja Rosji na Ukrainę i możliwość rosyjskiej agresji na państwa członkowskie Unii lub NATO przed 2030 rokiem.

I podczas II wojny światowej, i teraz agresja na Ukrainę zaczęła się od bombardowania Kijowa

2) Drugie wyzwanie dotyczy dłuższej perspektywy – następnej dekady. To rosnąca potęga militarna Chin i w związku z tym przenoszenie przez USA coraz większej uwagi na Indo-Pacyfik, przy jednoczesnym zmniejszaniu ich obecności w Europie.

Jak mówi biała księga w sprawie obronności europejskiej [z marca 2025 roku], „nowy porządek międzynarodowy ukształtuje się w drugiej połowie tej dekady i później”. I właśnie dlatego musimy działać w oparciu o naszą długoterminową strategię, ponieważ „historia nie wybaczy nam beczynności”.

„Obrona Europy jest zadaniem Europy” – pisałem o swojej roli jako komisarza ds. obrony.

Dziś dość często ja i różni Europejczycy powtarzamy oczywistą prawdę, że 450 mln Europejczyków nie powinno prosić 340 mln Amerykanów o stałą obronę przed 140 mln Rosjan, którzy nie są w stanie pokonać 38 mln Ukraińców. Z ekonomicznego punktu widzenia jesteśmy wystarczająco silni, by wziąć obronę w swoje ręce. Ale to zajmie trochę czasu.

Spójrzmy w daleką przyszłość: nie wystarczy wydawać więcej na obronę i produkować więcej broni defensywnej. Abyśmy mogli się bronić, musimy rozwinąć „europejską architekturę bezpieczeństwa”. Naszym strategicznym celem jest zjednoczenie wszystkich wysiłków na rzecz wzmocnienia europejskiej obrony w postaci „prawdziwej Europejskiej Unii Obronnej”.

Ukraina odgrywa dziś kluczową rolę w obronie Europy i będzie odgrywać najważniejszą rolę w długoterminowym rozwoju europejskiej gotowości obronnej, w rozwoju nowej europejskiej architektury bezpieczeństwa, w procesie budowania „prawdziwej Europejskiej Unii Obronnej”.

Dlatego musimy zrozumieć strategiczne znaczenie naszej długoterminowej strategii wobec Ukrainy. Opiera się ona na trzech filarach integracji.

D Integracja w sferze bezpieczeństwa

Formuła bezpieczeństwa w Europie jest bardzo prosta: Europa – integralna, wolna i żyjąca w pokoju. Wolność musi być broniona i coraz bardziej rozszerzana na wschodnią część Europy. Formuła „pokój poprzez siłę” może zostać wprowadzona w życie tylko wtedy, gdy dodatkowo wzmocnimy Ukrainę.

Można to osiągnąć dzięki zwiększeniu pomocy dla Ukrainy; jak wielokrotnie powtarza przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, najlepszą gwarancją bezpieczeństwa dla Ukrainy jest „strategia jeżozwierza” – wzmocnienie ukraińskiej obrony i zdolności wojskowych do poziomu realnego odstraszenia. Jak mówi przewodnicząca, naszą najlepszą inwestycją w bezpieczeństwo Europy jest inwestycja w bezpieczeństwo Ukrainy.

Nowy program UE „ReArm Europe” i pożyczki „SAFE” stwarzają państwom członkowskim Unii możliwości zwiększenia wsparcia wojskowego dla Ukrainy poprzez wspólne zakupy broni razem z Ukrainą, od Ukrainy i dla Ukrainy. Tworzymy wspólną unijno-ukraińską grupę zadaniową ds. wykorzystania kredytów „SAFE” i to nowe rozwiązanie również będzie bardzo pomocne.

2) Integracja obronna

Integracja europejskiego i ukraińskiego przemysłu obronnego staje się bardzo ważną częścią naszej agendy. Nowe możliwości otwiera przyszły program obronny EDIP.

Ukraiński przemysł obronny odnosi niewiarygodne sukcesy. Możemy go wesprzeć naszą siłą finansową i przemysłową, a on może wesprzeć przemysł obronny UE ukraińskim know-how oraz niezwykłymi umiejętnościami w sferze innowacji i modernizacji. Integracja doktrynalna działań wojennych może również pomóc nam zrozumieć znaczenie „armii dronów”,

abyśmy mogli powtórzyć ten sukces po naszej stronie.

3) Integracja europejska

To symboliczne: dziś wspominamy 8 maja – koniec wojny. Jutro wspominamy 9 maja – początek jedności europejskiej. Integracja europejska w kształcie zaproponowanym w planie Schumana 9 maja 1950 roku miała bardzo klarowny cel: ochronę pokoju i uniknięcie wojen na kontynencie europejskim poprzez zjednoczenie Europy.

Jak powiedziała przewodnicząca Komisji, członkostwo Ukrainy w naszej Unii „może być najsilniejszą gwarancją bezpieczeństwa”. Dlatego członkostwo Ukrainy w Unii jest potrzebne nie tylko Ukrainie, ale także całej Unii. Dlatego powiedziała ona również, że „ciężko pracujemy z Ukrainą, aby otworzyć wszystkie grupy tematyczne w 2025 roku”.

Zacytuję jeszcze raz przewodniczącą von der Leyen: „Przystąpienie Ukrainy do naszej Unii jest największą gwarancją sprawiedliwego i trwałego pokoju. W naszej historii pokój i integracja europejska zawsze szły w parze. Dlatego wprowadźmy Ukrainę do naszej Unii. Razem kroczyć ścieżką pokoju”.

To najważniejsza odpowiedzialność naszego pokolenia! Ślawa Ukraini! ● przeł. darp



FOT. EUROPEAN COMMISSION

*Andrzej Kubilius

• unijny komisarz ds. obrony i przestrzeni kosmicznej. Urodzony w 1956 r. w Wilnie. Z wykształcenia fizyk, działacz opozycji w czasach ZSRR. Były poseł do litewskiego Sejmu, w latach 1999-2000 i 2008-12 premier. Były przewodniczący konserwatywno-chadeckiego Związku Ojczyzny. W 2019 i 2024 roku wybrany na europosła.

Tekst, który publikujemy, to jego wystąpienie podczas Forum Bezpieczeństwa w Kijowie 8 maja 2025 r. Tytuł – od „Wyborczej”.

REKLAMA

Kraj/34382073

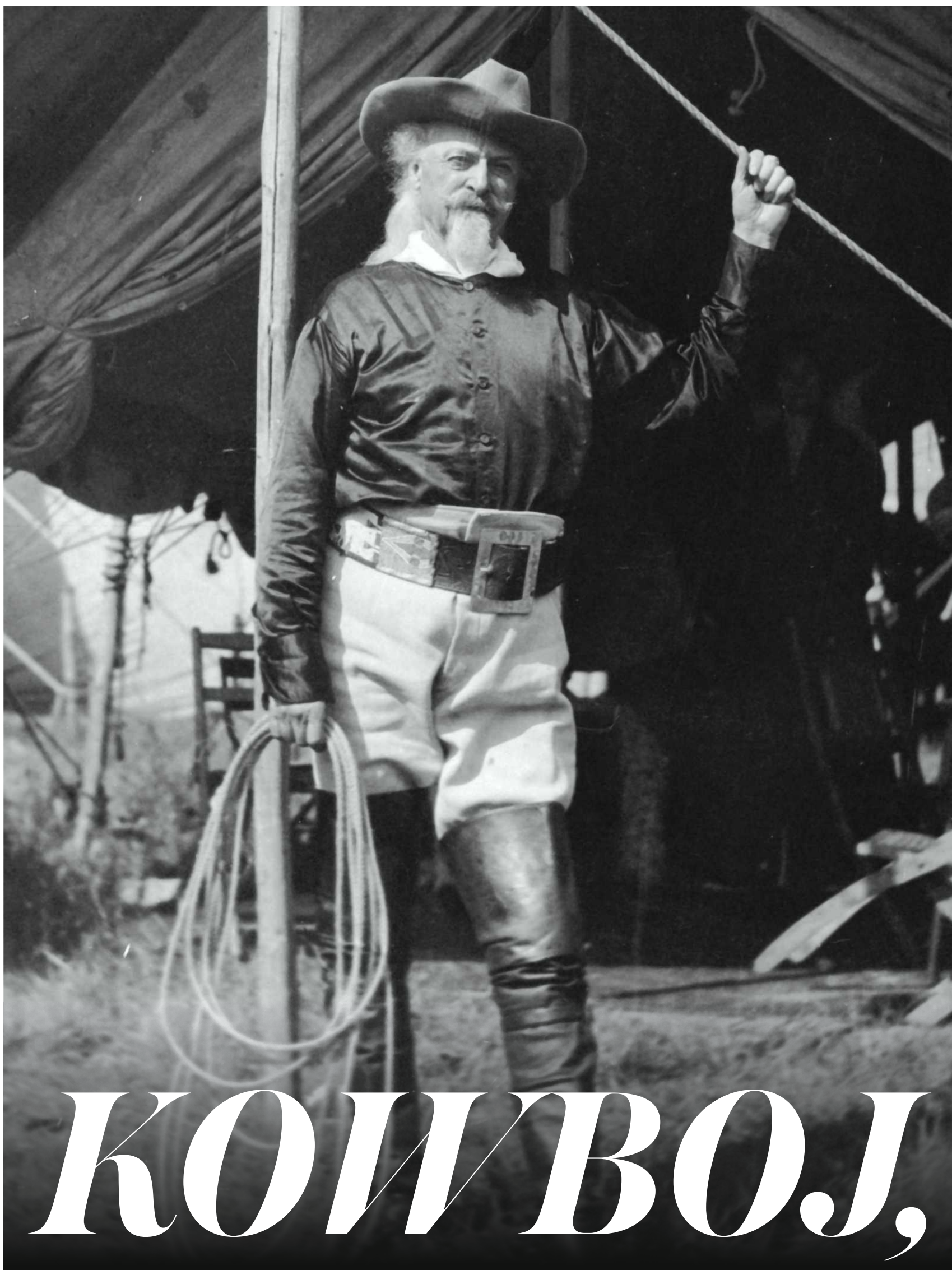


Miasto zaczyna się pod twoim blokiem.

Przeczytaj w książce Magdaleny Milert by dowiedzieć się co zrobić aby było lepsze!



► William Cody, bardziej znany jako Buffalo Bill. Zdjęcie zrobione ok. 1915 roku, na dwa lata przed śmiercią jednego z najsłynniejszych kowbojów Dzikiego Zachodu
FOT. HULTON ARCHIVE
/ GETTY IMAGES



KOWBOJ,

CO ZACHWYCIŁ PAPIEŻA

135 lat temu przedstawienie Buffalo Billa „Dziki Zachód” wędrowało po Europie. Wzbudzało zarówno rozdrażnienie, jak i zachwyt. Gazety pisały o amerykańskiej „reklamie”, która wprawiła świat w ruch.

Bartosz Hlebowicz

Pojedynek amerykańskich kowbojów i włoskich butteri, strzelaniny, ataki Indian na dyliżans na błotnistym rzymskim polu, popisy strzeleckie Ann Oakley i Johnniego Bakera, chwytanie cielaków na lasso. A w przerwach „taniec wojny” Siuksów na Wezuwiuszu, audyencje u europejskich monarchów, spotkanie z papieżem i przejażdżka gondolą po Wielkim Kanale w Wenecji.

Tak bawili się Buffalo Bill czy William Cody oraz jego dwustu kowbojów i Indian w Europie pod koniec XIX wieku.

Historycy wyliczyli, że w ciągu pierwszych 10 lat istnienia Buffalo Bill’s Wild West połowa przedstawień miała miejsce w Europie. To Stary Kontynent nadał obrazkom z „Dzikiego Zachód” rangi, i to nie tylko z powodu tłumów złaknionych „amerykańskiej rozrywki”, ale także zainteresowania ze strony głów państw i Kościoła.

NARODZINY LEGENDY

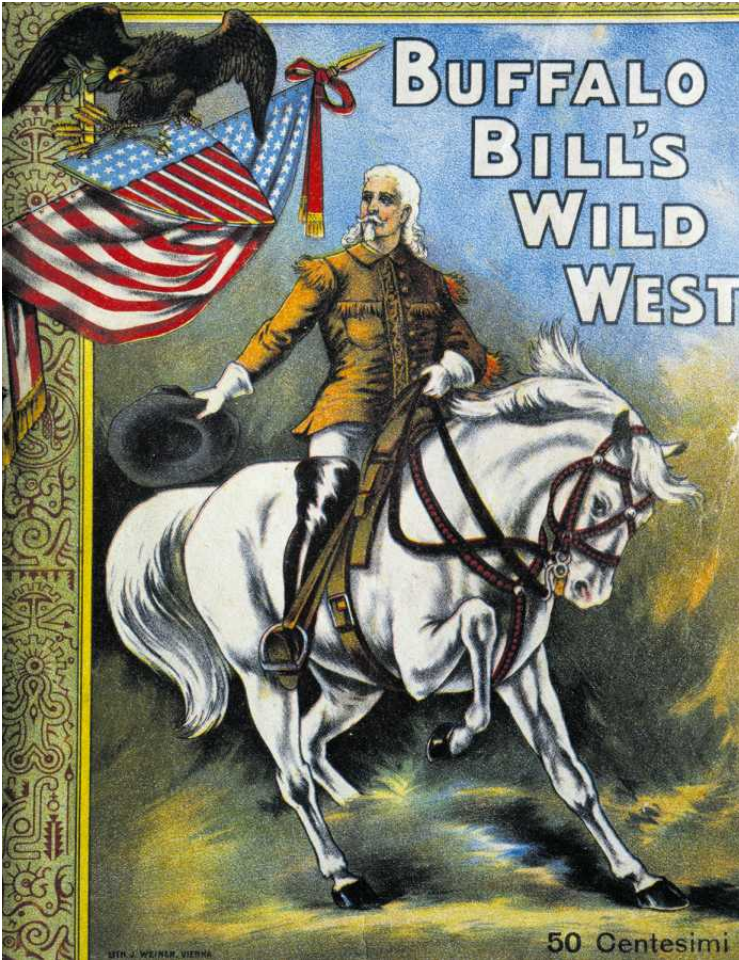
Cody urodził się w mieście Le Claire w Iowa w 1846 roku, ale kilka lat później rodzina przeniosła się bardziej na zachód, do Leavenworth w Kansas, kiedy otwarto to terytorium dla osadników. Jego ojciec, który nawoływał do przyłączenia Kansas do Stanów jako stanu białego (bez niewolnictwa, ale także bez czarnych), wiele razy musiał chować się przed zwolennikami niewolnictwa. Zmarł, kiedy William miał zaledwie 11 lat, i to na barki najstarszego syna (matka, pięć siostr i młodszy brat) spadła rola opiekuna rodziny. Zarabiał jako woźnica zaprzęgu wołowego na farmie sąsiada. Gdy miał 12 lat, był jednym z woźniców w karawanie do Fort Laramie. Dwa lata później powoził wozem do Denver z dostawami dla poszukiwaczy złota w Górach Skalistych. Denver leżało 600 mil od Leavenworth.

Po latach opowiadał, że pracował także jako goniec w słynnej Pony Express – konnej poczcie kuryerskiej łączącej Missouri z Kalifornią. Ta istniejąca zaledwie 18 miesięcy (kwiecień 1860 – październik 1861) usługa, stworzona przez spółkę Russell, Majors and Waddell, stała się legendą, głównie dzięki późniejszym opowieściom i przedstawieniom Cody’ego. Przeszła do historii jako symbol jedności narodu, bo łączyła Wschód z Zachodem (Kalifornia dopiero stała się częścią USA), i jako symbol heroizmu odważnych mężczyzn, którzy zdobywali Zachód hartem ducha i siłą własnych mięśni (oraz mięśni koni, których dosiadali) – dosłownie kilka chwil przed tym, zanim cywilizacja w postaci telegrafu i kolei uczyniła ten proces łatwiejszym, ale jakby i mniej szlachetnym.

Sęk w tym, że – jak ustalił Louis S. Warren, autor najlepszej biografii Buffalo Billa – Cody nigdy nie był gońcem Pony Express. Owszem, służył jako goniec w firmie Russell, Majors and Waddell, ale było to, zanim powołała ona do życia Pony Express. Cody rozwoził przesyłki na grzbiecie konia, ale między biurem firmy w Leavenworth a znajdującym się trzy mile dalej biurem telegraficznym w Fort Leavenworth.

Kiedy jednak ruszyła Pony Express, William Cody... chodził do szkoły w Leavenworth, o czym pisała po latach jego siostra.

Innym wymyślonym po latach „epizodem z życia” był rzekomy udział Cody’ego w walkach z mormonami w 1858 r. Za to są poważne przesłanki, żeby sądzić, iż w 1861 roku, a więc kiedy wybuchła wojna secesyjna, przyłączył się do milicji Red Legs, która rzekomo miała bronić Kansas przed gangami zwolenników Południa, ale w istocie trudniła się paleniem domów i koniokradztwem (kradli koniom



Kiedy zespół Cody’ego podróżował z Neapolu do Rzymu 17 lutego, do przewiezienia całej trupy potrzeba było aż 28 wagonów kolejowych, bydło i konie przewieziono zaś kolejnym pociągiem następnego dnia

▲ Okładka z oficjalnego programu „Dzikiego Zachodu” sprzedawanego podczas tournée grupy po Włoszech w 1906 roku
FOT. DE AGOSTINI / A. DAGLI ORTI / EAST NEWS

zarówno Unionistom, jak i Konfederatom, a oddawali je za okupem). Co zrozumiałe, akurat o tym epizodzie biografii Cody rzadko wspominał.

Pod koniec 1863 r. zmarła matka Cody’ego, a on sam zaciągnął się do wojska. W swojej autobiografii z 1879 roku pisał, że „któregoś ranka, po tym jak był pod wpływem zlej whisky, obudziłem się jako żołnierz Siódmego Pułku Kawalerii z Kansas. Nie pamiętam, jak i kiedy się zaciągnąłem, ale zrozumiałem, że jest to coś dla mnie”.

Cody był szeregowym, oddelegowano go między innymi do pomocy w szpitalu, a potem do pracy posłańca w St. Louis. Zapewne brał też udział w bitwach, ale ta część historii Stanów – podziału i bratobójczej wojny – nie weszła do jego amerykańskiej narracji. Nie pasowała.

Po wojnie służył w wojsku jako przewodnik w armii Stanów Zjednoczonych. Przewodnicy nie byli żołnierzami, lecz cywilami, i zarabiali o wiele lepiej od żołnierzy. Stopień pułkownika, którym się chlubił, nie był stopniem wojskowym ani nie został mu nadany za zasługi w walkach z Indianami. Otrzymał go później, w 1887 r. z rąk gubernatora Nebraski, który w ten sposób spełnił prośbę Cody’ego. Było to honorowe włączenie do milicji stanowej.

W czasie gdy jeszcze trwały walki z Indianami, Cody dbał o to, żeby nie zostać żołnierzem, bo w przeciwieństwie do nich – jako zwiadowca – miał swobodę. Zwiadowcy, kiedy nie walczyli, nie musieli stacjonować w forcie, lecz – podobnie jak Cody – robić inne rzeczy. Cody strzelał do bizonów – stąd zresztą jego przydomek, bo mięso bizonów dostarczał robotnikom pracującym przy budowie kolei Kansas Pacific Railroad. Zarabiał też jako

przewodnik dla generałów i arystokratów z Europy, którzy pragnęli zabawić się na Dalekim Zachodzie w łowców bizonów.

Wtedy Cody wpadł na pomysł przedstawienia, które do dziś stanowi podstawę narracji o podboju Ameryki i postępie „cywilizacji”: „Buffalo Bill’s Wild West”.

Zdarzały się też potyczki z Indianami, choć wojny z Indianami w zasadzie dobiegały końca. Cody nie załapał się na słynną Little Bighorn (1876), w której to bitwie Siuksowie i Szejenowie rozgromili oddziały generała Custer, ale nie przeszkodziło mu to połączyć legendy Custer z swoją własną, a „ostatni opór” Custer kilkakrotnie inscenizował podczas własnych przedstawień.

Ja postanowiłem ruszyć „włoskimi śladami” Buffalo Billa i prześledzić, co działo się pod koniec XIX wieku w Italii.

AMERYKAŃSKA KULTURA MASOWA OGARNIA STARY KONTYNET

Karierę showmana Cody łączył z karierą znakomitego zwiadowcy i myśliwego. Już w latach 1873-74 występował na scenie z inną legendą Zachodu, „Dzikim Billem” Hickokiem, odgrywając historię uratowania białej kobiety przed Indianami. Premierowe przedstawienie „Dzikiego Zachodu” Buffalo Billa miało miejsce dziesięć lat później, w Omaha w Nebrasce.

W 1887 r. showman ruszył ze swoją trupą kilkuset Indian i kowbojów do Europy. W rok jego zespół miał kilkaset występów w Wielkiej Brytanii (tylko

w Londynie ponad 300), a wśród publiczności była królowa Wiktoria, duński książę Karol oraz książę Walii, późniejszy król Anglii Edward VII.

Wspomniane włoskie tournée było częścią drugiej wielkiej europejskiej podróży „Dzikiego Zachodu” po Starym Kontynencie, która rozpoczęła się od występów w Paryżu w maju 1889 r. Z Francji zespół popłynął do Hiszpanii, ale tam szyki pokrzyżowały im epidemie grypy hiszpanki i tyfusa: na przedstawienia przychodziło niewiele widzów, a kilku członków zespołu, w tym co najmniej czterech Indian, zmarło. W końcu drużyna Buffalo Billa musiała się poddać kwarantannie, a występy zawieszono.

Występy „Dzikiego Zachodu Buffalo Billa” w Londynie, Paryżu czy Rzymie torowały drogę amerykańskiej kulturze masowej na Starym Kontynencie.

„PODRÓŻ MEGO ŻYCIA”

Na początku 1890 r. opuścili wreszcie Hiszpanię i 26 stycznia dopłynęli do Neapolu. „To podróż mego życia. Mówię ci, że zabranie tak wielkiej ekipy do obcych krajów jest nie lada przedsięwzięciem” – pisał z Neapolu Buffalo Bill do znajomego.

Także logistycznym rzecz jasna. Kiedy zespół Cody’ego podróżował z Neapolu do Rzymu 17 lutego, do przewiezienia całej trupy potrzeba było aż 28 wagonów kolejowych, bydło i konie przewieziono zaś kolejnym pociągiem następnego dnia.

„243 ludzi, dwieście koni i 29 bizonów” – wymieniał swoje zasoby Cody 8 lutego w liście do znajomego: „całkiem duża rodzina, jak na cięganie po świecie, ale nie będę usatysfakcjonowany,





▶ dopóki nie zostanie największym ze wszystkich zwiadowców” – miał na myśli amerykańskich przedsiębiorców cyrkowych, między innymi P.T. Barnuma, z którym rywalizował. I jednocześnie nawiązywał do czasów, kiedy jako prywatny zwiadowca służył w amerykańskiej armii walczącej z Indianami, z którego to epizodu uczynił jeden z głównych punktów swojej legendy.

AMERYKAŃSKA MACHINA REKLAMOWA SIĘ ROZKRĘCA

W Neapolu „Dziki Zachód” grano od 26 stycznia do 17 lutego. Artykuł w „Corriere di Napoli” z 28-29 stycznia 1890 r. daje wgląd w amerykańską maszynę reklamową, która podczas kolejnych tournée nabierać będzie coraz większego rozmachu: „Wielkie plakaty, które od kilku tygodni pokrywały mury miasta, zapowiadały spektakl, którego pierwsza próba odbyła się wczoraj. Przed tymi imponującymi plakatami, niekiedy w piękny sposób łączącymi reklamę ze sztuką, uczciwi mieszkańcy Neapolu przystawali oczarowani i zastanawiali się, czy rzeczywistość odpowiada ilustrowanej zapowiedzi wydarzeń. Ta ciekawość sprawiła, że wczoraj do cyrku Buffalo Billa przybyło ponad pięć tysięcy osób, z których żadna nie wróciła do domu rozczarowana. Spektakl jest naprawdę nowy i interesujący”.

Zaczęło się dokładnie o drugiej po południu. Najpierw wjechało kilka grup Indian prowadzonych przez swoich wodzów (m.in. Szejeni i Siuksowie), potem amerykańscy kowboje, wszyscy na koniach, krzycząc i wiwatując w momencie wjazdu każdego wodza, ustawiając się przed publicznością. Wreszcie jeździec z flagą włoską, galopując, potem inny z amerykańską. Obydwaj nagrodzeni „szaleńczymi oklaskami”. Na koniec Buffalo Bill, paradyjąc na swoim szarym koniu.

„Strzelająca do lecącego celu Annie Oakley jest po prostu cudowna, atak na dyliżans z Deadwood, polowanie na bawoła, obrazki ze zwyczajami Indian, jazda Indianek na koniach bez siodła, niezwykle umiejętności strzeleckie Buffalo Billa były wyróżniającymi się punktami programu” – entuzjazmowała się recenzentka „Corriere”. Autorka pisała, że widowisko oglądały nieprzebrane tłumy z różnych klas społecznych, wśród których nie brakowało „istotnej części naszej arystokracji, w tym eleganckiej reprezentacji kobiet”. „Buffalo Bill odniósł wielki sukces”.

Dziennik „Deseret Evening News” z Salt Lake City pisał: „W wesołym i kolorowym Neapolu »Dziki Zachód« był wielką atrakcją, donoszą też, że sami Indianie okazali niezwykle zainteresowanie malowniczymi i barwnymi strojami na wpół mauretańskich mieszkańców Neapolu”.

TANIEC WOJNY NA WEZUWIUSZU

Jako że nie samą pracą człowiek żyje, William Cody starał się dbać też o rozrywkę wynajętych do przedstawień ludzi. Dlatego zabrał około setki Siuksów – ci pod opiekę Cody’ego trafili niemal prosto z pól bitewnych i wraz z nim zwiedzili pół świata, grając samych siebie i przypominając sobie życie sprzed rezerwatów – na Wezuwiusza: „Gdybyś tylko mógł zobaczyć, jak tańczyli taniec wojenny dookoła krateru! A kiedy któremuś zdarzyło się nadepnąć na kawałek gorącej lawy, mieliśmy ubaw, patrząc, jak podskakuje”.

Wezuwiusz, doskonale widoczny z areny wytyczonej na polu za stacją kolejową, był też częścią niesamowitego tła popisów amerykańskich kowbojów i Indian.

„Milwaukee Sentinel” z 21 lutego komentował pomysł Cody’ego: „Ci Indianie nigdy nie widzieli wulkanu, chociaż słyszeli o takich miejscach, w których diabeł podtrzymuje swój ogień”. Autor tej notki uważał, że niewielu neapolitańczyków czytało Co-opera, więc zapewne wydawało im się, że ci „dzielni wojownicy, z długimi jedwabistymi włosami, pomalowani i z piórami, i pozbawionymi bród twarzami są kobietami”.

W Neapolu nie zabrakło i przykrych incydentów. Na pierwszy spektakl wpuszczono więcej widzów, niż sprzedano biletów, bo okazało się, że dwa tysiące weszło z fałszywkami. Cody protestował u władz miasta, uzyskał tyle, że kolejne występy przeniesiono do innej części miasta.

PIEPRZNA ZAGADKA

Ale nie tylko na biletach Włosi starali się okpić Buffalo Billa. Ten miał zaproponować neapolitańczykom wyzwanie: ujeździ „najdzikszego konia we Włoszech”, jakiego przyprowadzą. Próbowal zresztą już tego w Hiszpanii, z bykami, ale lokalsi nie chcieli ponoć znieważać taką zabawą ich narodowego sportu.

• **Buffalo Bill z Indianami ze swojej trupy podczas rejsu gondolą po kanałach Wenecji w kwietniu 1890 roku**

Fotografia, której autorem jest Paolo Salviati, to jedno z najsłynniejszych zdjęć grupy

FOT. PAUL SALVIATI /
FOTOTECA GILARDI /
AKG IMAGES / FORUM

Co innego neapolitańczycy, którzy następnego dnia przyprowadzili ponoć konie, tylko że... przed wypuszczeniem na arenę nasypali im w zady pieprzu. Efekt? Wściekłych zwierząt nie sposób było poskromić. Buffalo Bill „przegrał” zakład.

Kiedy jednak szukałem potwierdzenia „pieprznej historii” w źródłach, czyli włoskiej prasie z 1890 r. – donoszą o niej jedynie współczesne artykuły internetowe – nie znalazłem żadnej wzmianki. Trafiłem tylko na notkę z „Il Piccolo”, z 30-31 stycznia: Buffa Bill zaprasza każdego, kto posiada nieujeżdżonego konia, żeby zostawił go mu na pięć minut, a Buffalo Bill odda go [potulnego] jak „owieczkę”. Notkę kończy stwierdzenie, że nikt nie zareagował na propozycję.

W wydanej we Włoszech książce „Buffa Bill in Italia” (2011) znajduję fragment o wizycie w Neapolu, na co autor poświęca... cztery linijki, wspominając tylko o dwóch tysiącach lewych biletów. I tyle. Nic dziwnego, skoro ów autor, Mario Bussoni, napisał już 35 „książek” na wszystkie możliwe tematy (od Napoleona i Hitlera przez żony prezydentów amerykańskich po zamki we Francji i Włoszech). Jest dziennikarzem i wygląda na to, że godnym spadkobiercą naciągaczy, którzy oszukali Buffalo Billa w Neapolu w 1890 r.

INDIANIE NA DWORZE LEONA XIII

„Na widok papieża, z triarą na głowie, niesionego w złotej lektyce ukłękli na ziemi i podnieśli ręce, krzycząc z całej siły, jakby byli w ekstazie – Leon XIII przeszedł między nimi, błogosławiąc ich palcami [...], a jego oczy zdradzały ogromną ciekawość. W pewnym momencie wydawało się, że papież usiłuje się nie zaśmiać”. Gdy papieska procesja przechodziła dalej, „Indianie ponownie wstali i, nadal krzycząc, śledzili go wzrokiem, jakby nie mogli oderwać się od niebiańskiej wizji, która im się ukazała. Wszyscy otrzymali święte medaliki, różańce i inne relikwie”.

To opis w jednej z włoskich gazet spotkania Buffalo Billa i jego aktorów z papieżem Leonem XIII, do którego doszło 3 marca 1890 r. w Sala Regia Pałacu Apostolskiego.

Paryski „Galignani’s Messenger” dodawał: „Papież uroczyście modlił się, aby Wszechmogący Bóg prowadził i chronił wielką Republikę Amerykańską oraz o duchowe i doczesne dobro plemion indiańskich”. Korespondent z Francji komentował: „W tym

momencie scena była pełna patosu. Mężczyźni płakali i wydawali dziwne dźwięki, a jedna z Indianek zemdląła i musiała zostać przeniesiona do sąsiedniego pokoju”.

Według doniesień prasy największe wrażenie na papieżu zrobił sam Buffalo Bill. Tym bardziej po słowach Cody’ego, że „przybyli z Hiszpanii, ponieważ z tego kraju Krzysztof Kolumb rozpoczął odkrywanie Ameryki, i przyjechali do Rzymu, żeby stworzyć historię, ponieważ jest to najstarsze i najwspanialsze miasto w świecie chrześcijańskim”.

Ze szczególną atencją potraktował panią Whittaker, „matkę Dzikiego Zachodu”. „Mama Whittaker” była niezastąpiona: nie dość, że latała Indianom ubrania, to gazety relacjonowały między innymi, że Indianie nie przyjmą żadnego lekarstwa od żadnego lekarza, o ile wcześniej nie przekona on „mamy Whittaker, że to dobry specyfik”.

Spotkanie z papieżem w Watykanie samo w sobie musiało być spektaklem porównywalnym z występami Buffalo Bill’s Wild West. Ale znaleźli się i krytycy. Satyryczny dziennik rzymski „Don Chisciotte della Mancia” komentował: „Pułkownik Cody, poskromiciel Indian, dumnie wkroczył do Watykanu, wśród najbardziej konserwatywnej szlachty i zajął swoje miejsce jako przedstawiciel nowej i nowoczesnej siły: reklamy”.

„PRAWDZIWE STUDIUM ETNOGRAFICZNE”

Spotkanie z papieżem, który poświęcił przybyšom kilka minut przed rozpoczęciem uroczystości celebrujących dwunastą rocznicę papieskiej koronacji, odbyło się kilkanaście dni po pierwszym rzymskim przedstawieniu Buffalo Billa. 20 lutego trupa wystąpiła na Piazza d’Armi (placu Broni, dzisiaj Piazza Mazzini) w sąsiadującej z Watykanem dzielnicy Prati di Castello – wtedy było to głównie rozległe pole na obrzeżach miasta. Ich obóz znajdował się jeszcze bliżej Watykanu, opodal Castel Sant’Angelo.

„Ani trochę nie przypomina zwykłego przedstawienia cyrkowego, lecz jest prawdziwym studium etnograficznym i wspaniałym pokazem indiańskich strojów” – pisała o wystąpieniu rzymska prasa.

Najbardziej efektowne było „wejście ponad setki wojowników na grzbietach koni. Nie galopują, lecz dosłownie lecą jak wichry, ich konie ledwie muskają trawę kopytami”. Reporter zachwycił się Annie Oakley, która „z niezrównaną precyzją trafiała w piłki i inne przedmioty rzucane przez Indianina w powietrze, nigdy nie chybiając”. Potem „uwagę publiki przykuło wejście staromodnego kuriera na koniu, niosącego rządowe dokumenty na pograniczu” w epoce sprzed pociągów i słupów telegraficznych. Potem następował atak Indian na karawanę emigrantów, „różne historyczne sceny z życia Buffalo Billa” i fantastyczne popisy strzelectwa młodego strzelca Johnny’ego Bakera.

Gazeta doceniła występ samego Buffalo Billa, który łapał na lasso małe dzikie cielaki, „nigdy nie pudlując”. „Wielką frajdę” stanowiło ujeżdżanie koni, wejście stada bizonów. Występ kończyła scena ataku Indian na osadę, „wywołując wielki entuzjazm”.

Z kolei inny komentator narzekał na nadmierne zainteresowanie Włochów Buffalo Bilem, pytając: „Co ci barbarzyńcy w prymitywnych strojach mają do zaoferowania?”.

Buffalo Bill zabrał Indian na zwiedzanie Kolo-seum (wcześniej bezskutecznie zabiegał o pozwolenie, aby właśnie tam odbywało się jego show) oraz do grobu króla Wiktora Emanuela II w Panteonie. Ten symboliczny podbój najważniejszych miejsc cywilizacji Starego Świata nie każdemu przypadł do gustu. Ten sam autor, który pisał o „barbarzyńcach”, ocenił owe wizyty jako „pretensjonalne” i „ckliwe”.

W Rzymie Cody poszedł też z kilkoma Indianami na kawę do słynnego Caffè Greco – kawiarni, do której zaglądali między innymi Mickiewicz, Miłosz, Norwid, Słowacki, Ibsen czy Baudelaire oraz kardynał Gioacchino Pecci, zanim został papieżem Leonem XIII.

W Caffè Greco Cody miał też spotkać księżną Sermonety, zameczku należącego do rodziny Caetani pod Rzymem. To ona ponoć powiedziała zaczepnie, że jej butteri potrafią lepiej jeździć konno niż amerykańscy kowboje. Butteri, czyli włoscy pasterze krów, którzy do dziś opiekują się stadami w regionie Agro Pontino na południe od Rzymu i w tokańskiej krainie Maremma.

Dla Buffalo Billa, który uwielbiał wszelkie pojedynki i zakłady, nie trzeba było więcej. Poprzedniego roku, podczas występów w Paryżu, zorganizował wyścig między francuskim kolarzem a jednym z jego kowbojów na grzbiecie wierzchowca. W Hiszpanii,

jak pamiętamy, próbował wyzwąć na pojedynek matadorów. W Neapolu – ujeżdżaczy koni.

LA SFIDA, CZYLI KOWBOJSKIE WYZWANIE

5 marca na arenę wprowadzono dwa piękne, czarne ogiery ze stajni księcia Onorato Caetaniego. „Oszałałe z przerażenia”, jak zanotował jeden z dziennikarzy. Klusowały wokół, „z wiatrem w grzywach i przerażeniem w oczach”, podskakując i okręcając się dookoła. Indianie i kowboje próbowali je złapać na lasso, bezskutecznie – ogiery zerwały sznury. Wtedy kowboje zarzucili lasso na przednie nogi ogierów, powalili je na ziemię i otoczywszy konie, zawiązali im oczy i nałożyli uzdy, osiodłali, zaciśnęli popręgi. Indiańscy jeźdźcy wskoczyli na siodła i nie dali się zrzucić. Po 22 minutach walki ujeżdżone konie truchtały po arenie.

Pojedynki na ujeżdżanie koni trwały przez trzy dni. Trybuny były pełne, podobnie jak włoskie hotele, do których zjeżdżali zlaknieni widowiska turyści z Florencji, Neapolu, Bolonii oraz innych miast.

Publiczność była zachwycona skutecznością Amerykanów, ale niektóre artykuły w prasie dostrzegły niezbyt rycerskie metody ludzi Buffalo Billa. Ponoć kowboje Cody’ego przywiązywali nawet koniec liny do języka konia, a drugi do jego penisa, by szybciej go poskromić. Mieli też zadawać ciężkie razy wierzchowcom, z których pysków kapłała krew.

Ceną zwycięstwa za każdym razem było oddanie Cody’emu pięknych włoskich ogierów.



Według doniesień prasy największe wrażenie na papieżu zrobił sam Buffalo Bill. Tym bardziej po słowach Cody’ego, że „przybyli z Hiszpanii, ponieważ z tego kraju Krzysztof Kolumb rozpoczął odkrywanie Ameryki, i przyjechali do Rzymu, żeby stworzyć historię, ponieważ jest to najstarsze i najwspanialsze miasto w świecie chrześcijańskim”

Po drugim zwycięstwie Cody zaproponował odwrócenie ról: niech oto butteri spróbują ujeździć amerykańskie mustangi. Dziennik „Il Capitàn Fracassa” relacjonował, że dwa pierwsze „nieposkromione żrebaki” Buffalo Billa zostały ujarzmione szybko, bez konieczności rzucania ich na ziemię i przywiązania lassa do języka: „Nie ma potrzeby pisać, że nasi butteri zachowali się bez zarzutu i godnie”. Gazeta wspomina także, że kowboje Buffalo Billa próbowali podburzać mustangi, ale „pewien mężczyzna wszedł na arenę i ich powstrzymał”.

Butteri mieli jeszcze ujeździć kolejne trzy konie, ale Buffalo Bill przerwał pojedynek, informując, że minęło wyznaczone na pojedynek 10 minut. Tak więc – podsumowuje „Capitàn Fracassa” – butteri odnieśli zwycięstwo „tylko w połowie”.

Zachowały się bardzo różne opisy trzeciego pojedynku, warunki la Sfidy, czyli wyzwania, przedstawia się różnie, podobnie jak jego przebieg oraz rezultat. Jedno jest pewne: włoskim jeźdźcem, butteri, któremu udało się poskromić amerykańskiego mustanga, był Augusto Imperiali, a wśród włoskich butteri do dzisiaj utrzymuje się przekonanie, że Buffalo Bill oszukał ich poprzednika, nie pozwalając na dokończenie pojedynku. – Ale szkoda też, że znani jesteśmy tylko z tego incydentu – mówi mi Alessandro Zampieri, który pracował jako buttero przez 44 lata, z czego ponad dwie dekady jako capobutteri (szef pasterzy) w Alberese, największym gospodarstwie hodowlanym w Toskanii.

INDIANIN JADŁ ZA TRZECH

Od 11 marca „Dziki Zachód” był wystawiany we Florencji. Na stację – opisywała gazeta „La Nazione” – wjechał długi pociąg z kilkudziesięcioma

wagonami ze sprzętem i zwierzętami. Były też wagony pierwszej i drugiej klasy. W jednym z wagonów widać było dylżans z Deadwood, „tyle razy atakowany przez czerwonoskórych, prawdziwy obiekt historyczny”. Na szczycie innego wagonu widać było drewnianą skrzynię, z wymontowanymi kołami i kominem, żeby mogła przejeżdżać pod tunelami. To urządzenie służyło za „kuchnię dla dzikich Indian”.

Z wagonu pierwszej klasy zeszła m.in. Annie Oakley. Potem Meksykanie – niektórzy w swoich kostiumach. Potem Indianie owinięci byli w kolorowe koce, które po zejściu nieco osunęli. Pod spodem mieli stroje różnych kolorów, biżuterię, „dziwne falbany”. Ich włosy były długie, kruczoczarne i opadały na plecy. Jeden z „wodzów” poprosił reportera o papierosa.

Koni było około dwustu: „małe, młode, pełne gracji, niepodkute”. Były też bizony i teksańskie muły; „prawdziwy cud, dwa razy większe od naszych”, zachwycił się reporter. Donosił też, że część zespołu zakwaterowano w hotelach, ale Indianie byli tam, gdzie był obóz, razem ze swoimi końmi. Obóz znajdował się na polach Zecca nad rzeką Arno.

Sprawne wyładowywanie pociągu, przejazd przez miasto, ustawianie obozu oraz areny do spektaklu i równie szybkie zwijanie obozu – to wszystko także stało się częścią przedstawienia, popisem amerykańskiej organizacji i sprawności. „Dziki Zachód” był nie tylko ruchomym sprzedawcą marzeń, ale również doczesnych przyjemności. Włoska i amerykańska prasa odnotowała też, że ustawione przy arenie budki z popcornem i karmelem były tłumnie oblegane przez publiczność.

„La Nazione” dostarczył też opisu obozu Indian ustawionego poza sceną i kuchni. Dowiadujemy się, że Indianie jedzą „to samo, co my: mięso, chleb, tyle że trzy razy więcej”. Kucharz przygotowuje steki i kotlety na wieczór: „u nas nakarmiono by nimi połowę miasta”.

23 marca przedstawienie przeniosło się do Bolonii. 2 kwietnia rozpoczęły się występy w Mediolanie – jedna z gazet pisała o „ekscentrycznej kompanii”, której występ, „nigdy wcześniej u nas nieogładany”, „interesujący z punktu widzenia optycznego i etnicznego”, nie miał nic wspólnego z „ćwiczeniami na trapezie i piruetami amazonek”. W połowie kwietnia show Buffalo Billa mogli podziwiać mieszkańcy Werony, wśród nich pisarz Emilio Salgari, który jako dziennikarz relacjonował fingowane ataki Indian na „kowbojów imigrantów” w miejscowej prasie, by potem wykorzystywać je we własnych – niezwykle popularnych we Włoszech – powieściach o krwiożerczych Indianach.

NIEPOWTARZALNY CHARAKTER AMERYKAŃSKIEJ LEGENDY

Między występami William Cody znalazł też czas, żeby z kilkoma Indianami wyprawić się na zwiedzanie Wenecji. Z tej wyprawy zachowała się jedna z najsłynniejszych fotografii zespołu Buffalo Billa przedstawiająca Cody’ego z Indianami w pióropuszech na gondoli, z placem św. Marka w tle. Zdjęcie wykorzystano potem na okładce książki „Powrót Małego Wielkiego Człowieka” Thomasa Bergera.

Narrator tej wspaniałej książki wyjaśniał z przekąsem przyczyny zauroczenia Indianami białych na całym świecie, mimo że biali „zabijali ich, ilu się dało, i odebrali im ziemię”:

„Te niezwykle istoty, coś pośredniego między światem ludzkim a zwierzęcym, nadawały »Dzikiemu Zachodowi« niepowtarzalny charakter”.

Buffalo Bill dobrze wiedział, że bez Indian jego przedstawienie nie miałoby sensu, podobnie jak nie dałoby się wykuć mitu o powstawaniu amerykańskiego narodu.

„Dziki Zachód” Buffalo Billa z Włoch przeniósł się do Niemiec, gdzie występował przez pięć miesięcy. W listopadzie wrócił do Stanów. 15 grudnia zamordowany został słynny wódz Siedzący Byk, przyjaciel Buffalo Billa, który występował w jego przedstawieniu pięć lat wcześniej. 30 grudnia żołnierze zmasakrowali Siuksów nad potokiem Wounded Knee, a wojowników, którzy przeżyli bitwę, umieszczono w więzieniu. Za wstawiennictwem Cody’ego zostali wypuszczeni i przyłączyli się do jego zespołu wiosną 1891 roku, kiedy ponownie wyruszył na podbój Europy.

Włoskie miasta mogły podziwiać występy zespołu Cody’ego jeszcze raz w 1906 roku – podczas tamtego tournée „szaleni jeźdźcy” Buffalo Billa dotarli nawet na ziemię polskie i Ukrainę, ale to już inna historia. ●



• Jerzy Giedroyc
w siedzibie Instytutu
Literackiego
w Maisons-Laffitte,
1984 rok

FOT. ZBIGNIEW GARWACKI/
FOTONOVA/EAST NEWS

Paweł Sowiński

Książka „The CIA Book Club” Charliego Englisha powinna zostać jak najszybciej przetłumaczona i wydana u nas. W reporterskim stylu relacjonuje polską odsłonę programu książkowego, tajnej operacji CIA znanej pod różnymi kryptonimami, stawiającej sobie za cel poszerzanie swobody myślenia w Polsce komunistycznej.

Komuniści kontrolowali media publiczne nawet lepiej niż PiS. W takiej niewesołej sytuacji po pomoc finansową chodziło się prosić „przyjaciół”. Charlie English skupia się na latach 80., czasach drugiego obiegu wydawniczego i odzyskiwania wolności. Swą opowieść zaczyna w Warszawie od wizyty w mieszkaniu dawnej opozycjonistki Teresy Boguckiej i cudownego odnalezienia wydanych na Zachodzie książek z jej „latającej biblioteki” w księgozbiorach Uniwersytetu Warszawskiego.

Dzięki determinacji Boguckiej książki te niegdyś można było wypożyczać – choć z niemałym trudem – i czytać bez cenzury. English wprowadza umiejętnie w tę tematykę – docenia zarówno stronę amerykańską, jak i lokalnych działaczy podziemia książkowego, w niewidoczny sposób połączonych we wspólnym wysiłku walki z komunizmem. Subtelnie wpłata w opowieść wątki niepolskie. Najważniejszym celem programu książkowego było wszakże wspieranie ruchów dysydenckich w Związku Radzieckim.

GEDROYC, PSEUDONIM „BERETTA”

Pomostem na drodze książek do domowych wypożyczalni byli różni ludzie dobrej woli w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej. Tworzyli ruch społeczny, to

KSIĄŻKOWY KLUB CIA

Na dobrą sprawę nie wiadomo, kto kogo skłonił do współpracy, ale możliwe, że to Jerzy Giedroyc zwerbował CIA, a nie na odwrót.

znaczy: nie utrzymywali na ogół żadnych kontaktów ze służbami specjalnymi, nawet tymi najbardziej sympatycznymi. Główna rola oczywiście przypadła czołowym postaciom emigracji, jak Jerzy Giedroyc. Jego związek z CIA pozostanie chyba na zawsze tajemnicą. W książce Englisha Giedroyc jest sportretowany jako człowiek waleczny i niezależny. Na pewno nie był agentem CIA, raczej partnerem, niekiedy trudnym.

Z szefem programu książkowego – George'em Mindenem – prawie w ogóle się nie spotykał, mimo że leżało to w zwyczaju wielu innych działaczy emigracyjnych zabiegających o fundusze zza oceanu. Jeden z oficerów Agencji wyraźnie zirytowany

nieposłuszeństwem wydawcy z Maisons-Laffitte napisał, że Giedroycowi (pseudonim „Beretta”) nic nie można nakazać, to on wydaje rozkazy. Tutaj dochodzimy do tezy brzmiącej dość zaskakująco dla tych, którzy spodziewali się rewelacji w stylu teczek IPN. Na dobrą sprawę nie wiadomo, kto kogo skłonił do współpracy, ale jest możliwe, że to Giedroyc zwerbował CIA, a nie na odwrót.

Zawsze myślałem, że sekretne notatki z europejskich rozmów Mindena z wydawcami spisywała na maszynie jego sekretarka Rebecca Lief, okazało się, że nie miałem racji. Robiła to jego żona Marilyn Minden. Englishowi udało się ustalić wiele

takich cennych szczegółów dzięki jego rozmowom z Amerykanami. Mało kto byłby w stanie napisać taką książkę jak on – mowa wszakże o arkanach tajnej operacji CIA i o dokumentacji do dzisiaj niejawnej lub bardzo trudno dostępnej.

CHOJECKI WOLAŁ PARYŻ

Charlie zdołał opowiedzieć o tym w sposób wyważony, a jednocześnie wciągający i przystępny. Wyważony, bo książka nie jest laurką dla CIA – opowiada również o dylematach owej misji penetrującej wrogi system. Program książkowy spotykał się

na ogół z przychylnością administracji amerykańskiej, ale też wywoływał obawy, czy miękka gra ze Związkiem Radzieckim będzie w ogóle skuteczna (frakcja jastrzębi) lub czy tajna misja nie popsuje relacji oficjalnych Zachodu z ZSRR i państwami od niego zależnymi (frakcja gołębi). Sukces programu był zarazem sukcesem polskiej opozycji. Masowy ruch społeczny, jakim była „Solidarność”, przekonał nawet największych sceptyków, że warto tę akcję rozszerzyć, co stało się faktem za prezydentury Ronalda Reagana.

“

English dobrze
pokazuje **wartość**
wspólnoty
transatlantyckiej
w pokonaniu
komunizmu w Europie
Środkowo-Wschodniej

Wprowadzenie stanu wojennego przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego wywołało nową falę emigracji ludzi spod znaku „Solidarności”. Bohaterowie tej diaspory znaleźli schronienie nad Sekwaną – nie pierwszy raz w historii, ale tym razem przybyli uzbrojeni wyłącznie w pokojowe doświadczenia. Mirosław Chojecki, szef Niezależnej Oficyny Wydawniczej, start miał trudny, choć jednak łatwiejszy niż jego promotor Jerzy Giedroyc, który zakładał Instytut Literacki w czasach, gdy CIA dopiero z wolna powoływano do życia.

W pierwszych latach po wojnie Giedroyc był zupełnie sam, w latach 80. Chojecki sam nie był. Charlie English włożył dużo pracy w to, by odmalować to dwustronne powiązanie: CIA oferowało Chojeckiemu najpierw szefostwo Polonii Book Fund w Londynie (po śmierci londyńskiego Polaka Andrew Stypulkowskiego). Chojecki, widać, czuł się lepiej w Paryżu – bliżej Giedroycia – skoro wybrał miasto światła. Jego paryskie życie codzienne jest w tej książce mistrzowsko pokazane. Chojecki wniósł swoje niespożyte siły, świeże kontakty z krajem i twórczy pomysł, jak poszerzyć media emigracyjne o nowe formaty – filmy, kasety wideo, a w końcu telewizję satelitarną. Choć pieniądze na to dostawał niemałe, przynależny bardziej do ruchu społecznego niż do „klubu CIA”. W tym ostatnim bowiem znalazł się późno i działał krócej niż jego starszy kolega o kryptonimie „Beretta”.

OPOZYCJA NA ORBICIE

„Solidarność” dostała też sporo pieniędzy dzięki zbiorce społecznej na Zachodzie. Nie sama CIA finansowała przemytnicze eskapady z książkami emigracyjnymi i paryską „Kulturą” do Polski, złożyło się na to również francuskie społeczeństwo. Powiedział mi kiedyś Seweryn Blumsztajn, że w samej Francji i tylko w 1982 roku na „Solidarność” zebrano około miliona dolarów. O tej kasie mogłoby być więcej w książce Englisha. Trudno też założyć, że CIA rozpoczęła tak dużą operację w Paryżu lat 80. bez zgody i pomocy władz francuskich. Prefektura policji już wcześniej zapewniała dyskretną opiekę paryskiej „Kulturze” – to już wynik mojego własnego śledztwa w archiwach francuskich.

Wywiady państw komunistycznych były bowiem brutalne i należało się przygoto-

wać na najgorsze. Wiadomo też z różnych wspomnień, że francuska dyplomacja po cichu angażowała się we wsparcie techniczne dla podziemnej „Solidarności” – niezawodnie działający kanał przerzutowy między Paryżem a Warszawą obsługiwała Anne Duruflé, attaché kulturalna francuskiej ambasady w Polsce. Choć to pewnie jest nadal urzędową tajemnicą, francuski wywiad musiał być o tym przynajmniej uprzedzony, a kto wie, czy to właśnie nie on urządził ten i inne przerzuty?

Brytyjski reporter zagłębił się w historię polskiego undergroundu po obu stronach żelaznej kurtyny. Pokazał nie tylko jego wielkie chwile, ale i ciężkie porażki w walce z komunistycznym hegemonem. Porażki na ziemi kompensowano jednak sukcesami na orbicie okołoziemskiej.

W 1987 roku Mirosław Chojecki zdołał nadać pierwszy program satelitarny do Polski – relację z wizyty Lecha Wałęsy w Paryżu. Takiego połączenia nie mogli zatrzymać już żadni żandarmi komunistyczni.

Wynajęto profesjonalne studio pod Paryżem, skompletowano 15-osobową załogę telewizji Chojeckiego złożoną z Polaków i Francuzów. Ile to wszystko kosztowało amerykańskiego podatnika, czytelnik dowie się już z książki Englisha.

Tak jak i wcześniej pomogły również władze francuskie, Pałac Elizejski wyraził zgodę na udostępnienie europejskiego satelity dla „Solidarności”. Chojecki triumfował; takiego sukcesu nikt mu nie wróżył, przecież w Warszawie zaczynał od powielacza spirytusowego i maszyny do pisania, dziesięć lat później dysponował najnowocześniejszą techniką świata. Jednym z ostatnich akordów był druk kultowego plakatu wyborczego Tomasza Sarneckiego „W samo południe 4 czerwca 1989”.

NAJWAŻNIEJSZA BYŁA CECYLIA

Książka Englisha jest intrygująca, bo każe na nowo przemyśleć losy naszych bohaterów. W szczególności English odbrażawia mit Giedroycia – samotnego wilka zimnej wojny, geniusza wydawniczego, który z niczego zbudował swoje imperium. W polskiej opowieści na temat Giedroycia na ogół przemilcza się wątek wieloletniej współpracy z CIA, a przecież nie jest to rzecz wstydliva. Bez pomocy Stanów Zjednoczonych przedsięwzięcia emigrantów miałyby znacznie mniejszy zasięg, a kultura opozycyjna byłaby uboższa w treści i obrazy. English dobrze pokazuje wartość wspólnoty transatlantyckiej w pokonaniu komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej. Amerykanie wiedzieli, jak należy pracować z tkanką społeczną, by wydobyć jej wszystkie talenty. Korzystali z doświadczeń państwa demokratycznego, gdzie liczą się: działalność oddolna, autonomia jednostki, stosunek partnerski i prywatna własność.

A całością operacji CIA o kryptonimie „Helpful” („Pomocny”), zaczęta w 1983 roku i równolegle prowadzoną z akcją Mindena, kierowała w Paryżu Cecilia Larkin – kobieta, emigrantka z Polski, co było jak na tamte czasy bardzo postępowe. Rola Larkin to zupełna nowość w zdominowanej przez mężczyzn narracji o zasługach emigracji i służbach specjalnych. Zaslugą Englisha jest to, że wprowadza do naszej świadomości nieznanych sojuszników, ukryte aktorki polskiej transformacji 1989 roku. ●

Autor jest pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN



The CIA Book Club.
The Best-Kept
Secret of the
Cold War

Charlie English
William Collins, 2025

Stare dobre czasy

Krystyny to nie bawiło

Krystyna de Pizan, córka lekarza i astrologa Karola V, jako pierwsza zabrała głos w sporze o naturę kobiet, który toczono przez stulecia.



Pewnego dnia Krystyna przeczytała książkę i trafił ją jasny szlag. Na dodatek nie była to zupełnie zwyczajna książka, tylko bestseller, tak poczytny, że doczekał się kontynuacji. Krystyna wyczytała w niej takie na przykład mądrości:

„..., kobieta w swej głupocie, która z natury jej się bierze, sądzi, że wszystko, co uczyni: dobrze, niedobrze, słusznie, głupio, pochopnie czy też po namyśle, jest takie, jakie być powinno, a więc nie znosi, gdy ją gania.”

Albo:

„Kobiecie bowiem brak mądrości, braknie jej też stałego serca, tak niezmiennego i wiernego, by pewność zdobyć mógł mężczyzna, że ot, dla siebie ją zachowa (...) Nie mówię tego o tych paniach, które są dobre dzięki cnotom, lecz nie spotkałem nigdy takiej, choć wiele z nich wypróbowałem.”

O dziwo, Krystyny te dowcipaski nie rozbawiły. Zbliżała się do czterdziestki i sporo już przeżyła. Jej mąż zmarł ponad dekadę wcześniej, pozostawiwszy ją z trójką dzieci i bez wystarczających środków do życia. Świetnie wykształcona, postanowiła utrzymywać się z pisania, co – jak mieliśmy się okazać niedawno przekonać przy okazji „Chłopkigate” – nie jest zawsze proste i przyjemne. Jak większość literatek wszech czasów, dorabiała więc, prowadząc skryptorium, w którym przepisywano i ilustrowano jej dzieła.

Bo właśnie zaczynał się XV wiek i tak wtedy wyglądała branża wydawnicza. Bestsellerem, który rozjuszył Krystynę – czyli Krystynę de Pizan, córkę lekarza i astrologa Karola V, króla Francji – była zaś „Powieść o Róży”, a raczej jej kontynuacja pióra Jana z Meun, bardzo popularna wśród paryskich intelektualistów.

Jeden z nich, Jan de Montreuil, napisał nawet traktat, w którym owo dzieło wychwalał. W 1401 r. Krystyna de Pizan wysłała do niego list, oburzona przesycającą „Powieść o Róży” pogardą do kobiet, lekceważe-

niem małżeństwa – sama przez dekadę była szczęśliwa z mężem – i pochwałą cudzołóstwa. Jan de Montreuil nie zniżył się do odpowiedzi, powierzając to zadanie jednemu z przyjaciół. Ten opisał nachalnej babie, że, cóż, po prostu nie zrozumiała książki. Wyznaj swój błąd, my zaś okazemy ci litość i naznaczymy pokutę, zakończył łaskawie.

Zamiast się ukorzyć, Krystyna upubliczniła korespondencję. Rozwścieczony Jan de Montreuil porównał ją wówczas do kurtyzany Leontion, która śmiała krytykować filozofa Teofrasta. Słynny spór o „Powieść o Róży” toczył się jeszcze długo i udział wzięło w nim wielu paryskich koryfeuszy. Nie złamał literackiej kariery Krystyny. Przeciwnie, zainspirował ją do napisania „Księgi o Mieście Pań”, gdzie wyliczała rozliczne szlachetne, cnotliwe i rozumne kobiety w dziejach.

Wiele rzeczy zaczęło się od Krystyny de Pisan. Jako pierwsza kobieta utrzymywała się z pióra. Jako pierwsza zabrała głos w sporze o naturę kobiet, który toczono przez stulecia. Jako pierwsza okazała wreszcie ów chroniczny brak poczucia humoru, który potem zarzucono wielu innym kobietom, jeśli nie wybuchały perlistym śmiechem, gdy przedstawiano je jako lubieżne dziwki, którym trzeba wybaczyć brak rozumu i cnoty, gdyż taka jest ich natura i nie potrafią nad sobą zapanować.

„Otrząśnij się i odzyskaj ducha i nie trap się z powodu podobnych niedorzeczności, albowiem musisz wiedzieć, że potwarcie rzucane na kobiety nie mogą ich dotknąć, lecz zwracają się zawsze przeciwko potwarcy” – napisała w „Księdze o Mieście Pań”, którą niedawno wydano w polskim tłumaczeniu.

Warto ją czytać. Bo niby inne czasy, a wszystko jak dzisiaj. ●
Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

Cytaty za: Wilhelm Lorris, Jan z Meun, Powieść o Róży, tł. Małgorzata Frankowska-Terlecka, Teresa Giermak-Zielińska



Księga
o Mieście Pań

Krystyna de Pizan
tł. Anna Loba
Poznań:
Wydawnictwo
Naukowe UAM, 2024.

Zbrodnia

POZA WYOBRAŻNIĄ

Do dziś się zastanawiam, dlaczego publikacja „Sąsiadów”, 60 lat po dokonaniu zbrodni w Jedwabnem, stała się taką niesamowitą sensacją w Polsce.

Jan Tomasz Gross

Odczyt wygłoszony 18 maja 2025 roku w Instytucie Myśli Politycznej imienia Gabriela Narutowicza z okazji 25. rocznicy ukazania się książki „Sąsiedzi”.

Książkę „Sąsiedzi” napisałem przez przypadek. Chce przez to powiedzieć, że nie planowałem jej z góry i powstała dzięki zbiegowi okoliczności, który opisałem w rozdziale wstępnym pod tytułem „O czym jest ta książka”.

Ale w pewnym sensie cała moja droga pisarska, a szczególnie badania źródłowe nad okresem II wojny światowej dotyczące sowieckiej okupacji wschodnich terenów Polski były przygotowaniem do napisania „Sąsiadów”. W podwójnym znaczeniu – zarówno merytorycznie, jak i pod względem metodologii.

Meritum, które mam na myśli, odnosi się do supozycji, że zabójstwo Żydów w lipcu 1941 roku mogło być wywołane uprzednią kolaboracją ludności żydowskiej z Sowietami w latach 1939-41. Znając istniejące źródła na temat sowieckiej okupacji nie gorzej niż, jak sądzę, większość historyków, wiedziałem, że opowieść o kolaboracji Żydów jest nieprawdziwa. Zresztą w „Sąsiadach” jest na ten temat niewielki rozdział, o którym często polemisci zapominali, pisząc, że Gross nie uwzględnił (albo nie zna) „kontekstu” wydarzeń. Otóż, wbrew temu, co sugerowali, kontekst znałem i go uwzględniłem.

Również od strony metodologicznej lata 80. – kiedy napisałem i współredagowałem trzy książki na temat sowieckiej okupacji – są dla mnie przygotowaniem do napisania „Sąsiadów”. Mam na myśli przede wszystkim bardzo ważną barierę, którą trzeba było przełamać: a mianowicie zasadniczo niechętnie nastawienie historyków do świadectw osobistych jako źródła rzetelnej wiedzy historycznej.

Relacje osobiste są ze swojej natury subiektywne, a często nawet emocjonalne, a my poszukujemy przecież wiedzy obiektywnej. I wedle rozeznania zawodowych historyków – w tym również Raula Hilberga, który stworzył podwaliny nauki o Zagładzie – najlepiej taką wiedzę można znaleźć w dokumentach wytworzonych przez instytucje, to znaczy, jeśli tak można powiedzieć, beznamietnie.

No, ale właśnie – tak i nie. Bo zdarzają się przecież okresy w historii, kiedy nurt życia społecznego przestaje się mieścić wewnątrz i występuje z ram instytucjonalnych. Mam na myśli przede wszystkim wojny i rewolucje. I dodam jeszcze jedną zdroworozsądkową uwagę: aby opowieść o przemocy (indywidualnej albo zbiorowej) była kompletna, czy choćby wiarygodna, trzeba uwzględnić, jeśli tylko istnieją, źródła mówiące o doświadczeniu ofiary. I to jest dodatkowo – i kto wie, czy nie najważniejszy – powód, aby

historię Zagłady pisać również w oparciu o relacje osobiste Żydów.

Latem 1980 roku, w Instytucie Hoovera w Kalifornii, trafilem na pudła z archiwami Biura Historycznego Armii Polskiej na Wschodzie, tak zwanej armii Andersa: kilkanaście tysięcy dokumentów osobistych, przeważnie w rękopisie, których autorami byli polscy obywatele zwolnieni z zesłania albo z obozów pracy, po amnestii wymuszonej na władzach sowieckich przez wybuch wojny z Niemcami. Składały się na nie najróżniejsze świadectwa opisujące przeżycia ich autorów na terenach zajętych przez Armię Czerwoną – odpowiedzi na kwestionariusz dotyczący „wyborów” z 22 października 1939 roku, na podstawie których wcielono te ziemie do ZSSR na przykład; życiorysy żołnierzy armii Andersa; albo wypracowania szkolne dzieci o tym, jak zostały wywiezione z rodzinami na przymusowe osiedlenie.

Praca z tą dokumentacją uświadomiła mi wartość tego rodzaju źródeł dla zrozumienia zmiennych okoliczności i ludzkich losów w czasach wojny. Pisanie historii Zagłady 15 lat później w oparciu o relacje Żydów – jak również świadectwa polskich sąsiadów składających zeznania w powojennych procesach, tak zwanych sierpniówkach – było tylko naturalnym rozwinięciem podejścia ugruntowanego w opracowywaniu materiałów zgromadzonych przez Biuro Historyczne Armii Andersa.

SPLECIONE LOSY OFIAR I SPRAWCÓW

Pierwszą książką, którą opublikowałem na temat drugiej wojny światowej, był mój doktorat, historia społeczna państwa podziemnego – „Polish Society Under German Occupation, 1939-1944”. W całej książce napisałem zaledwie półtorej strony o Żydach, bezwiednie powielając w ten sposób obowiązujący w historiografii schemat o rozgraniczeniu historii okupacyjnej na tę dotyczącą większościowej narodowości danego kraju – Francuzów we Francji, Holendrów w Holandii czy Polaków w Polsce – i jego żydowskich obywateli, którzy też oczywiście byli Francuzami, Holendrami albo Polakami.

Wiemy naturalnie, że losy ludności żydowskiej i nieżydowskiej w okupowanej Eu-

ropie zasadniczo różniły się od siebie. Dlatego że w pewnym momencie Niemcy hitlerowskie postanowiły kompletnie wymordować Żydów, którzy się znaleźli w obszarze kontrolowanym przez III Rzeszę, podobnego zamiaru nie mając w odniesieniu do reszty ludności. Ale ich losy były odmienne nie dlatego, że się dokonywały, by tak rzec, w oddzieleniu i niezależnie od siebie. Obie grupy ludnościowe, zarówno pod okupacją, jak i przed wojną, były ze sobą na tysiące sposobów powiązane i losy Żydów (tych Żydów Polaków, Żydów Francuzów czy Żydów Holendrów) zależały w sposób zasadniczy od postaw i zachowań otaczającego ich nieżydowskiego społeczeństwa i instytucji. Tylko że w początkowym okresie badań nad epoką wojny i okupacji historycy nie brali tego pod uwagę.

Historiografia Zagłady zmieniała się bardzo od czasu, kiedy Raul Hilberg ujmował i przedstawiał całe zagadnienie jako rozgrywkę się wyłącznie między Żydami a Niemcami. Dzisiaj rozumiemy, że po to, aby ich doszczętnie wymordować, Żydzi musieli zostać wyrwani ze społeczeństw, których byli częścią, i że to był w każdym przypadku złożony ciąg wydarzeń, który niemieccy okupanci musieli w jakiś sposób reżyserować i brać pod uwagę. Z tej przyczyny relacje między żydowskimi a nieżydowskimi obywatelami okupowanych krajów Europy to zasadniczy element przesądzający o takim, a nie innym biegu samego procesu Zagłady.

„Sąsiedzi” oprócz tego, że są opowieścią o konkretnym zdarzeniu, to równocześnie obrachunek z moim traktowaniem doświadczeń różnych grup narodowościowych podczas okupacji, jakby miały miejsce niezależnie od siebie. Zbiorowy mord w Jedwabnem jest najbardziej przekonującym dowodem na to, że takie myślenie o okupacyjnej historii polskiego społeczeństwa jest błędne. No bo czyż można sobie wyobrazić bardziej intymny splot losów niż ten, który łączy ze sobą zabójców i ofiary zabójstwa?

CZEGO NIE OGARNAŁEM ROZUMEM

Wszystko wskazuje na to, że masowy mord Żydów w Jedwabnem dokonany przez polskich sąsiadów w lipcu 1941 roku był niewyobrażalny – nie do pojęcia – aż do



końca XX wieku. Moja nieudolność jest tego najlepszym dowodem. Potrzebowałem kilku lat oraz szczęśliwego zbiegu okoliczności, o którym piszę w książce, aby po przeczytaniu świadectwa Wasersztajna przyswoić sobie jego treść. A przecież już od 25 lat interesowałem się drugą wojną światową, czytałem dokumentację epoki i pisałem książki na ten temat...

No więc właściwie dlaczego – bo nie byłem jedyny, który tego nie ogarniał rozumem – jedwabieńska zbrodnia była przez tak długi czas niewyobrażalna? Przecież miejscowa ludność zawsze o wszystkim wiedziała – bo współcześni w tej zbrodni po prostu uczestniczyli. Jak i w wielu innych podobnych zbrodniach, które polscy sąsiedzi popełniali wówczas na żydowskich sąsiadach w całej okolicy.

Jak to się stało – jak to było w ogóle możliwe – że jeszcze 60 lat później historycy nie mieli o tym zielonego pojęcia? Dlaczego publikacja „Sąsiadów”, 60 lat po tym, gdy zbrodnia miała miejsce, staje się jakąś niesamowitą sensacją w Polsce? Przecież te zbrodnie były wydarzeniami publicznymi, przeprowadzanymi „na widoku”, już nie mówiąc o tym, że przy współudziale miejscowej ludności, co oznacza, że setki tysięcy – a może nawet i milion albo dwa miliony – tak zwanych zwykłych ludzi zawsze świetnie wiedziały, że na Podlasiu polscy sąsiedzi mordowali swoich żydowskich sąsiadów.

Pisząc „Sąsiadów”, uważam, że Jedwabne jest wyjątkowe. I w tym sensie publikacja przez Instytut Pamięci Narodowej w 2002 roku dwutomowego wydania źródeł i studiów „Wokół Jedwabnego” – monumentalne dzieło, ponad 1500 stron wielkiego formatu, pod redakcją Pawła Machcewicza i Krzysztofa Persaka – jest dla mnie rewelacją. Po prostu nie wiedziałem, biorąc do ręki tę książkę, że masowe zbrodnie na Żydach dokonywane zbiorowo przez ich sąsiadów miały w tym czasie miejsce wszędzie w okolicy Jedwabnego, a właściwie, szerzej, w okolicach Białegostoku. Oczywiście wiedziałem o wymordowaniu Żydów w Wąsoszu i Radzi-



• Jan Tomasz Gross,
polsko-amerykański
historyk i socjolog,
autor książki
„Sąsiedzi: historia
zagłady żydowskiego
miasteczka”.
Kraków, 12.04.2025

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

lowie, bo o tym piszę w książce, ale myślałem o całym zdarzeniu jako o tej samej zbrodni rozłożonej na trzy akty bezpośrednio po sobie następujące – 5, 7 i 10 lipca – w sąsiadujących ze sobą miasteczkach.

Byłem przekonany, że książka Machcewicza i Persaka zrewolucjonizuje dwudziestowieczną historię Polski; że profesura specjalizująca się w tej dziedzinie albo porzuci to, co robi, i zajmie się Zagładą, albo co najmniej zobliguje swoich doktorantów, aby powyższe zagadnienie – „jak to było możliwe, że przez 60 lat” i tak dalej – przebadac i objaśnić.

Do niczego takiego ku mojemu zdumieniu nie doszło. Publikacja dwóch tomów IPN-owskich przeszła właściwie niezauważona. Opinia publiczna była już widać nasycona tą problematyką i zmęczona wielomiesięczną dyskusją we wszystkich mediach po ukazaniu się „Sąsiadów”. Co oczywiście niczego nie tłumaczy.

O CZYM NIE PISZĄ MAINSTREAMOWI HISTORYCY

Natomiast w 2003 roku powstało w Polskiej Akademii Nauk Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Założyła je uczona, która doktoryzowała się z psychologii; przy współpracy uczonego, który był i jest specjalistą w dziedzinie literatury polskiej; oraz historyka z Kanady – emigranta z Polski, a więc kogoś, kto miał kompetencje językowe i naturalne zainteresowanie historią kraju swojego pochodzenia, niemniej był to uczony, który się doktoryzował z historii Indian amerykańskich. Byli w tym zespole również, aczkolwiek młodszy stażem naukowym historycy Polski współczesnej.

Z czasem dorobek naukowy Centrum – jak również rozliczne, nowatorskie prace humanistów z różnych dziedzin nauki, twórców kultury, dziennikarzy, artystów, niezwiązanych instytucjonalnie z Centrum – ukonstytuowały niezwykle zjawisko, a mianowicie – piszę tę nazwę majuskula-

mi, bo wydaje mi się, że tak trzeba – Nową Polską Szkołę Badań nad Zagładą. A historia Zagłady w Polsce to, z niewielką przesadą, można powiedzieć jest niemal historią Zagłady tout court. Bo przecież połowa wszystkich ofiar – trzy miliony z ogólnej liczby sześciu milionów zamordowanych w czasie drugiej wojny światowej Żydów – to byli polscy obywatele, polscy Żydzi. Nie mówiąc już o tym, że Żydów z reszty Europy zwożono do Generalnej Guberni, do gett i obozów zagłady, żeby ich tutaj pozabijać.

Tak więc jeśli ktoś chciałby dzisiaj studiować zagadnienie Holocaustu, to właściwie powinien się nauczyć języka polskiego. Duża część prac – nie umiem powiedzieć, czy większość – składających się na to, w szerokim słowa znaczeniu, rewolucjonizujące historiografię Zagłady osiągnięcie, została napisana przez kobiety. Natomiast tak zwani mainstreamowi historycy mają ograniczony udział w tym kolosalnym, co do swojego znaczenia dla rewizji dwudziestowiecznej historii Polski, przedsięwzięciu.

I to jest kolejny – po tym, że 60 lat od końca wojny upłynęło w stanie niewiedzy o zbrodniach nieżydowskich sąsiadów na ich żydowskich współmieszkańcach – bardzo ciekawy temat do opracowania w dziedzinie historii intelektualnej: jak to jest i co to znaczy, że skokowy postęp wiedzy na temat okupacji odbywa się w głównej mierze poza korporacją zawodową, której celem i zadaniem jest badanie historii Polski?

DO CZEGO WIEDZIE TA „PRZECIWLUDZKA BEZMYŚL”

Po latach lektur zarówno świadectw Żydów, którzy w Polsce przeżyli wojnę, jak i tekstów autorstwa nie-Żydów odsłonił się przede mną obraz, z którym nie oswoilem się do dzisiaj i który mnie przeraża – obraz głębi i zasięgu antysemityzmu polskiego społeczeństwa podczas okupacji. No i związane z nim i równie bulwersujące zjawisko – napisałem na ten temat oddziel-

ną książkę pod tytułem „Strach”: jak można było w Polsce być antysemitą po wojnie?!

Nie wiem, czy przeświadczenie, że takie pytanie jest urągające, wymaga w ogóle uzasadnienia, już choćby dlatego, że przecież połowa, z grubsza biorąc, trzech milionów polskich Żydów została wymordowana w miejscu zamieszkania albo tuż obok, to znaczy na widoku okolicznej ludności. Czyż tego rodzaju krwawy spektakl, którego byli świadkami, nie powinien być raz na zawsze wyleczyć Polaków z antysemickich uprzedzeń? Ale żeby nie traktować mojego zdumienia za dowód pięknoduchostwa oderwanego od realiów i konkretów życia społecznego, pozwolę sobie zacytować polskiego chłopca, który większą część okupacji spędził w podrzeszowskiej wsi, z której pochodził, a poza tym zasłużył się literaturze polskiej jako jeden z ważniejszych poetów XX wieku.

„Przed wojną – na człowieka, który dowodził, że Żyd jest szkodnikiem dlatego, że jest Żydem – patrzyłem z politowaniem, jak patrzy się na człowieka niespełna rozumu [...]” (cytuje fragment tuż-powojennego eseju „Hańba antysemityzmu” autorstwa Juliana Przybosia). „Dzisiaj, po straszliwym doświadczeniu, które zdradziło, do czego wiedzie ta przeciwludzka bezmyśl i ta nieświadoma siebie żądza mordu – antysemicie uważam za potencjalnego mordercę. Patrząc w twarz znajomych i obcych, krążę wśród ludzi w Polsce, słucham rozmów – i ileż razy ogarnia mnie przerażenie, że żyję wśród obłąkanych i wśród możliwych zbrodniarzy”.

DWA ZASTANAWIAJĄCE ASPEKTY ZAGŁADY

My, historycy drugiej wojny światowej, natrafiamy na sygnały tej duchowej skazy w wielu relacjach z epoki i jakoś trudno w pełni uwierzyć, że tak właśnie było. „[W] okresie okupacji nie było dosłownie ani jednego człowieka, który by nie słyszał powiedzonka: »Jedną rzecz Hitler dobrze zrobił, że zlikwidował Żydów. Tylko nie trzeba o tym głośno mówić«” – przytaczam słowa znanego

konserwatysty i pisarza Józefa Mackiewicza, jako jeden z wielu śladów, które pozostawiła ta mroząca krew w żyłach opinia rozpowrzechniona w polskim społeczeństwie.

Chciałbym jeszcze zasygnalizować dwa zastanawiające – albo, powiedzmy wprost: zdumiewające – aspekty Zagłady. Po pierwsze, totalną ignorancję w tej materii polskiego społeczeństwa.

Od paru dziesiątków lat rozmaite ośrodki badania opinii publicznej ankietują ogólnopolską próbkę respondentów, zadając pytanie, kto bardziej ucierpiał w czasie okupacji – Polacy czy Żydzi? I nieodmiennie zdecydowana większość ankietowanych odpowiada, że Polacy ucierpieli bardziej albo tyle samo.

Okupację niemiecką w Polsce przeżyło między 1 a 2 procent ludności żydowskiej. Przecież Polska nie mogłaby z powrotem zaistnieć po wojnie, gdyby stan świadomości polskiego społeczeństwa na ten temat w jakimś najodleglejszym nawet stopniu korespondował ze stanem faktycznym tego, co się wydarzyło.

I druga zagadka natury poznawczej, tym razem dotycząca również dobrze obznajomionej z faktografią Zagłady i wykształconej elity intelektualnej polskiego społeczeństwa, której przedstawiciele *grosso modo* – choć na pewno są też ludzie inaczej myślący – uważają, że Zagłada to nie jest „nasze” doświadczenie. Że Zagłada dotyczyła jakichś „ich”, a nie „nas”.

Taka eksternalizacja Zagłady to albo archaizm w podejściu do historii okupacji (w sensie, o którym wspominałem na początku: rozdzielenia doświadczeń większościowej grupy obywateli i Żydów); albo przyswojony również przez liberalną inteligencję endecko-oenerowski obraz historii Polski, z której wygumkowani zostali Żydzi. Bo przecież historia polskich miast – a wraz z nią opowieść o unicestwieniu trzeciej części ludności polskich miast (a w przypadku wielu miejscowości nawet większości mieszkańców, albo przeważającej większości mieszkańców) – musi przynależeć do historii Polski, niejako z definicji. Zamordowanie trzech milionów polskich obywateli to nie jest historia jakichś „ich” czy jakichś „onych”. To nasza historia...

CO PISAŁ MIŁOSZ DO GIEDROYCIA?

Chciałbym zaapelować do studentów historii, aby podjęli wysiłek wintegrowania historii Zagłady w główny nurt historii Polski, przywołując jako uzasadnienie głosu dwóch pisarzy ewokujących wzajemne splątanie losów Polaków i Żydów w czasie okupacji. Najpierw fragment tekstu Ludwika Heringa – postaci zapewne mało znanej. Jest autorem kilku niewielkich, ale za to genialnych opowiadań okupacyjnych i w kulturze polskiej zostanie zapamiętany, myślę, przede wszystkim jako współpracownik, a właściwie autor dramatów przypisywanych Mironowi Białoszewskiemu, a także epistolograf – korespondent Józefa Czapskiego, którego był wielką miłością. Cytuje fragment opublikowany w tomie „Ślady”:

„Getto żyło Warszawą – Warszawą żyła gettem. Każdy wiedział o tym, każdy z tego korzystał... Warszawa żyła gettem jeszcze długo po jego śmierci – aż do własnego końca. Getto było sercem Warszawy. W ciągłym pulsowaniu przyjmowało i wydzielalo...”

I jeszcze jedno zdanie, ale za to napisane przez wielkiego poetę w liście do wielkiej postaci polskiej kultury. Cytuje słowa Czesława Miłosza z listu do Jerzego Giedroycia:

„Ja całe życie nie mogę się podźwignąć, bo uczciwy człowiek powinien był pójść do warszawskiego ghetta i tam zginąć”. •

Tytuł i śródtytuły redakcji



Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka

Jan Tomasz Gross
Fundacja Pogranicze



Niepokonany w 28 walkach
A pokonany w trzech jedynie walkach
Niepokonany w 28 walkach
A pokonany w trzech ostatnich walkach”
– tyle Kazik Staszewski, muzyk, ale i wielki fascyna-
nat boksu, rzecz jasna w utworze „Andrzej Goło-
ta”.

„Sędzia przerywa walkę. Konsternacja. Jestem
pewny, że Gołota wygrał, a dyskwalifikacja jest po-
chopna. I nagle przed oczami robi mi się czerwono.
Lecą krzesła na ring. Zaczyna się bijatyka. Ata-
kują Gołotę i Duvę. Tłum przewraca Tony Russo,
jeżdżącego na wózku inwalidzkim szefa New York
Athletic Commission. Sanitariusze ratują go zakła-
dając maskę tlenową. Biegamy wszyscy, nikt nie
wie gdzie. Wybiegam z hali 40 min. po walce.

Biegnę 200 metrów do hotelu Southgate Tower.
Siódma Aleja zablokowana samochodami policyj-
nymi i ambulansami. Gołoty nie ma w hotelu. Na-
dal jest w szatni w Madison Square Garden. Na
Siódmej Alei czeka na niego z przyjaciółmi Cedric
Kushner, jeden z najlepszych promotorów boksu.
Ten, który pomógł w odrodzeniu Madison Square
Garden i uczynił z Atlantic City miasto pięściar-
stwa” – to już dziennikarz „Gazety Wyborczej” Ra-
dosław Leniarski, pasjonat, fachman oraz znawca
i wyznawca boksu.

„Bowe ważył ponad 114 kg, a Gołota tak napraw-
dę nie miał prawa tego przegrać” – Janusz Pinde-
ra, inny komentatorski tuz pięściarski, w książce
Przemysława Osiaka „Niepokonany w 28 walkach”

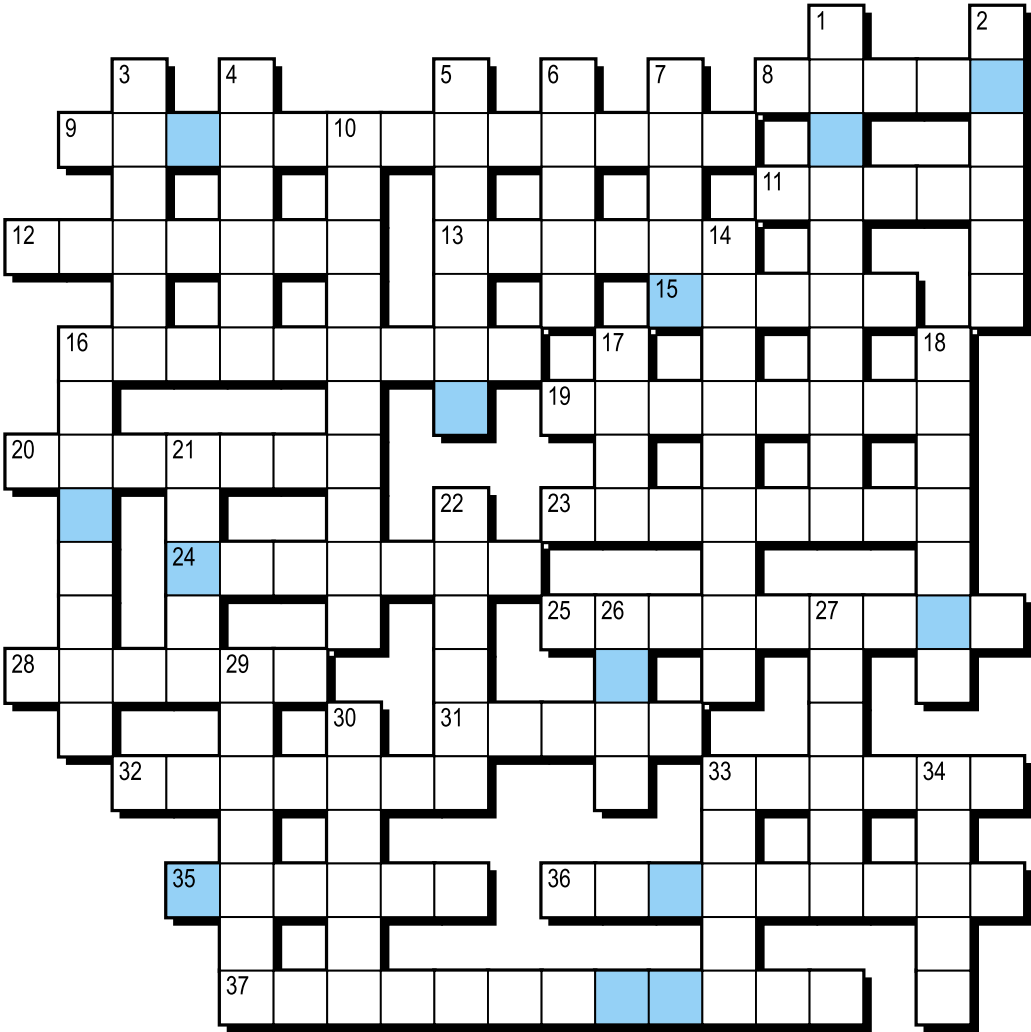
11 lipca 1996 roku byliśmy skłonni uznać, że nie-
możliwe nie istnieje. Bo lejący przykładnie prze-
ciwnika przez 7 rund hitowego starcia w Madison
Square Garden Andrzej Gołota po raz czwarty wy-
celował w zakazane rejony Riddicka Bowe’a i ude-
rzył go poniżej pasa. Koniec. Dyskwalifikacja.

Walka, której „Endrju” przegrać nie miał prawa,
przeszła do historii. Ale nie tylko za sprawą spek-
takularnej i kompletnie bezsensownej porażki, ale
też bijatyki, która rozegrała się potem. Menedżer
i kumple Bowe’a z narożnika zaraz po werdyk-
cie ruszyli na Polaka, który za chwilę dostał jesz-
cze w głowę krótkofalówką. Lou Duva, jeden z tre-
nerów Gołoty upadł na ziemię, a współkomentują-
cy walkę dla rodaków dwukrotny mistrz olimpij-
ski Jerzy Kulej zakrzyknął z trwogą, że „Lou Duva
nie żyje...”

Przypominamy sobie te chwile blisko 30 lat po
tamtych dramatycznych wydarzeniach, i zapra-
szamy do „Weekendówki”... nie, nie o boksie o dzi-
wo.

O sławnych Andrzejach. Ale wybór się broni, je-
śli weźmiemy pod uwagę słowa Andrzeja (no ba!)
Kostyry, kolejnego z wielkich bokerskich znaw-
ców, który w książce „Walki stulecia. Bohatero-
wie wielkiego boksu” napisał, że po II wojnie świa-
towej było czterech naprawdę sławnych Polaków:
papież Jan Paweł II, prezydent Lech Wałęsa, Zbi-
gniew Boniek i Andrzej Gołota właśnie.

Andrzej (no ba!) Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



**Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 161 z 5 lipca:**

Poziomo: 3) Trzy kolory
8) Honorata 9) Mela 10) Kazik
11) Katie Melua 13) noce
14) Stirlitz 15) Willis 17) Korony
19) Kora 21) Osiem i pół
22) Żbik 25) Himalaje 27) James
30) panowie 32) Broniewski
33) Ira 34) western 35) komedia
36) Rammstein.

Pionowo: 1) Polański
2) Kociniak 3) Tarantino
4) Zofia 5) Orwell 6) romans
7) dwa serca 12) Olbrychski
15) wesela 16) lampy 18) Ystad
19) Kłosowski 20) Republika
23) bajka 24) kompozytor
26) John Green 28) rzeźnia
29) królowe 30) prawdy
31) Eminem.

HASŁO: CZWARTA RANO

ANDRZEJOWIE

Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 8)** Andrzej Bursa
9) poeta, piosenkarz, satyryk,
konferansjer, wykonawca
„Wesołej dumki o starości”
11) siatkarz, reprezentant
Polski, grał m.in. w drużynach
z Bełchatowa i Warszawy
12) śpiewak operowy (baryton)
13) Święty Andrzej, ... Szkocji
15) bohater powieści Stefana
Żeromskiego „Syzyfowe prace”
16) autor cyklu opowiadań
i powieści o wiedźminie Geralcie
19) reżyser filmów „Opętanie”,
„Szamanka”
20) autor biografii „Mistrz
i diabeł. Rzecz o Bułhakowie”

- 23)** Andreas Goldberger lub
Andreas Gabalier
24) Andrew, 17. prezydent USA
25) często towarzyszy
występom André Rieu
28) uprawiane przez Andrzeja
Wrońskiego
31) wosku – w andrzejki
32) bliska Andrzejowi
Rosiewiczowi, Andrzejowi
Rybińskiemu
33) Andy, artysta kojarzący się
z zupą pomidorową Campbell
35) Andrzej i Jacek Zielińscy
z zespołu Skaldowie
36) Andreas, niemiecki skoczek
narciarski
37) muzyk taki jak Andrew
Fletcher z Depeche Mode

Pionowo:

- 1)** Andrzej Frycz ...
2) himalaista, szef wyprawy,
która dokonała pierwszego
zimowego wejścia na Mount
Everest (1980 r.)
3) 20 października 2000 r.
stoczył pojedynek z Mikiem
Tysonem
4) zaprasza na „Śniadanie
do łóżka”
5) gnuśny Ferdek (serialowa rola
Andrzeja Grabowskiego)
6) koszykarz, wielokrotny
reprezentant Polski
7) Chyra, Łapicki albo Seweryn
10) „... z miejscówkami” (Andrzej
i Eliza)
14) Szarmach albo Juskowiak
16) w latach 1989–93 był
selekcjonerem piłkarskiej
reprezentacji Polski
17) ... popartu, czyli 33 poziomo

- 18)** Andrew Robertson lub
Andrzej Niedzielan
21) w marcu 2000 r. odebrał
Oscara za całokształt twórczości
22) Święty Andrzej ..., jeden
z katolickich patronów Polski
26) Andy, utytułowany
amerykańsko-meksykański
bokser
27) zapaśnik, srebrny medalista
olimpijski
29) Andrzej Poniedziałki lub
Andrzej Mleczek
30) wykonawca piosenki „Byłaś
serca biciem”
33) zespół, którego
klawiszowcem był Andrzej
Smolik
34) w niej upiór w tytule
musicalu Andrew Lloyd
Webbera

Leszek Rydz

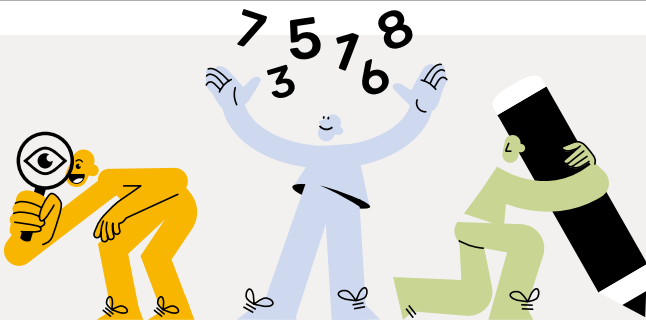
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

**SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY**

**APLIKACJA
WYBORCZEJ**

Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

POBIERZ Z
Google Play

Pobierz w
App Store